

A city skyline at dusk, with the word "MATNIA" overlaid in large, bold, yellow letters. The sky is dark with some clouds, and the city lights are visible. The water in the foreground is calm and reflects the city lights.

MATNIA

SHEENA KAMAL

Sheena Kamal

Matnia

Tłumaczenie:
Maria Brzezicka

Tytuł oryginału: It All Falls Down

Pierwsze wydanie: William Morrow, An Imprint of HarperCollins Publishers, Nowy Jork, 2018

Opr. graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordega

Opracowanie redakcyjne: Jan Jurek

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2018 by Sheena Kamal

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

tel: 691962519

Ilustracja na okładce: 123RF

ISBN: 978-83-276-3991-2

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi S.A.

Spis treści

Strona redakcyjna

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy

CZĘŚĆ PIĄTA

Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty
Rozdział czterdziesty piąty
Rozdział czterdziesty szósty
Rozdział czterdziesty siódmy
Rozdział czterdziesty ósmy
Rozdział czterdziesty dziewiąty
Rozdział pięćdziesiąty
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Rozdział pięćdziesiąty drugi
Rozdział pięćdziesiąty trzeci

O Autorze

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Kiedy rozstawili namioty medyczne dla uzależnionych, którzy snuli się wokół jak żywe trupy, pomyślałam zgryźliwie: Rany, cóż za wspaniałomyślność, jakie genialne wyczucie najpoważniejszych problemów.

Gdy w prasie coraz częściej zaczęły się pojawiać artykuły o epidemii uzależnień od leków opiodalnych, która szerzyła się w całym mieście, uznałam to za świetny żart. Coś takiego, chwała czujnym dziennikarzom reagującym na największe społeczne bolączki.

Jednak kiedy system opieki zdrowotnej, a zwłaszcza instytucje powołane do pieczy nad zdrowiem psychicznym obsesyjnie powracały do grożącej nam apokalipsy zombie, moja cierpliwość się wyczerpała. Doszłam do wniosku, że pora działać.

Na Boga, czyżby naprawdę nikt nie chciał się zajmować moją poturbowaną duszą?

Co zamierzają zrobić szanowne władze miasta w sytuacji, gdy rośnie liczba osób uzależnionych od uzależnień? Gdzie są ci, którzy powinni dbać o nasze zdrowie psychiczne? Tyle że zamiast działać i domagać się odpowiedzi od konkretnych czynników, ograniczyliśmy się do narzekań podczas cotygodniowych spotkań grupy terapeutycznej. W Vancouver nie było grup wsparcia dla morderców, a przecież nie każdego stać na prywatnego psychoterapeutę. Z braku laku wcisnęłam się na zajęcia dla osób z zaburzeniami żywienia. Nie oczekiwałam jednak, że ludzie, którzy nie potrafią zapanować nad apetytem lub zmusić się do jedzenia, zrozumieją morderczynię. Owszem, zabijałam w obronie własnej, jednak fakt pozostaje faktem.

Na spotkaniu z powagą ogłosiłam, że ścigają mnie demony, co współtowarzysze niedoli skwitowali skinieniem głowy. Siedzieliśmy w cuchnącym moczem pokoju w centrum Vancouver, smętna grupka obcych, których na jakiś czas połączyła niedola. Po moim wyznaniu podnieśli nienaturalnie grube lub chorobliwie anemiczne ręce w geście wsparcia i spotkanie dobiegło końca. Wszyscy odetchnęli z ulgą, bo znów staliśmy się tylko grupką nieznajomych, których nic nie łączy.

Kiedy wracałam ze spotkania do bajeranckiego domu w Kitsilano, w którym chwilowo pomieszkiwałam, odniosłam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Jechałam z zamkniętymi oknami, bo nad miastem unosił się gryzący dym z płonących lasów od północy okalających Vancouver. Napływał falami i otulał wszystko niczym ciężka kołdra. Niby był październik, niby była jesień, tyle że tak się jakoś porobiło, że nawet pory roku wypadły z utartych kolein. Żadnego wiatru czy deszczu, a przecież właśnie tego należałoby oczekiwać. Za ciepło i za sucho.

Podczas jazdy myślałam obsesyjnie o kolejnej śmierci. To się jeszcze nie wydarzyło, jednak wiedziałam, że nastąpi.

I to wkrótce.

Rozdział drugi

Gdy wróciłam do domu, Sebastian Crow, mój były szef, a obecnie współlokator, spał smacznie na kanapie.

Wyciągnęłam rękę, by go dotknąć, ale cofnęłam dłoń, zanim moje palce musnęły skroń Sebastiana. Nie chciałam go budzić. Pragnęłam, by spał jak najdłużej tak jak teraz, czyli głęboko i spokojnie. By przebywał w cudownej krainie, w której nie dosięgną go kłopoty ani wyniszczająca choroba, o której ludzie zazwyczaj wolą milczeć. Z każdym dniem jego ciało wydawało się coraz bardziej kruche, natomiast umysł potężniejszy, jakby organizm dążył do zachowania równowagi. To był rak w stadium terminalnym i nic już nie można było zrobić. Wprowadziłyśmy się z Sapką do Sebastiana, by dotrzymywać mu towarzystwa i czuwać, by bezpiecznie poruszał się po domu. Mogłam tylko pilnować, żeby na przykład nie spadł ze schodów, nic więcej już ode mnie nie zależało. Sebastiana spala gorączka twórcza. Ciało obróciło się przeciwko niemu, jednak umysł nadal walczył. Nie chce odpuścić.

Zupełnie jakby postanowił, że dopiero wtedy da spokój, gdy książka będzie skończona. Kiedy poprosił, bym zebrała, uporządkowała i sprawdziła materiały, nie mogłam odmówić. Nie odmawia się Sebastianowi Crowowi, wybitnemu dziennikarzowi, który pod koniec życia zaczął pisać wspomnienia. Zawarł tam wszystko, co dla niego ważne. Wyznawał miłość zmarłej matce, przeproszał syna, z którym już dawno stracił kontakt, i prosił o zrozumienie kochanka, którego porzucił. Fragmenty, które przeczytałam, chwytaly za serce, ale to było kompletne zanurzenie się w przeszłości. Zupełnie jakby przyszłość nie istniała, co akurat w przypadku Sebastiana było prawdą.

Poczułam, jak Sapka trąca nosem moją dłoń. Ostatnio jest bardzo niespokojna, nie może sobie znaleźć miejsca. Wyczuwa, że dzieje się coś złego.

Wzięłam ją na smycz, tak na wszelki wypadek, bo przecież nie wiadomo, co przyjdzie jej do łba, gdy jest taka podminowana, i poszliśmy na spacer do parku po drugiej stronie ulicy. Ominęłam szerokim łukiem faceta, który najwyraźniej zamierzał ją pogłaskać. To pewnie miły gość, po co narażać go na spotkanie z ostrymi zębami suczki. Ruszyliśmy w stronę ścieżki biegnącej równoległe do nabrzeża. Nawet tutaj wyczuwalny był swąd spalenizny, i to pomimo silnego wiatru. Zrobiłyśmy spore kółeczko, ale żadnej z nas to nie poprawiło nastroju. Trochę zmęczona usiadłam na ławce, a Sapka zwinęła się w kłębek przy moich stopach.

Po chwili z alejki wyłonił się mężczyzna, który od jakiegoś czasu szedł za nami.

- Dobra noc, żeby kogoś śledzić, nieprawdaż? - rzuciłam w jego stronę.

Zatrzymał się, spojrzał na mnie i otworzył usta, zapewne by poczęstować mnie naprędce wymyślonym kłamstwem, ale szybko się rozmyślił. Uliczka za moimi plecami tonęła w mroku, facet mógł postrzegać mnie i Sapkę co najwyżej jako cienie, jednak ja widziałam go wyraźnie. Miał rozpięty płaszcz, twarz i szyję szpeciła duża blizna o dziwacznie pofałdowanej skórze. Nie byłam w stanie dokładnie określić jego wieku, jednak z pewnością nie zaliczał się do młodych. W każdym razie miał dość czasu, by poznać tajniki stylu, o czym świadczyły świetnie skrojona marynarka i ładne buty. Cholera, coś tu nie gra. Eleganccy faceci, którzy długo celebrują przed lustrem każdy szczegół wizerunku, rzadko napastują samotne kobiety spacerujące z psami.

Przez chwilę trwaliśmy w milczeniu, natomiast Sapka ziewnęła donośnie i przeciągnęła językiem po kłach, jakby

zniecierpliwiona powolnym rozwojem sytuacji. Mężczyzna świetnie zrozumiał ten sygnał ostrzegawczy, bo wreszcie przemówił:

- Twoja siostra powiedziała mi, gdzie mogę cię znaleźć.

Jeżeli zamierzał mnie tym stwierdzeniem uspokoić, grubo się przeliczył, a raczej trafił jak kulą w płot. Ostatnio rozmawiałam z Lorelei rok temu. Od kiedy ukradłam i rozbiłam samochód jej męża, unikała kontaktu.

- Czego chcesz? - zapytałam, siłąc się na obojętność.

- Żebym to ja wiedział... - Uśmiechnął się żałośnie. - Wybrać się w podróż do przeszłości, dopóki dopisuje mi pamięć. To chyba najbliższe prawdy stwierdzenie.

- A mnie co do tego?

- Znałem twojego ojca - szepnął, a ja podziękowałam w duchu, że mówi tak cicho. Głos o trochę mocniejszym natężeniu spowodowałby wybuch, bo i tak mój umysł przypominał tykającą bombę. - Mogę się przysiąc?

Uświadomiłam sobie, że zważywszy na okoliczności, zachowuje się zbyt swobodnie, właściwie nonszalancko. Większość ludzi wolałaby trzymać się z daleka od nieprzewidywalnej i wyraźnie wrogo nastawionej suczki. Ciekawe, czy blizna na twarzy to pamiątka po jakiejś niebezpiecznej akcji. Może to wyszkolony koleś, który wie, jak zachować się w przypadku zagrożenia.

- Nie możesz - odparłam. - Gdzie poznałeś mojego ojca?

Zastanawiał się przez chwilę, jakby rozważał, czy warto ciągnąć tę rozmowę. Spojrzał na powarkującą coraz głośniej Sapkę.

- W Libanie. Był tam z marines, prawda?

Zignorowałam pytanie, ponieważ nie znałam odpowiedzi. Cóż, nie jego zafajdany interes.

- To nie wyjaśnia, dlaczego mnie śledziłeś.

Potaął twarz, naciskając mocniej w miejscu, w którym

szpeciła go blizna. Gdy zauważył, że go obserwuję, wyjaśnił:

- To rana po wybuchu. Z Libanu. - Zawahał się, wyraźnie szukając właściwych słów. - Chciałem pogadać o twoim ojcu.

- Gościu, trochę się spóźniłeś. - Zaśmiałam się nieprzyjemnie.

- Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Posłuchaj, jestem już na emeryturze i zrobiłem sobie wycieczkę do Kanady. Pomyślałem, że mógłbym wpaść do znajomego ze starych czasów. Kiedy dowiedziałem się, że już nie żyje, odszukałem jego córki. Najpierw twoją siostrę, ale nie okazała się skora do rozmowy, również na twój temat.

- I dobrze. - Cóż, po ostatnim spotkaniu nie rozstałyśmy się zbyt przyjaźnie. Lorelei zachowała panieńskie nazwisko nawet po ślubie i aktywnie udzielała się w mediach społecznościowych. Nietrudno ją było namierzyć.

- Powiedziałem, że znałem kiedyś waszego ojca. Trochę trwało, zanim poradziła, żebym się skontaktował z Sebastianem Crowem, który na pewno będzie wiedział, gdzie cię szukać. I oto jestem.

- Taa, ale o co ci właściwie chodzi? Czego chcesz?

Nagle się ożywił. Wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalił, a jego oczy zalśniły w płomyku zapalniczki.

- Czy zdarzyło ci się nie dotrzymać jakiejś obietnicy? Zrobiłem w życiu wiele paskudnych rzeczy, ale to, co spotkało twojego ojca... Zawsze mnie to wkurzało. Wiem, że miał w Libanie kłopoty. Cholera... - Spojrzał na moją dłoń kurczowo zaciśniętą na smyczy Sapki. - Właściwie sam nie wiem, po co chciałem się z tobą spotkać - przyznał bezradnie. Ani razu się nie zaciągnął, jakby już zapomniał, że zamierzał zapalić.

W ubiegłym roku prawie utonąłam, ale niewiele pamiętałam z tamtego wydarzenia, zupełnie jakbym na jakiś czas zanurzyła się w ciemnej otchłani. Każdy entuzjasta nurkowania potwierdzi, że w ostatnim stadium narkozy azotowej, zwanej

też euforią nurków, niedotlenienie może zakłócić pracę mózgu i spowodować upośledzenie neurologiczne. To natomiast często skutkuje nieracjonalną oceną sytuacji. Ale brak tlenu może też wywołać chwilową euforię, poczucie ciepła i złudnego bezpieczeństwa.

Przestajesz być sobą i nie jesteś w stanie prawidłowo ocenić sytuacji.

Ciekawe, jak jeszcze moje podtopienie odbije się na zdrowiu i postrzeganiu świata. Otóż kiedyś potrafiłam bezbłędnie rozpoznać, kiedy ludzie kłamią, ale teraz nie umiałam tego jednoznacznie stwierdzić. Po wydarzeniach poprzedniego roku – kiedy z narażeniem życia szukałam zaginionej córki, którą przecież bez chwili namysłu oddałam do adopcji, gdy tylko pojawiła się na świecie – zaczęłam oceniać innych o wiele ostrożniej, już bez tej niezachwianej pewności siebie. Być może odczułam wreszcie po latach słabe oznaki instynktu macierzyńskiego i złagodniałam. A może po prostu straciłam ten dar, bo kiedy ten facet powiedział, że właściwie nie wie, co tu robi, od razu mu uwierzyłam. Tak jakbym zaczęła wątpić, że zawsze działamy racjonalnie.

Możliwe też, że umysł zaczyna płatać mi figle i mam halucynacje.

Wstyd mi, bo nie mam bladego pojęcia, co odpowiedzieć temu obcemu mężczyźnie, który wydaje się wytracony z równowagi tak samo jak ja. Patrzą na niego bez słowa, a potem obserwuję, jak odchodzi w stronę oceanu i powoli znika w mroku. Nerwowo pocieram dłonie, myśli pędzą jak podczas szalonego wyścigu i wreszcie jedna wygrywa, dobiega pierwsza do celu, wypływa na powierzchnię i przebija się do mojej świadomości.

Nie chodzi o to, że ktoś postanowił mnie po tak wielu latach odszukać. Nawet nie o to, że szedł za mną w ciemnościach, by tylko pogadać. Nie daje mi spokoju, że dowiedziałam się

czegoś nowego o moim ojcu.

O ojcu, który przeżył jakiś koszmar w Libanie, a kilka lat później popełnił samobójstwo.

Rozdział trzeci

W przestworzach kosmosu gwiazda KIC 8462852 mrugała figlarnie z sobie tylko wiadomych powodów, a tymczasem na ziemi były gliniarz, były ochroniarz, były mąż i były miłośnik kręgli popijał z wyraźnym obrzydzeniem sok szpinakowy. Widać było, jak bardzo cierpi, jednak napędzała go nadzieja, że organizm doceni to wielkie poświęcenie.

Wspomniana gwiazda stanowiła zagadkę dla naukowców, którzy wciąż szukali odpowiedzi na pytanie, czemu tak dziwnie świeci, jak na gwiazdę nie przystało. Co do Brazuki, to zapewne tylko on się dziwił, co też skłoniło go do zdrowszego trybu życia. Odziedziczył po rodzicach niską samoocenę, można powiedzieć, że jego starzy przeszli przez życie z przetrąconym kręgosłupem.

On też taki był, jednak z czasem udało mu się wyrwać z zaklętego kręgu i odrzucić postawę „przepraszam, że żyję”.

Teraz skrzywił się niemiłosiernie i wrzucił do blendera kolejny liść szpinaku.

Poeta powiedziałałby, że zapadający powoli zmierzch jest przepełniony chlorofilem i uczuciem samozadowolenia. Nic dziwnego, skoro Brazuka właśnie nocą wykazuje większą aktywność i lubi ciemne niebo, bo wówczas może obserwować gwiazdy. Nie ma wystarczającej wiedzy, ale skrycie marzy o karierze naukowej w dziedzinie astronomii. Pokochał gwiazdy podczas wakacji w Hiszpanii. Spędzali wtedy z matką długie godziny na plaży, wpatrując się w rozświetlone niebo.

A skoro już mowa o matce, to Brazuka tęskni do dawnych dobrych czasów, kiedy kobiety wiedziały, jak zadowolić mężczyznę. Na pewno nie odurzały partnerów narkotykami i nie przywiązywały do łóżka, wystawiając na pośmiewisko

obsługi hotelowej. Przeżył taki koszmar dokładnie rok temu. Upokorzyła go Nora, kobieta, którą poznał na spotkaniach AA. Kobieta, która próbowała odszukać córkę oddaną zaraz po narodzinach do adopcji, i której z niezbadanych i niezrozumiałych powodów postanowił pomóc. Zaserwowała mu wybuchową mieszankę alkoholu i silnych środków przeciwbólowych, na którą jego wyposzczone ciało zareagowało z niebywałym entuzjazmem. Tak jakby uznało, że zbyt długo już był trzeźwy.

Po tym incydencie musiał ponownie podjąć walkę z chorobą alkoholową, co zajęło mu aż kilka długich miesięcy.

Teraz Brazuka stoi na balkonie i zerka na nocne niebo w kierunku, w którym powinna znajdować się gwiazda, o której czytał w tygodniku. Przez krótki moment odczuwa nabożny podziw dla ogromu i piękna świata. Wstrzymuje oddech i wypija zielone ohydztwo, czyli (podobno) eliksir zdrowia.

Na wieczór jest zaproszony do Bernarda Lama i chyba po raz pierwszy cieszy i napawa go dumą fakt, że przyjaźni się z milionerem.

- Nareszcie, Brazuka - wita go Lam w drzwiach rezydencji Point Grey.

Bardzo możliwe, że ogrom tej posiadłości jest jedną z przyczyn trapiącego Vancouver kryzysu mieszkaniowego. W łączniku między zachodnim a wschodnim skrzydłem mieści się około dwudziestu pomieszczeń. Na tyłach domu jest pole golfowe, basen z morską wodą, a także ze słodką.

Bernard Lam, syn bogatego i wpływowego biznesmena, to znany playboy i filantrop. Gestem zachęca Brazukę do wejścia. Jego osławiony urok osobisty gdzieś wyparował. Porusza się ociężale, ze zmarszczonym czołem prowadzi Brazukę długim korytarzem. Ściany są dosłownie upstrzone rodzinnymi fotografiami, ale na żadnym nie ma ani Bernarda, ani jego aktualnej narzeczonej. Gdy docierają do gabinetu, Bernard

dokładnie zamyka drzwi.

- Co się dzieje? - pyta zaintrygowany Brazuka.

- Chwila. - Bernard podchodzi do stojącego na biurku laptopa. Obok stoi butelka szkockiej i leżą papiery. W pokoju nie ma ani jednego zdjęcia. Czyli to sfera wolna od afiszowania się rodziną. Bernard odwraca monitor laptopa w stronę przyjaciela.

- Ale ślicznotka - komentuje Brazuka, przyglądając się zdjęciu młodej kobiety. Brunetka o intensywnie niebieskich oczach stoi na pokładzie jachtu, uśmiechając się promiennie. Jest wysoka i zgrabna.

- To Clementine. Była miłością mojego życia - szepcze Bernard.

Nawet hektolitry szpinakowego koktajlu nie uchroniłyby Brazuki przed powoli wypełzającym na skronie bólem głowy. Skoro Bernard użył czasu przeszłego, dziewczyna nie żyje.

- Kiedy to się stało? - pyta.

- W zeszłym tygodniu znaleźli ją w jej mieszkaniu. Podobno przedawkowała. Była... w czwartym miesiącu ciąży.

- Z tobą? - Gdy Bernard tylko unosi brwi, jakby odpowiedź na to pytanie była więcej niż oczywista, Brazuka zadaje następne pytanie: - Czego oczekujesz ode mnie?

- Nadal pracujesz w tej małej firmie ochroniarskiej? Myślisz, że daliby ci kilka dni wolnego?

- Biorę od nich tylko te zlecenia, które chcę. Są elastyczni i nie naciskają - odpowiada zgodnie z prawdą. Owszem, szefowie zaproponowali mu stały etat, a nawet udział w zyskach, ale odmówił, bo nie chciał być od nikogo zależny.

- Świetnie. Chcę, żebyś namierzył dilera, który jej sprzedał to świństwo.

- Posłuchaj, Bernard...

- Oczywiście zapłacę, i to dobrze.

- Nie chodzi o pieniądze...

- No to zrób to po starej znajomości, w imię naszej przyjaźni. Zginęła moja dziewczyna, zginęło moje dziecko. Chcę wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny.

- Po co ci ta wiedza? Zapewniam, że wcale nie osłabi twojego bólu i cierpienia. Nie odzyskasz dzięki temu spokoju. - Śmierć z powodu przedawkowania to zawsze paskudna sprawa, a w śledztwie wypłynie na powierzchnię mnóstwo brudów.

- Czy ja mówiłem, że pragnę odzyskać spokój? - Bernard opróżnił zawartość szklaneczki i rzucił ją za plecy. - Dam ci materiały ze śledztwa i listę jej znajomych. Policja nie znalazła nic ciekawego w jej telefonie. Clementine zażyła kokainę podrasowaną nowym, podobno silniejszym syntetycznym opiatem, który niedawno pojawił się na ulicy. To Dziesięć.

- Dzika Dziesiątka? Coś o tym słyszałem. - Owszem, zapamiętał tę idiotyczną nazwę, ale to łatwe, gdy dostajesz zlecenia od zaprzyjaźnionego i mieszkającego w sąsiedztwie dilera.

- No to wiesz, jak niebezpieczne jest to świństwo. Ona miała dopiero dwadzieścia pięć lat i całe życie przed sobą. Muszę poznać prawdę. Proszę.

- W porządku - odparł Brazuka po chwili wahania. Cholera, nigdy nie umiał odmówić pomocy. - Masz klucze do jej mieszkania?

- Oczywiście, jestem właścicielem.

- Oczywiście - mruknął Brazuka. - W takim razie biorę się do roboty. - Niemal dodał „proszę pana”, bo chociaż uratował Bernardowi życie, hierarchia w tym przyjacielskim związku sama się narzucała i wydawała się obu oczywista.

Rozdział czwarty

I znów jestem na wschodzie miasta, w domu siostry. Bez zegarka trudno byłoby zgadnąć, jaka to pora dnia. Mgła i dym, które spowijają wszystko wokół, utrzymują się od wczoraj i przywodzą na myśl filmiki ilustrujące spustoszone nałogiem płuca palacza. Mimo to, jak zwykle w sobotę, ludzie spacerują i jeżdżą na rowerach, tyle że bardziej narzekają na panujące warunki. Podobno płonie kolejny las na wybrzeżu, i to stamtąd napływa woń spalenizny, chociaż w samym Vancouver nie ma pożarów.

Czekam, aż Lorelei wyjedzie na drogę na tyłach domu. Jej mąż David siedzi na mikroskopijnej ławeczce i podziwia swój główniany ogródek. Większość ziół wygląda rachitycznie, tylko mięta krzewi się jak szalona. Ta scenka kojarzy mi się z tak modnymi ostatnio filmami postapokaliptycznymi. David ma minę, jakby na siłę i bez powodzenia próbował cieszyć się życiem. Żal mi go, tak jak żal mi wszystkich uczciwych i pracowitych ludzi, których przytłacza rzeczywistość. Jezu, nawet zioła w ogródku robią mu na złość i usychają.

Popija lekkie piwo i nawet nie podnosi się z ławki na mój widok. Kiedy widzieliśmy się ostatnio, rzucił mi pod nogi plik pieniędzy i zażądał, bym trzymała się jak najdalej od Lorelei. Ale nie wydaje się zdziwiony, że nie dotrzymałam słowa. A potem nagle dostrzega Sapkę i na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Wzięłam ją ze sobą, dobrze wiedząc, jak łatwo manipulować wielbicielami psów. Świadoma swej roli suczka podbiega do Davida i mocno trąca go łbem prosto w krocze.

- A co to za grzeczna dziewczynka? - szczebioce David i drapie Sapkę za uszami. - Jak się masz, słodziaku?

Kiedy podnosi wzrok na mnie, uśmiech zastyga mu na twarzy, ale ja udaję, że tego nie dostrzegam.

- Żółte pudełko - rzucam, od razu przechodząc do sedna.

- Szafa w pokoju gościnnym na piętrze - odpowiada po chwili wahania. - Najwyższa półka.

Mijam go bez słowa i wchodzę do domu. Jestem trochę skrepowana, bo na ogół wpadam tu po kryjomu jak włamywacz. Czy teraz, skoro David pozwolił mi wejść, powinnam zachowywać się inaczej?

Dom Lorelei odzwierciedla jej osobowość. Przestronny, bardzo uporządkowany, miły i przewidywalny do bólu. Tutaj za żadnymi drzwiami nie natkniesz się na niespodziankę. Kiedy wychodzę z domu z żółtym pudełkiem pod pachą, Sapka wdzięczy się do Davida. Rozwalona na plecach, z widocznym zadowoleniem przyjmuje głaskanie po brzuchu. Sprzedajna nimfomanka.

- Dziękuję - mówię, co David kwituje skinieniem. - Powiesz jej o mojej wizycie?

- Nie, dopóki nie zauważy braku pudełka. Na szczęście od lat do niego nie zaglądała.

Kiwam głową, a potem oboje opuszczamy wzrok jak współnicy, którzy właśnie wkroczyli na niebezpieczną ścieżkę. Teraz łączy nas niewidzialna nić porozumienia i wspólny sekret. Jesteśmy zgodni, że Lorelei nie powinna się dowiedzieć o mojej wizycie w jej domu. Ja na pewno nic jej nie powiem, bo już dawno przestała ze mną rozmawiać. David będzie milczał z powodu poczucia winy i wyrzutów sumienia, bo nadal martwią go nasze siostrzane stosunki. To nie ma z nim nic wspólnego, ale jest po prostu porządnym facetem. Dlatego pozwala mi umknąć z pudełkiem owiniętym w majtki Lorelei w jakże szykownym cielistym kolorze. Dobrze wie, że w środku są jedyne rzeczy, jakie nam zostały po ojcu.

Orgazm pojawia się szybko i trwa chwilę dłużej niż zazwyczaj. Nie odczuwam ani odrobiny wstydu, co można by uznać za sukces, o ile by mi na tym zależało. Ale nie zależy, tak jak prawie na niczym.

Nadal towarzyszy mi wrażenie, że ktoś mnie śledzi, ale w tej chwili i tak niewiele mogę zdziałać.

Rozluźniam nogi, którymi oplatałam głowę mężczyzny, i wciąż nurtują mnie wątpliwości, czy warto było się tłuc tutaj dla takich doznań. Chwilę później, gdy odwiązuję dłonie mężczyzny od wezglowia łóżka, nadal nie znajduję odpowiedzi to pytanie. Ubieram się i ruszam do drzwi, a kopertę z pieniędzmi kładę na komodzie. Jasne, jak już ma być banalnie, to po całości.

W drodze na motelowy parking przypominam sobie treść ogłoszenia, które zamieściłam w sieci:

Zwiążę ci ręce i usiądę na twojej twarzy. Kiedy będzie po wszystkim, wyjdę. Pamiętaj, żadnych numerów i głupich gierek. Mam zęby ostrzejsze od twoich.

Potem napisałam, ile jestem skłonna zapłacić. Według mnie zaproponowałam godziwą kwotę.

Patrząc na to z boku, trzeba przyznać, że ton ogłoszenia był mocno obraźliwy. Powinnam czuć do siebie większą odrazę niż do samotnych palantów, którzy na nie odpowiadają, ale nic takiego. Przyszłam, zrobiłam swoje i wyszłam. Wszystko zawsze odbywało się tak, jak zaplanowałam.

Moja stara corolla potrzebuje kilku minut, by zrozumieć, że znów wymagam od niej niemożliwego. Czekaając, aż silnik zaskoczy, zastanawiam się, kiedy będę miała dość. Ile męskich twarzy jeszcze spróbuję zgnieść biodrami, by poczuć ulgę i wyzwolenie.

Godzinę później parkuję obok restauracji u podnóża góry Burnaby i ruszam przez soczysty trawnik. Powietrze jest tu czystsze niż w mieście, a wzdłuż ścieżki prowadzącej do lasu

rosną piękne japońskie drzewka. Przyjechałam do ulubionego miejsca Mike'a Starlinga, dziennikarza i przyjaciela. Twierdził, że lepiej mu się tu rozmyśla. Tak było, dopóki nie znaleziono go w wannie z podciętymi żyłami. Dziwne, bo nigdy nie wydawał mi się typem samotnika wędrującego w zadumie po górach, ale cóż ja mogę wiedzieć. Szczerze mówiąc, utkwiły mi w pamięci jedynie dwa związane z nim wspomnienia - jego zamiłowanie do kawy i martwe ciało w wannie pełnej czerwonej od krwi wody.

Ludzie z mojej grupy wsparcia wciąż mnie przekonują, że skoro nie zabiłam Mike'a, to nie powinnam obarczać się winą za jego śmierć, ale mam w głębokim poważaniu ich zdanie na ten i inne tematy. Guzik wiedzą, bo nie powiedziałam im wszystkiego. Mike umarł przeze mnie, bo dopadli go ludzie, którzy mnie szukali. Zginął, bo postanowił mnie chronić. Może nawet siedział właśnie w tym miejscu i zastanawiał się, czy warto dla mnie ryzykować i kto na mnie poluje.

Upijam łyk kawy kupionej specjalnie na tę okazję, i na cześć Mike'a wypluwam na ziemię. Niech wie, że kobieta, którą ocalił, zachowała resztki poczucia humoru. Może rzeczywiście lubił tu przyjeżdżać i może zachowała się tu jakaś jego część, bo Mike był zagadkowym facetem.

Tak jak ja muszę już na zawsze pozostać zagadkową kobietą.

Rozdział piąty

Jest środek nocy. Rzeczy z żółtego pudełka leżą schludnie poskładane na stoliku przede mną. Siedzę na podłodze i uważnie im się przyglądam. Nie ma tego za dużo. List miłosny, zmięty strzępek błękitnego jedwabiu, pięć pocztówek wysłanych z Detroit i kilka podniszczonych fotografii. Na jednym młoda kobieta leżąca na łóżku trzyma w ramionach niemowlę. Widać tylko jej tułów, ciemne ramiona i pomarszczoną buzię dziecka. Wygląda na to, że kawałek fotografii po prostu odpadł. Z daty na odwrocie wnioskuję, że tym niemowlakiem jestem ja.

Odkładam zdjęcie.

Na dwóch kolejnych jestem ja, Lorelei i ojciec. Nie widnieją na nich żadne daty, ale zrobiono je w dużym odstępie czasu. Ja i Lorelei jesteśmy po prostu większe, natomiast nasz ojciec drastycznie się postarzał. Nadal miał czarne proste włosy, jednak na twarzy pojawiły się liczne i bardzo głębokie zmarszczki. Na pierwszym wyglądał jak dumny, chociaż nieco zmęczony ojciec. Na tym drugim jak ścigany człowiek, któremu zostało niewiele życia. Cóż, wychowanie dzieci to harówka nie dla każdego.

- Co robisz? - pyta Seb, stając w progu. Mój osobisty duch jest chorobliwie blady i wychudzony.

- Głodny? - Wskazuję pojemniki z daniami z pobliskiej restauracji, którą Seb zawsze bardzo lubił. Kupuję posiłki regularnie, mając nadzieję, że Seb wreszcie dostarczy organizmowi trochę węglowodanów. Z taką samą regularnością następnego dnia wszystko podgrzewam i zjadam, bo Seb nigdy niczego nie tyka. Zapewnia mnie, że dobrze się odżywia, ale nigdy nie widziałam, by cokolwiek jadł.

Ja natomiast, od kiedy się do niego wprowadziłam, przytyłam o pięć kilogramów.

Potrząsa przecząco głową i podchodzi do stolika.

- Kim są ci ludzie? - pyta, zerkając ciekawie na fotografie.

- Mój ojciec i siostra.

- I ty. Śliczna dziewczynka. - Uśmiecha się i wszystko wokół od razu jaśniej, a mnie udaje się na chwilę zapomnieć, jak niewiele życia mu pozostało. - Urządzasz wycieczkę do przeszłości? Po co?

Już nie mamy przed sobą sekretów, szkoda na to czasu. Opowiadam mu o mężczyźnie spotkanym w parku, który podobno znał mojego ojca.

- Dziwne - mruży i opada na fotel, jedyny mebel, jaki tu pozostał po jego kochanku Leo. - Twój ojciec umarł wieki temu. Po co do tego teraz wracać?

- Właściwie... - Wzruszam ramionami i wędruję wzrokiem po pokoju, unikając patrzenia na zdjęcia.

- O co chodzi?

- Właściwie nic o nim nie wiem. Po śmierci ciotki umieszczono nas w rodzinach zastępczych. Rzeczy z pudełka to moje jedyne pamiątki. Ciotka zapisała wszystko organizacji dobroczynnej. Może miała jakieś papiery i zdjęcia, ale przepadły. - Tak naprawdę wiem niewiele nie tylko o ojcu, nie mam też pojęcia, jak wyglądało moje wczesne dzieciństwo. Tego oczywiście nie muszę mówić, Seb dobrze to rozumie.

- I właśnie tym się martwisz? Że zostało ci po nim tylko jedno pudełko? - Mówi tak łagodnym i zarazem pogodnym głosem, że natychmiast opada ze mnie całe napięcie. - Biorąc pod uwagę jego losy, to wcale nie tak mało. Dzieci z mieszanych małżeństw były często zabierane rodzicom i oddawane do adopcji. Niektórzy nie wiedzą nic o swoim pochodzeniu i nie mają żadnych pamiątek z dzieciństwa.

Jasne, a niektórzy mają więcej lub tyle samo co ja. Kto wie,

ile osób padło ofiarą kanadyjskiej polityki rządowej, mającej rzekomo służyć asymilacji. Dzieci odebrane siłą rodzicom, wyrwane z rezerwatów, dorastały na ogół z dala od wielkich miast, a na prowincji musiało być im ciężko. To w sumie najczęściej stosowana polityka służąca wynarodowieniu, takie wyrwanie korzeni. Stosowali ją wszyscy kolonizatorzy, i zawsze zaczynali od dzieci.

Seb ma pewnie rację i powinnam być wdzięczna, że w ogóle pozostało mi kilka pamiątek, jednak ja jestem w trochę innej sytuacji.

- Martwi mnie nie tyle brak informacji, co ich szczątkowy charakter. Nie znam wielu fragmentów tej układanki.

- A to? - Sięga po pocztówki z Detroit. Na żadnej nie ma podpisu, tylko imię i nazwisko mojego ojca. Pismo jest schludne i pochyłe.

- Ojciec dorastał w Detroit. Tam mieszkała rodzina, do której trafił. Nigdy mi o nich nie opowiadał, a ciotka też niewiele wiedziała.

Seb na chwilę zamiera, patrzy gdzieś w przestrzeń, ale ma nieobecny wzrok. Równie nieoczekiwanie przełącza się z trybu uśpienia w stan wyjątkowego ożywienia. Zrywa się z krzesła i energicznie ujmuje mnie za dłonie.

- Nic nie dzieje się bez powodu - prawie krzyczy. - Ten facet pojawił się nagle w twoim życiu jak grom z jasnego nieba i zmusił, byś zaczęła grzebać w przeszłości ojca. Może pora odkryć, kim naprawdę był.

Teraz, kiedy już od dawna nie żyje? Krzywię się nieznacznie.

Mam ochotę powiedzieć Sebowi, żeby pilnował własnego nosa. Skoro chce urządzać własne wycieczki w zamierzchłe czasy, OK, jego sprawa, ale mnie niech w to nie wciąga. Już wiem, dlaczego jestem wytrącona z równowagi - po raz pierwszy od dawna w ogóle rozmawiam z kimś o moim ojcu. Ukryłam wszystkie wspomnienia w bunkrze z litego betonu,

w prawdziwym schronie przeciwtomowym. Po co do tego wracać, skoro mam tak wiele pytań i żadnych odpowiedzi?

- Jedź do Detroit - nadal gorączkuje się Seb. - Ustal, kto wysłał te pocztówki. Jeśli nie pojedziesz, ta sprawa nigdy nie da ci spokoju, będzie cię ścigać jak wściekły pies.

Nagle do mnie dociera, do czego naprawdę zmierza. Pragnie uchronić mnie przed błędem, który sam popełnił. Powinnam ugryźć się w język, niestety nie potrafię. Zupełnie jakbym utraciła kontrolę nad słowami.

- Tak jak Leo będzie zastanawiał się do końca życia, dlaczego zataiłeś przed nim chorobę. No wiesz, jak już umrzesz. - Leo, kochanek Seba, który był załamany, gdy położyłam mu na biurku wymówienie i oznajmiłam, że wolę pracować z Sebem. Uznał to za brak lojalności, nie miał pojęcia, o co naprawdę chodzi. Byłam jedną z nielicznych osób, które wiedziały o chorobie Seba. Musiałam obiecać, że zachowam tę informację dla siebie.

Seb gwałtownie puszcza moje dłonie, zupełnie jakby się oparzył, i bez słowa wychodzi. Sapka wstaje z gracją i rusza za nim. Ignoruje mnie, jak Seb przed chwilą. Zapewne w ten sposób daje do zrozumienia, że nie zasługuję na przyjaźń żadnego z nich.

Kiedy słyszę, jak zatrząskują się za nimi drzwi sypialni, gaszę światło i podchodzę do okna. Ostrożnie odchyłam firankę i wpatruję się w park po drugiej stronie ulicy. Nikogo nie dostrzegam, ale to przecież nic nie znaczy. Być może tajemniczy mężczyzna stoi ukryty w mroku i obserwuje dom.

Dzwonię do Davida, który do tej pory nawet nie wiedział, że znam numer jego komórki. Dobrze mieć kogoś, kto zawsze odbierze telefon. Oczywiście nie ma mnie w swoich kontaktach, ale jest zbyt dobrze wychowany, by przerwać połączenie.

- Halo? - mocno zaspany odbiera po czwartym dzwonku.

- Mówi Nora. Czy Lorelei kiedykolwiek sprawdziła ten adres z Detroit? Wiesz, ten z pocztówek schowanych w żółtym pudełku.

Na chwilę zapada cisza, potem słyszę szelest pościeli i skrzypienie zamykanych drzwi.

- Nie, wysłała tam kilka listów, kiedy była na studiach, ale nigdy nie dostała odpowiedzi - szepcze. - Wtedy nie było jej stać na bilet, a potem dała spokój. Wybierasz się tam?

- Sama nie wiem - odpowiadam po chwili wahania. - Dzięki. Nigdy się nie zmieniam. - Rozłączam się, nie czekając na odpowiedź. Warto trochę zawstydzić ludzi umiejętnie dobranym komplementem. Większa szansa, że gdy znów ich wyrwiesz ze snu, odbiorą połączenie.

Kiedy Seb zapytał, co mnie właściwie dręczy, odpowiedziałam na okrągło, bo naga prawda wydała mi się zbyt brutalna. Kiedy kula roztrzaskuje ci czaszkę, krew i mózg rozbryzgują się po całym pomieszczeniu. Jeżeli przystawisz lufę bardzo blisko, osmalona skóra natychmiast czernieje. Trzeba mieć dużo szczęścia, by przeżyć taki strzał. Mój ojciec nie miał.

Nie mogę przestać myśleć o powodach, które popchnęły ojca do tak desperackiego czynu. Zostawił na pastwę systemu dwie małe córki. Musiał sobie zdawać sprawę, jak spieprzy nam życie. A może Seb ma rację, może w Detroit znajdę odpowiedzi, których szukam.

Rozdział szósty

Kilka miesięcy temu, gdy jeszcze Seb, Leo Krushnik i ja pracowaliśmy razem w biurze przy Hastings Street, Leo położył na moim biurku wniosek paszportowy. Według niego wyjazdy zagraniczne mogą w zasadniczy sposób urozmaicić moje żalosne życie seksualne.

- Przecież nie jesteś martwa od pasa w dół - rzucił wesoło. - A w tym mieście trudno znaleźć partnera. - Rzucił figlarne, a zarazem tęskne spojrzenie na Seba.

Wtedy po raz pierwszy dostrzegłam, jak bardzo się od siebie oddalają.

Zmierzam w stronę biura skoro świt, bo o tak wczesnej porze Leo na pewno jeszcze śpi. Muszę jednak zachować ostrożność, ponieważ jego nowy wspólnik to niezłe dziwadło, kto wie, w jakich godzinach pojawia się w pracy. Otwieram moim starym kluczem, dziwiąc się, że Leo nie pomyślał o zmianie zamka. Byłam tu przecież nie tak dawno, a teraz wewnątrz wygląda zupełnie inaczej. Przede wszystkim zniknęły wszystkie przedmioty, które mogłyby przypominać o istnieniu Seba. Na ścianach nie wiszą jego dyplomy i nagrody, ale nagle sobie uświadamiam, że w domu Seba też ich nie widziałam. Czyżby Leo rozprawił się z nimi w sposób ostateczny?

Chociaż biuro mieści się w kiepskiej dzielnicy, teraz wygląda naprawdę elegancko. Dyskretne akcenty przypominają, że to siedziba odnoszących sukcesy detektywów, nie ma w tym żadnego chamskiego marketingu. Kiedy Seb zaproponował, bym odeszła razem z nim, zrobiłam to bez wahania, ale po raz pierwszy odczuwam nutkę żalu i tęsknoty za starymi czasami. W recepcji nadal stoi moje biurko, teraz udekorowane wazonem z tak olbrzymim bukietem, że kwiaty niemal

zasłaniają cały blat.

Stevie Warsame, nowy wspólnik Leo, miał duży wkład w urządzenie biura. W jednym rogu powstało coś w rodzaju centrum komputerowego, w drugim stoi biurko, które natychmiast przyciąga moją uwagę. Przyszłam tu w innym celu, ale ciekawość okazuje się silniejsza i bez wahania otwieram szufladę. Nic ciekawego, kilka kart SIM, szpargały przydatne w pracy detektywa i tabelka z wartościami odżywczymi soków warzywnych. Hm, czyżby Leo zastąpił mnie ogromnym wazonem, a przy biurku Seba posadził jakiegoś nawiedzonego weganina?

- Znalazłaś to, czego szukasz? - słyszę za plecami znajomy głos.

Brazuka, mój niegdysiejszy sponsor z AA, opiera się nonszalancko o drzwi i bacznie mnie obserwuje. Ostatnio widziałam go rok temu. Zapewnił mnie wówczas, że wybacza mi wszystko, co mu zrobiłam. Wielkie rzeczy, spiłam go, nafaszerowałam proszkami i zostawiłam przywiązanego do wezglowia łóżka w pewnym eleganckim górskim hotelu. A to wszystko ze złości, że mu zaufałam, chociaż w wielu sprawach kłamał jak z nut.

I oto znów stoimy twarzą w twarz, oboje nieco bardziej sfatygowani niż ostatnio, chociaż on jednak mniej. Czyżby zbawienny wpływ diety opartej na świeżych warzywach? Nie jest już upiornie blady, a jego oczy nabrały blasku. Z niewiadomego powodu wyobrażam sobie, że uprawiamy seks, ale jest to dosyć koszmarna wizja. Przyciskamy do siebie nasze kościste ciała, nie odczuwając przy tym nawet odrobiny satysfakcji czy rozkoszy. To raczej zapasy, w każdym razie tym zmaganiom daleko do udanego seksu. Gdyby Brazuka odpowiedział na mój erotyczny anons, na pewno skasowałabym wiadomość.

- Zmieniłeś styl życia na zdrowszy? - pytam ze złośliwym

uśmieszkiem.

Szczerzy zęby, zupełnie jakby nie dzieliło nas o wiele więcej niż dwa metry od drzwi do biurka, jakbyśmy byli sobie w jakiś sposób bliscy. To jednak szybko mija i Brazuka powraca do rzeczywistości. Przypomina sobie, co nas naprawdę łączy – wzajemny brak zaufania i jeden orgazm.

- Coś w tym stylu. Co tu robisz? Myślałem, że obecnie pracujesz z Crowem.

- A co ty tu robisz? Myślałam, że pracujesz w WIN Security.

- Ta firma ochroniarska została wynajęta, by odszukać moją zaginioną córkę Bonnie. Opłacona przez skorumpowaną rodzinę, stosowała gangsterskie metody. Gdyby przybrani rodzice Bonnie nie poprosili mnie o pomoc, nawet nie wiedziałabym o jej zaginięciu. Poszukiwania córki uruchomiły cały łańcuch wydarzeń, w wyniku których prawie zakończyłam życie na dnie oceanu.

- Poprzedni rok był trudny, potrzebowałem zmiany. Nie odpowiedziałś na pytanie. - Wchodzi do pokoju, a ja odruchowo napinam mięśnie. Ramię nadal mnie boli po zeszłorocznym postrzale, na szczęście dzięki intensywnej fizykoterapii jestem w stanie ukryć, że wciąż kuleję po niezaleczonej kontuzji kostki. Natomiast Brazuka cały czas kuleje po postrzale w nogę, pamiętce z czasów, gdy był gliniarzem. Możliwe też, że to nie tyle niesprawna noga, co mentalność ofiary, którą zawsze miałam mu za złe.

- Szukam Steviego.

- Pracuje nad ważnym zleceniem – odpowiada Brazuka, a ja wreszcie wiem, dlaczego Stevie nie odpowiada na moje telefony. - Czy coś mu przekazać?

Niby po co miałabym prosić o to Brazukę, sama potrafię przesłać wiadomość. Tyle że wolałabym nie pisać w mejlu, o co mi chodzi. Jeszcze nie wynaleziono klawiatury, która by to zniosła.

- Przez kilka dni mnie nie będzie. Chciałam, by zajrzał od czasu do czasu do Seba.

Nie pyta, dokąd się wybieram, ja też nic nie wyjaśniam.

- Coś z nim nie tak?

Opowiadam mu o chorobie Seba i nieskutecznej terapii.

- Leo nic nie wie - dodaję na koniec. - Skoro Stevie jest zajęty, może ty mi pomożesz? Oczywiście zapłacę.

- Dlaczego wszyscy uważają, że na gwałt potrzebuję pieniędzy? - mruczy, nerwowo przeczesując włosy.

Wzruszam ramionami. Domyślam się, że chodzi o jego garderobę, nie tyle znoszoną, co od kilku lat niemodną. Oczywiście zachowuję te spostrzeżenia dla siebie, bo męskie ego jest takie wrażliwe i kruche.

- Jak często? - pyta.

- Co kilka dni. Osoba, którą wynajęłam do wyprowadzania psa, będzie tam codziennie.

- Nie bierzesz psa? - pyta zdumiony - Zresztą nieważne, nie chcę wiedzieć.

Przechodzę obok niego, starannie unikając kontaktu. Gdy go ostatnio dotykałam, wlałam mu do gardła morze alkoholu, wiedząc, że jest alkoholikiem. Nigdy za to nie przeprosiłam i nadal nie zamierzam. Wiem, że ludzie rzadko bywają szczerzy, ale jego kłamstwa zabolowały mnie najmocniej, ponieważ mnie zaskoczyły. Nic nie wyczułam, a może po prostu nie chciałam tego brać pod uwagę. Już nigdy nie powtórzę takiego błędu.

- Krushnikowi to się nie spodoba - mówi, gdy docieram do drzwi.

- Możesz mu powiedzieć o mojej wizycie. Jeśli chcesz.

Oboje wiemy, że tego nie robi, to będzie nasz wspólny sekret. Być może opowiemy o tym Leo w stosownym czasie, ale nie teraz. A zatem dzielę kolejną tajemnicę z kolejnym mężczyzną. Jak widać, ostatnio kolekcjonuję takich na pęczki.

Wpada mi do głowy, by wykorzystać jego talent obserwacyjny, bo to jeden z jego mocniejszych punktów.

- Zauważyłeś może kogoś przed budynkiem? Kogoś... podejrzanego?

- To część miasta, w której wszyscy wyglądają podejrzanie. - Patrzy na mnie, jakbym się urwała z choinki. Jasne, ta dzielnica zgarnia samych popaprańców, dlatego czuję się tu tak swojsko. Narkomani, alkoholicy i dziwacy dręczeni przez demony włóczą się po okolicznych ulicach, bo z innych ich przeganiają.

Kiwam głową i wzdycham. I to tyle w kwestii jego nadzwyczajnego talentu obserwacyjnego.

W drodze do samochodu mijam grupkę ludzi okrążających leżące na ulicy ciało. Sprawdzam, czy nie ma wśród nich mężczyzny z parku. Nie, nie widzę go. Przez kilka sekund obserwuję scenę, która tak zaciekała przechodniów. Nad leżącą i najwyraźniej nieprzytomną kobietą nachyla się jakiś mężczyzna, mówi do niej coś po cichu, a potem wyciąga z kieszeni strzykawkę i napełnia ją płynem z ampułki. Gdy wbija igłę w udo kobiety, ktoś z tłumu ze świstem wypuszcza powietrze. Musiał zabłądzić tu z innej dzielnicy, miejscowi już dawno przywykli. Nie czekam, by sprawdzić, czy kobieta ocknie się z narkotycznej zapaści. Wokół jest mnóstwo ludzi, którzy mogą jej udzielić pomocy, poza tym mam własne problemy.

Po powrocie do domu odnajduję Seba w gabinecie. Siedzi z głową opartą o blat biurka, ma zamknięte oczy. Sapka leży przy jego stopach i patrzy na mnie oskarżycielsko. Na chwilę chwytam go za gardło paniczny strach, ale potem zauważam, że Seb oddycha i moje serce się uspokaja. Nie jestem siłaczką, na szczęście nawet większe chuchro bez trudu podniosłoby i podtrzymało Seba. Jego ciało przypomina worek kości połączonych cienutkimi ścięgnami i wątłymi mięśniami. Kładę go delikatnie na kanapie i obejmuję straż, rozsiadając się

wygodnie w stojącym obok fotelu.

Podczas przeprowadzki Leo zabrał z domu prawie wszystko oprócz książek. Gdyby wiedział, jak bardzo Sebowi na nich zależy, na pewno by ich nie zostawił. Teraz, gdy tylko Seb czuje się lepiej, opowiada i zapisuje wspomnienia, często odwołując się do literatury. Ja uważnie słucham i robię podczas tych sesji własne notatki albo spisuję słowa Seba, gdy on nie ma na to siły. Zawsze pracujemy w tym pokoju, a bagaż osobistych doświadczeń zostawiamy za drzwiami. Każdy potrzebuje takiego azylu, w tym pokoju czujemy się bezpieczni, obserwowani jedynie przez książki, które tak wiele dla Seba znaczą.

Nigdy nie byłam intelektualistką, jednak w tym domu przeżyłam prawdziwe oświecenie i zrozumiałam siłę pisanego słowa. Najbardziej poruszyły mnie wiersze Cesaire'a, pisarza i polityka z francuskiej Martyniki, który przez całe życie nawoływał do poszerzania horyzontów i analizował, dlaczego większości ludzi przychodzi to z takim trudem. Według niego idee powinny swobodnie szybować po całym świecie, bo gdy już wyrwą się na wolność, nie dają nam spokoju, są jak natrętne muchy.

W zeszłym tygodniu, zanim gęsty dym z płonących lasów otulił miasto cuchnącym kokonem, wybrałam się z Sapką na spacer nad ocean. Miałyśmy dużo czasu, bo Seb leżał w szpitalu. Obserwowałyśmy krążące nad wodą ptaki, które co chwilę nurkowały. Nawoływały się, zataczając coraz mniejsze kręgi nad upatrzonym celem. Dopiero po kilku minutach dostrzegłam, że zaraz zaatakują kaczuszkę, która odłączyła się od stada i wyraźnie opadła z sił. Płynęła coraz wolniej, zmierzając ku tragedii, którą zgotował jej los.

Ta scenka w pełni odzwierciedla odwieczny porządek świata. Nieszczęście dopada cię, gdy jesteś najsłabszy.

Wróciłam myślami do mężczyzny z parku, którego nawet nie

zapytałam o nazwisko. Zasugerował, że ojciec przeżył wiele trudnych chwil, a stres, którego nie mógł dłużej znieść, popchnął go do samobójstwa.

Może to dziwne, ale właśnie dzięki przywołaniu w pamięci wiersza Césaire'a zaatakowała mnie pewna idea, rzeczywiście natrętna niczym rozwścieczona mucha. A co, jeżeli nie znam całej prawdy o śmierci ojca? Może rzeczywiście pora poszerzyć horyzonty.

Rozdział siódmy

Brazuka w myślach odwołuje wszystkie dotychczasowe poglądy na temat utrzymanek, i to natychmiast po wkroczeniu do mieszkania Clementine. Spodziewał się nieziemskiego bałaganu, tymczasem wewnątrz jest wyjątkowo schludne. Zero erotycznych gadżetów i zero ekstrawagancji, chyba że za taką można uznać wynajmowanie nieziemsko drogiego lokum z oknami wychodzącymi na Zatokę Angielską. Jest zdumiony przytulnością miłego gniazdka, panującą tu wręcz domową atmosferą. Meble są drogie, ale nie sposób dopatrzyć się epatowania bogactwem. To wewnątrz urządził ktoś obdarzony wyrafinowanym zmysłem estetycznym.

Popołudniowe światło opromienia salon, nieco rozmywając kształty przedmiotów. Brazuka od razu zauważa oprawioną fotografię, na której Bernard Lam, przez przyjaciół zwany też Bramem, czule obejmuje uśmiechniętą Clementine. Oboje wpatrują się w wodę w miejscu, gdzie fiord Burrard spotyka się z fiordem Indian Arm. Brazuka jeszcze nigdy nie widział Brama równie szczęśliwego jak na tym zdjęciu.

Kiedy słyszy dobiegający z wnętrza mieszkania dźwięk, szybko odstawia fotografię, przechodzi przez elegancką kuchnię i staje przy drzwiach sypialni.

- Halo, jest tam kto? - pyta.

Na podłodze siedzi młoda Chinka ubrana w bluzę z logo University of British Columbia. Bezwiednie przeczesuje zmierzwiłone włosy, wygląda na kompletnie zagubioną. Wokół niej piętrzą się stosy ubrań, torebek i butów.

Nie wydaje się zdziwiona ani przestraszona widokiem Brazuki. Przez chwilę mierzą się wzrokiem, potem dziewczyna wskazuje jeden z okalających ją stosików i mówi:

- Masz pojęcie, ile kosztują torebki od znanych projektantów? Nie, raczej nie, sądząc po twoich ciuchach. Bardzo się różnisz od facetów, z którymi zwykła umawiać się moja siostra.

Brazuka jest zbyt oszołomiony, by przejąć się jej krytycznymi uwagami. Krzyżuje ramiona i opiera się o framugę.

- Tysiące dolarów - ciągnie dziewczyna. - Te tutaj muszą być w sumie warte około pięćdziesięciu tysięcy. Co ja z tym wszystkim zrobię?

- Możemy dokładnie sprawdzić, ile są warte, sprzedać je i podzielić się zyskiem. Oboje będziemy bogaci.

- Po co sprawdzać, metki mówią same za siebie. Chcesz być moim wspólnikiem? Nawet nie wiem, kim jesteś.

- Jon Brazuka. Przyjaciel Clementine poprosił, żebym się tu trochę rozejrzał.

Dziewczyna rzuca mu tak wściekłe spojrzenie, że Brazuka instynktownie się cofa.

- Mówisz o Bernardzie Lamie? - niemal syczy i podrywa się na nogi. - Jest wściekły, że ktoś popsuł jego zabawkę, tak?

- Nie traktował Clementine jak zabawki.

- Może na wstępie coś ci wyjaśnię. - Dziewczyna podchodzi do Brazuki i dźga go palcem w podbródek. - Nie wiem, dlaczego używała tego idiotycznego imienia, bo naprawdę nazywała się Cecily Chan. Była świetną uczennicą, ale przerwała naukę, bo postanowiła zostać modelką. Była cudowną osobą i miała kochającą rodzinę.

Brazuka szybko unosi dłonie w geście pojednania. Miał ciotkę o mieniu Cecily, dlatego świetnie rozumie, dlaczego młoda kobieta wolała używać innego, nie tak archaicznego imienia.

- Dobra, załapałem - mruczy.

- Przepraszam. - Dziewczynie zbiera się na płacz, ze złością kopie w torebkę wartą więcej niż jego miesięczne dochody. -

Zachowuję się jak wariatka, nie umiem zapanować nad złością. Moja siostra nie żyje, zostało po niej tylko mnóstwo drogiego gówna, z którym muszę coś zrobić.

Brazuka idzie do kuchni i włącza czajnik. Po chwili wahania dziewczyna rusza za nim. Karton wypełniony torebkami stawia obok innych pudeł w salonie. W kuchni staje na palcach i wyciąga z szafki torebkę z herbatą. Po zaparzeniu aromatycznej jaśminowej herbaty siadają przy stoliku ustawionego naprzeciwko okna wychodzącego na zatokę.

W pokoju powoli zapada zmrok, słońce chowa się za taflą wody, ale żadne z nich nie kwapi się, by zaciągnąć żaluzje i zapalić światło. Brazuka czasami zapomina, jak piękne jest to miasto i dlaczego nigdy nie chciał stąd wyjechać. Jest tak pogrążony w myślach, że dopiero po chwili zauważa badawczy wzrok dziewczyny.

- Mam na imię Grace - mówi, gdy wreszcie Brazuka na nią spojrzał.

- Powinnaś poprosić kogoś o pomoc w porządkowaniu rzeczy Cecily.

- Nie mam kogo.

- A rodzice?

- Nigdy by tu nie postawili nogi. Cecily zerwała z nimi kontakty kilka lat temu. Kiedyś powiedziała, że życzy im śmierci. Odparli, że wobec tego może ich uważać za martwych. Po tej kłótni wyniosła się z domu. To była ich ostatnia rozmowa. Nie przyszli na jej pogrzeb, kiedy dowiedzieli się, że za wszystko płaci ten dupek. Byłam tylko ja i kilkoro kuzynów. Myślę, że nie miała wielu przyjaciół, przynajmniej pod koniec życia.

- No dobra, mogę ci pomóc z tym bałaganem. - Brazuka patrzy na stertę kartonów. - Gdzie mieszkasz?

- W Richmond. Rany, co to za spojrzenie?

- O co ci chodzi?

Grace ściska tak mocno filiżankę, jakby zamierzała ją rozbić. Narasta w niej złość, może z powodu śmierci siostry, a może dlatego, że musi sobie sama poradzić z tym całym bałaganem.

- Uważasz, że wszyscy w Richmond robimy się sportowymi brykami i uczymy się gry na skrzypcach. Masz nam za złe, jak cała reszta, że zawłaszczamy krok po kroku wasze miasto, tak? Jak jakaś zaszara szarańcza? Wiesz co, rodzina mamy mieszka tu od czasów, gdy jej przodkowie budowali kolej na Zachodnim Wybrzeżu, a ojciec przyjechał do Kanady jako dzieciak. Oboje są inżynierami. Nikomu nie sprzątnęli sprzed nosa miejsca pracy ani domu, na wszystko ciężko zapracowali, tutaj są nasze korzenie. Ja studiuje architekturę.

Nie zdziwiła go ta żarliwa przedmowa. Wielu uważało, że ceny na rynku nieruchomości gwałtownie wzrastają przez chińską ekspansję. Połowa mieszkańców Richmond to imigranci, a niektórym nie podobały się zmiany w strukturze demograficznej miasta. Tak jakby długo skrywany rasizm powoli znajdował ujście i wypęłał coraz odważniej na zewnątrz. Brazuka był tego świadom, dlatego ogień w oczach Grace uznał za w pełni usprawiedliwiony. Zrobiło mu się jej żal.

- Nie powiedziałem, że twoja rodzina nie ma czego szukać w mieście. I naprawdę bardzo mi przykro z powodu śmierci twojej siostry. - Delikatnie ujął jej dłonie.

- Moja siostra... sprzedała się. - Grace powoli splata palce z palcami Brazuki. Łamie jej się głos, ale nie płacze. - Pracujesz dla Lama, tak? Wiesz, z jakimi kobietami się zadawał.

Brazuce robi się nieswojo, dostrzega we wzroku Grace coś niepokojącego. Zabiera dłonie, ale nie bardzo wie, co z nimi zrobić, więc coraz bardziej zakłopotany wkłada je do kieszeni.

- Ja tylko obiecałem mu wyjaśnić okoliczności jej śmierci.

Jestem... byłem gliniarzem.

- Ale już nie jesteś. - Odsuwa stolik i wdrapuje się Brazuce na kolana.

- Grace, co ty wyprawiasz? - pyta Brazuka, zastanawiając się, czy zdoła odmówić napalonej i zarazem nieszczęśliwej kobiecie.

- Chcę... chcę się chociaż przez chwilę poczuć jak ona - szepcze Grace, a potem zaczyna go całować.

Chodziło wyłącznie o seks, myśli Brazuka dużo później, gdy odpoczywają w łóżku jej siostry. Ostatnio ma szczęście do kobiet, które nie są nawet w najmniejszym stopniu zainteresowane czułością. Zastanawia się, czy dzięki niemu Grace poczuła się jak dziwka, w każdym razie on właśnie tak się czuje. Jest ciemno i tak cicho, że chrobot klucza w zamku natychmiast zwraca ich uwagę. Brazuka przykładą palec do ust Grace, a potem szybko wciąga dzinsy. Za plecami słyszy, że ona też w pośpiechu się ubiera.

Rusza szybko korytarzem, zatrzymując się na chwilę na progu salonu.

Nie bardzo wie, co spodziewał się zobaczyć, jednak na pewno nie tej drobnej kobiety w bardzo obcisłych spodniach. Nieznajoma stoi na środku pokoju, w rękę trzyma telefon komórkowy. Uważnie przygląda się kartonom stojącym pod ścianą. Podchodzi do tego z torebkami i zaczyna w nich grzebać. Ma ciemne, bardzo długie i tak lśniące włosy, że nawet Brazuka, fryzjersko-modowy ignorant, wie, że wyczarowanie takiej fryzury musiało kosztować majątek. Wreszcie z jednej z torebek kobieta wyciąga wibrującą komórkę i wyłącza własny telefon.

- Ty pewnie jesteś dilerką - mówi Brazuka.

Kobieta na chwilę zamiera. Nie reaguje jednak na słowa Brazuki, który czuje na karku gorący, przyspieszony oddech Grace.

Brazuka wskazuje telefon, który nieznajoma wyciągnęła z torebki. To tani i powszechnie dostępny model.

- Ten telefon służył jej wyłącznie do kontaktu z tobą, prawda? Sprytne.

- Tak, lepiej nie ryzykować - odpowiada kobieta dziewczęcym głosem i uśmiecha się szeroko.

No właśnie, Brazuka przyszedł do mieszkania Clementine, bo w jej telefonie, który dostała od Lama, nie znalazł żadnych podejrzanych kontaktów. Skoro jednak brała narkotyki, musiała w jakiś sposób zamawiać dostawę towaru.

- Ty suko - warczy Grace, wchodząc do salonu.

Kobieta przez chwilę uważnie studiuje jej twarz. Jest tak drobna i tak słodko się uśmiecha, że wydaje się bardzo młoda. Jednak zdradzają ją oczy, i Brazuka dochodzi do wniosku, że musi być co najmniej o dziesięć lat starsza, niż początkowo sądził.

- Zawsze do usług, złotko - rzuca wreszcie w stronę Grace, a potem zwraca się do Brazuki: - Bernie pewnie prosił, żebyś mnie odszukał, co?

- Skąd wiesz? - Brazuka jeszcze bardziej zdumiewa to, że ktoś mówi o Lamie Bernie. Chyba nie ma osoby, która by się na to odważyła, chyba że za jego plecami.

- Och, wiem o nim wszystko. - Kobieta lekceważąco macha wypielegnowaną dłonią. - W takim razie ty musisz być faciem o ksywie Brazuka. Clem często o tobie gadała, musiała słyszeć to i owo od Berniego. Cóż, żyła jego życiem, bo właściwie nie miała własnego.

- A kim ty jesteś?

- Priya. Nie ma sensu kłamać. Jeśli opisziesz mnie Berniemu, od razu będzie wiedział, o kogo chodzi. Zresztą to ja ich ze sobą poznałam.

- Lama i Clementine?

- Tak. Pomagam najlepszym klientom znaleźć... towar

najlepszej jakości. Berniemu wciąż było mało azjatyckich cipek. Oczywiście chodziło o zabawę bez zobowiązań. Wiedziałam, że Clementine spełni jego oczekiwania. – Opowiada ze swadą, celowo ignorując Grace. – Ludzie to zabawne istoty. Ignorują fakty, naginają rzeczywistość do swoich wyobrażeń.

– Co jej sprzedawałaś? – pyta Brazuka i odsuwa się od Grace, która jest na skraju wybuchu.

– Nic, co mogłoby ją zabić, jeśli o to pytasz. Rzadko zajmują się dilerką, ale byłam winna Clementine przysługę, a mam kilka przydatnych kontaktów. Powiedziałam jej, że to ostatnia dostawa i powinna na jakiś czas przystopować. Coraz trudniej było jej ukryć uzależnienie. Nie chciałam, żeby Bernie się dowiedział, miałyby do mnie pretensję. Cóż, już za późno. Nie umiała się pohamować, a ja przez nią wpadłam w szambo.

– Skąd bierzesz towar?

– Chwila. – Grace rzuca Brazuce wściekłe spojrzenie. – Po to cię tu przysłał? Chodzi o dragi? Na litość boską, moja siostra nie żyje!

– Chyba musicie sobie to i owo wyjaśnić. Tak, macie do pogadania. – Priya rusza w stronę drzwi.

– To my mamy do pogadania. W cztery oczy. – Brazuka zagradza jej drogę. Od początku źle to rozegrał, nie powinien gadać na te tematy przy Grace.

– Nigdzie się nie ruszę. – Grace buntowniczo unosi podbródek. – Chcę być przy tej rozmowie.

– Pewnych rzeczy wolałabyś nigdy nie usłyszeć. Uwierz mi na słowo. – Priya podnosi swoją torebkę i po namyśle bierze jeszcze tę, w której znalazła komórkę i szykuje się do wyjścia.

Brazuka patrzy przeproszająco na Grace i idzie za Priyą, a zapłakana i zagubiona Grace zostaje na środku pokoju.

– Nie podam ci żadnych nazwisk – oświadcza Priya, gdy Brazuka dogania ją przy windzie, zaskoczony, że dał radę tak

szybko tu dotrzeć. No tak, na krótkich dystansach nie odczuwa bólu w nodze. – Rozumiesz, prawda? Bernie by naciskał, ale ty wydajesz się rozsądny.

– On ją chyba naprawdę kochał. Muszę mu coś powiedzieć.

– Jesteś alkohikiem?

– Już nie. – Przynajmniej od czasu, gdy Nora społa go w hotelu do nieprzytomności. Nie docenił jej i zapłacił za to wysoką cenę.

– Szkoda. Podobno w Gastown jest świetny bar. Podają tam też pyszne koktajle owocowe.

Gdy zamykają się za nią drzwi windy, Brazuka rozważa powrót do apartamentu Clementine. Może powinien pomóc Grace posortować rzeczy siostry, pocieszyć ją, dodać otuchy. Nie, ma robotę do wykonania. Wyczuł, że Priya chce mu coś powiedzieć.

A co do Grace... Nic więcej nie jest w stanie dla niej zrobić.

Rozdział ósmy

We wtorkowy wieczór czekam na Simone w klubie słynącym z występów drag queen. Wszędzie wokół piętrzą się stosy kolorowych piór i kostiumów ciężkich od błyskotek. Czuję się, jakbym trafiła do haremu, skąd zaraz zaprowadzą mnie do sypialni sułtana. W ciasnej garderobie siedzi jedna z występujących tu artystek, która w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Maluje oczy ze skupieniem i precyzją chirurga. Po chwili, stukając wysokimi obcasami, pojawia się Simone. Ma na sobie bardzo błyszczącą, wściekle limonkową sukienkę, według mnie zdecydowanie za krótką. Kiedy poznałyśmy się na mitingu dla alkoholików, była ubrana podobnie, tyle że zamiast wścieklej żółci wybrała równie neonowy róż.

- Ostatnio jakoś nie przychodzisz na spotkania naszej grupy - rzuca, gdy mnie dostrzega.

- No tak. - Lepiej, żeby nie wiedziała, z jakimi demonami się teraz zmagam. Nie umiałabym wyjaśnić, dlaczego zrobiłam tyle strasznych rzeczy.

- Nie odpowiadasz też na moje telefony. - Siada przed oświetlonym lustrem, zrzuca buty i energicznie masuje stopy.

- Nie lubię rozmawiać przez telefon. - To prawda, ale nie dlatego unikałam Simone. Po tym, co przeszłam, szukając mojej córki, bałam się jej dociekliwych pytań. Simone uwielbiała gadać o uczuciach, przede wszystkim swoich, ale moje też zbyt często brała pod lupę.

- A teraz chcesz, żebym przyjrzała się przeszłości twojego ojca. - Zrzuca sukienkę, a ja mam okazję podziwiać jej pięknie wyrzeźbione mięśnie. - No nie wiem, zawiodłam się na tobie. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami, ale ty się zjawiasz tylko wtedy, gdy potrzebujesz pomocy. Skoro znalazłaś

stowarzyszenie weteranów marines, może sama z nimi pogadać - mówi ze złośliwym uśmiechem. Dobrze wie, że moje internetowe kontakty z obcymi ludźmi ograniczają się wyłącznie do seksu.

Człowiek oceniający innych po wyglądzie nigdy by nie zgadł, że Simone, wielbicielka niebotycznie wysokich, złotych szpilek jest wybitną specjalistką od zabezpieczeń systemów komputerowych. Prowadzi nawet własną firmę, oczywiście jako Simon. Nie proponuję zapłaty za ewentualną pomoc, to mogłoby jedynie przekreślić moje szanse już na starcie. Patrzę w milczeniu, jak Simone zdejmuje perukę, dokładnie zmywa makijaż i wkłada wygodne spodnie dresowe. Po chwili jedyną pozostałością po jej drugim życiu są długie, pomalowane paznokcie.

- Przepraszam. - Zmuszam się do uśmiechu. - Pogadajmy o tobie. Co słyhać?

- A myślałam, że już nie zapytasz. - Robi śmieszna minę i wyprowadza mnie z garderoby. - Spotykam się z kimś. Ma na imię Terry.

Zastanawiam się, nie po raz pierwszy, dlaczego w reakcji na ogólnikowe pytanie o nowiny ludzie od razu zaczynają opowiadać o swoim życiu miłosnym. To naprawdę irytujące, jednak lubię Simone, dlatego jej wybaczam.

- Każdy, kogo wybierzesz, powinien się uważać za szczęściarza - mówię.

- Nawet ty? - pyta żartobliwie i puszcza oczko.

- Szczególnie ja - odpowiadam zgodnie z prawdą. Dlaczego nie miałabym zostać kochanką eksperta komputerowego? Z drugiej strony w takim związku trudno o tajemnice. Simone bez trudu odkryłaby wszystkie moje sekrety.

- A jak byś zareagowała, gdybym ściągnęła gacie i pokazała ci fiuta? Zaakceptowałabyś takiego faceta jak ja?

Pytanie wprawia mnie w osłupienie. Przedstawiła mi się jako

kobieta, wielbicielka piosenki „Single Ladies”, dlatego nigdy nie myślałam o niej jak o mężczyźnie. Nawet w dresie, bez peruki i makijażu wydawała mi się najbardziej kobieca z wszystkich poznanych kobiet.

- Spokojnie, i tak mi się nie podobasz. Jak na mój gust nie jesteś zbyt atrakcyjna - reaguje ze śmiechem na moją zapewne niezbyt mądrą minę.

O dziwo, czuję się bardzo dotknięta tym stwierdzeniem. Gdyby chodnik, na którym stoimy, nie był tak okropnie brudny, pewnie wszczęłabym bójkę. Nie dość atrakcyjna? Odnajduję w sobie resztki zdeptanej kobiecości i zbieram siły do ciętej odpowiedzi, jednak moja kobiecość pozostaje jak zwykle tak głęboko uśpiona, że trudno się do niej przebić. Dlatego tylko kilka razy powtarzam w myślach, że Simone to bezczelna i wredna suka.

- Poszukam informacji o twoim ojcu. Dobrze wiesz, że to zrobię. Będę miała czas dopiero za jakieś dwa tygodnie. Pasuje?

- Jasne - odpowiadam szybko. - Wyjeżdżam z miasta, więc podeślij mi informację mejlem.

- No, nareszcie jakaś warta uwagi nowina - rozjaśnia się. - Dokąd się wybierasz?

- Podobno podróże zagraniczne to balsam dla duszy - mruczę, wzruszając ramionami.

- Jedziesz do Detroit - domyśla się. Obejmuje mnie mocno i szepcze: - Odprowadź mnie do Terry'ego, to pogadamy. Jesteś trzeźwa czy znów zaczęłaś pić?

Niebo jest zachmurzone, a nad miastem wciąż unosi się śmierdzący dym, dlatego wsadzam Simone do taksówki, a sama wracam autobusem do domu. Gdy podchodzę do drzwi, otrzymuję wiadomość na komórkę. Do kontaktów z Bonnie, córką, którą oddałam do adopcji szesnaście lat temu, ściągnęłam specjalną aplikację. Bonnie nigdy nie powinna się

dowiedzieć, kto jest jej biologiczną matką, ale stosowne urzędy jak zwykle spieprzyły sprawę. To właśnie Kanada - kraj bekonu, syropu klonowego i urzędniczej niekompetencji. W metryce Bonnie znalazły się informacje, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. Może jakiś urzędnik miał zły dzień, może to był jego pierwszy dzień w pracy, a może popełnił kolejną pomyłkę, na przykład setną. A jeśli to była jego ostatnia sprawa przed emeryturą, mógł celowo popełnić błąd, by wyłączyć swój żal na system. Nieważne, w każdym razie Bonnie bez większego trudu udało się ustalić moją tożsamość.

Wie, kim jestem, i zna numer mojej komórki.

Nigdy do siebie nie dzwoniemy. Wymieniamy jedynie zdjęcia, bo w tej aplikacji to najtańszy sposób komunikowania. Tym razem dostaję zdjęcie jej stóp w strzemionach fotela ginekologicznego. Zawsze przysyła fotografie nóg, dlatego muszę się domyślać, co akurat robiła i jak teraz wygląda. Hm, pewnie tym razem poszła na rutynową kontrolę do lekarza. Zapewne chce mi powiedzieć, że skoro jej nogi są w porządku, to całej reszcie też nic nie dolega.

W odpowiedzi posyłam jej zdjęcie Sapki.

Ona przesyła mi fotografie nóg, ja zawsze fotografie Sapki. Właśnie tak wyglądają nasze kontakty. Wzajemne zainteresowanie z oddali, z zachowaniem odpowiedniego dystansu, a wszystko pokryte słabo uchwytnym filtrem melancholii.

Seb jeszcze nie śpi, przegląda w gabinecie ostatnio napisane strony pamiętnika. Niedawno skończyliśmy rozdziały o pobycie w Kosowie i dotarliśmy do wczesnych lat małżeństwa, kiedy jeszcze próbował wmówić sobie i wszystkim wokół, że jest hetero. Zawsze miał świetne pióro, ale ta książka jest tak naładowana emocjami, że po przeczytaniu kilku stron czuję się wyczerpana.

Martwię się, bo nie chce ze mną rozmawiać o ostatnim

pobycie w szpitalu. A to oznacza, że jest naprawdę źle.

- Nie muszę jechać - mówię po powrocie ze spaceru z Sapką. Mężczyzna z parku nie próbował się ze mną ponownie skontaktować. Zniknął w mroku nocy, zabierając ze sobą mój spokój ducha i równowagę psychiczną. Dzisiaj nawet skróciłam spacer, bo Sapka też była wyjątkowo niespokojna. Ostatnio nie lubi na długo zostawiać Seba. W domu prawie zawsze układa się na jego stopach.

- Musisz. Zresztą chcę trochę pobyc sam.

- Na pewno nie potrzebujesz już pomocy?

- Prawie skończyłem pisać. - Wzrusza ramionami. - Odwaliłaś kawał świetnej roboty, bez ciebie nie dałbym rady.

Opuszcza wzrok, byle tylko nie patrzeć mi w oczy.

Kiedy pies czuje nadchodzący koniec, zaszywa się w ustronnym miejscu i czeka na śmierć. Nie walczy z tym, co nieuchronne, nie odczuwa żalu ani smutku. To jego właściciele wpadają w stan bliski hysterii, patrząc, jak ich ukochana istota odchodzi na zawsze. Pies przyjmuje to ze spokojną rezygnacją.

Kiedy godzinę później wchodzę do gabinetu, Seb śpi na kanapie. Sapka oczywiście leży przy jego stopach, umoszczona wygodnie na grubym kocu. Ściskam dłoń Seba, ale nie reaguje. Sapka co prawda macha kilka razy ogonem, jednak nie zamierza wstawać. Widzi mój plecak i wie, że ich opuszczam i zostawiam nasze małe stado w chwili, gdy być może będę najbardziej potrzebna. Co prawda poprosiłam Brazukę, by wpadał do Seba, załatwiłam też kogoś do wyprowadzania Sapki, ale i tak mam wyrzuty sumienia. A teraz, patrząc na scenkę w gabinecie, moje gardło ściska również strach.

Martwię się, że i Seb, i Sapka wydają się równie bezbronni i pogodzeni z losem.

Niestety nie mogę zostać, mam coś ważnego do zrobienia.

Rozdział dziewiąty

Stojąc przed kliniką, Bonnie patrzy na zdjęcie Sapki. Jak zwykle suczka patrzy prosto w obiektyw i wydaje się lekko znudzona. Kiedy na parking wjeżdża srebrne bmw, Bonnie poprawia plecak i rusza prosto w stronę samochodu. Wsiada, ale unika wzroku matki. Lynn na razie milczy, jednak Bonnie dobrze wie, że zaraz czeka ją kazanie. Poznaje to po usztywnionych ramionach matki.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - pyta Lynn, kiedy wyjeżdżają z parkingu.

- Zamierzałam wrócić autobusem, ale zapomniałam karty miejskiej.

- Wiesz, o co pytam. Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży? - naciska Lynn. Do dzisiaj żyła w błogiej nieświadomości, przekonana, że Bonnie zadomowiła się w Toronto, a jej jedyny problem to powracająca wysypka spowodowana uczuleniem.

Bonnie wzrusza ramionami. Poszło łatwiej, niż się spodziewała. Owszem, odczuwa lekkie skurcze, ale mniej bolesne niż przy okresie.

- Uznałam, że sama sobie poradzę

- Bałaś się, że będę cię oceniać - mówi Lynn łagodnie. - Bo ja tak wiele przeszłam, nim wreszcie mogłam cię zaadoptować.

Nie musi mówić nic więcej, obie wiedzą, o co chodzi. Ponieważ Lynn nie mogła mieć dzieci. Ponieważ Bonnie pojawiła się na świecie po brutalnym gwałcie na jej biologicznej matce. Ponieważ Bonnie miała wybór, a Nora nie. I wreszcie po Bonnie miał kto przyjechać, a Nora była zupełnie sama.

Lynn zatrzymuje samochód na poboczu. Niezwykle ciepła

jesień powoli się kończy, zbliża się załamanie pogody. W Toronto jest coraz zimniej, ale nie na tyle chłodno, by spadł śnieg. Deszcz uderza z furią w szyby, a one siedzą zapatrzone w przestrzeń i pogrążone we własnych myślach.

- Kochanie, nigdy bym cię nie oceniała. - Lynn delikatnie gładzi córkę po ramieniu. - To twoje ciało i twoja decyzja.

- Jasne, wiem. Możemy nie mówić o tym tacie?

- Po co miałybyśmy mu coś mówić? - Lynn uśmiecha się lekko. - To nie jego sprawa.

- Dzięki, mamó. - Bonnie wzdycha z ulgą. Ojciec nadal przebywa w Vancouver i zapewne nadal sypia z szefową. Przestała winić rodziców za rozpad małżeństwa, teraz uważa swoje ówczesne zachowanie za dziecinadę. Rodzinny kryzys nie zbliżył ich do siebie, nie scementował nadkruszonych więzi. Bonnie ma większy żal do ojca, bo to jemu ufała bardziej, dopóki nie odkryła, że od dawna romansuje z szefową. Zareagowała zbyt emocjonalnie - ucieczką z domu. Pragnęła poznać biologicznego ojca, który okazał się potworem. Pora, by wreszcie przestała wspominać te okropne wydarzenia.

- Pamiętaj, że zawsze możesz ze mną pogadać. O wszystkim.

- Lynn uruchamia samochód i wraca na jezdnię. - Jesteś głodna?

- Nie, trochę za późno na jedzenie. Marzę, by wreszcie położyć się do łóżka.

Lynn zerka na nią kątem oka, gdy parkuje przed ich domem w Leslieville, dzielnicy artystów, ale nic nie mówi.

Bonnie czuje się trochę nieswojo, ale nie z powodu wizyty w klinice. Tam poczuła przede wszystkim ulgę. Przez całe ubiegłoroczne lato spotykała się z Tommym, który teraz zmienił imię na Tom. Po wakacjach oboje wiedzieli, że ich związek się wypalił, ale czasami jeszcze za sobą tęsknili. Nigdy nie żałowała, że uprawiała z nim seks. Po prostu pewnego dnia nie zachowali należytej ostrożności. Zdarza się.

Nie, jest zmęczona i tyle. Nie rozpacza z powodu aborcji. Zdziwiło ją, że instynktownie nawiązała kontakt z Norą, ale jeszcze bardziej zdziwiła ją jej natychmiastowa odpowiedź. Zazwyczaj zajmowało jej to o wiele więcej czasu. Musiała odpowiednio usadowić Sapkę i czekać na dobre światło. A może tym razem Nora miała przygotowane zdjęcie, bo spodziewała się wiadomości od Bonnie?

Ciekawe dlaczego.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział dziesiąty

Nie mogę oderwać wzroku od chmur przybierających fantastyczne kształty. Na razie lot przebiega spokojnie, bez turbulencji. Samolot sunie gładko, wchodzi w chmury jak w puch. Mogłabym tak trwać całą wieczność, ale powstrzymuje mnie wzrok wściekłej stewardesy, która już trzy razy bezskutecznie próbowała sprzątnąć mi przed nosa tacę z jedzeniem. Gdybyśmy miały stoczyć walkę, postawiłabym wszystkie pieniądze na jej wygraną. Nie odważyłabym się zadzierać z kobietą, która jest w stanie okiełznać burzę włosów i zamienić ją w tak nieskazitelny koczek. Gdyby na skutek wybuchu bomby samolot rozpadł się na kawałki, na pewno po katastrofie odnaleźliby ten kok w nienaruszonym stanie, bez żadnych fruujących wokół włosków.

Po lądowaniu urzędnik imigracyjny krzywi się sceptycznie, gdy podaję jako cel podróży zwiedzanie. Zapewne jednak uznaje, że nie jestem w stanie wyrządzić temu miastu jeszcze większej szkody, niż już mu wyrządzono. Wynajmuję na lotnisku samochód (chevy impala) i mijając w porannym świetle kolejne ulice, rozumiem, dlaczego urzędnik imigracyjny nie uwierzył, że jestem turystką. Po obu stronach jezdni widzę opuszczone, popadające w ruinę budynki. Po niszczących chodnikach przemykają ludzie. Nikt się nie uśmiecha, nikt na nikogo nie patrzy. To dla mnie prawdziwy szok, bo przyjechałam z jednego z najpiękniejszych miast na świecie.

Tu nie ma upału ani dymu wiszącego nad ulicami, a jednak powietrze jest ciężkie i przez kilka pierwszych chwil pozbawia mnie tchu.

Melduję się w tanim motelu w śródmieściu. To podobno bezpieczna okolica, w sąsiedztwie uniwersytetu, ale ja nie

odnoszę takiego wrażenia. Za dużo opuszczonych budynków, za dużo zniszczenia i niemal wyczuwalnej desperacji. Sam motel wydaje się w porządku, przynajmniej pościel wygląda na czystą, ale nigdy nie nazwałabym go przytulnym, raczej ponurym. Nie chcę na razie wychodzić, dlatego siedzę przy zaciągniętych zasłonach w fotelu, który prawdopodobnie wytrzyma mój ciężar, ale pod naciskiem kolejnego tyłka na pewno się zawali. Jednak ja siedzę na brzegu, jak przystało na osobę żyjącą na krawędzi.

Śnię o małej dziewczynce z ustami otwartymi w niemym krzyku przerażenia. Umazana krwią mężczyzny opada na kolana i wyczołguje się z pokoju. Budzę się równie znużona jak to miasto, przygnieciona niewidzialnym ciężarem. Dawno nie wracałam do tych wspomnień, aż do dzisiaj nie nawiedzały mnie również w snach. Dobrze, że już powoli zapada zmierzch i wreszcie mogę złożyć wizytę ludziom, którzy znali mojego ojca. Na dzisiaj dość wspomnień o czasach szczęśliwego dzieciństwa.

Nie korzystam z mapy, bo mam w głowie takie kłębowisko myśli, że i tak nie dałabym rady skupić się na znakach i nazwach obcych ulic. Posłusznie stosuję się do zaleceń GPS-u i po jakimś czasie parkuję pod adresem, który znalazłam na pocztówkach należących do ojca. Piętrowy ceglany budynek musiał być kiedyś ładny, ale teraz wygląda równie żałośnie, jak cała okolica. Sprawdziłam w sieci, że ta dzielnica była kiedyś zamieszkiwana głównie przez białych, ale to się zmieniło, kiedy ludzie przestali wierzyć w amerykański sen, a do Detroit przestały ścigać tłumy robotników.

Mężczyzna, który otwiera mi drzwi, wygląda bardzo staro. Jest tak gruby, że przemierzenie kilku kroków musi być dla niego torturą. Ma jednak bystre oczy i ostre spojrzenie. Widzę stojącą za nim dziewczynkę, która przykłada palec do ust, nakazując mi milczenie.

Nie zwracam na nią uwagi i skupiam się na mężczyźnie. Zachodzące słońce opromienia nasze sylwetki różowym blaskiem. Milczę, czekając na jego reakcję. Mam nadzieję, że zobaczy w rysach mojej twarzy coś znajomego i od razu zgadnie, kim jestem.

- Do diabła, kim ty jesteś? - wita mnie przyjaźnie.

- Nazywam się Nora Watts. Mógł pan znać mojego ojca Samuela.

Przez chwilę błądzi spojrzeniem po mojej sylwetce. Zatrzymuje wzrok na spranych džinsach i bluzie z kapturem. Stoję z wyprostowanymi ramionami, z wysuniętą do przodu prawą nogą. To postawa wojownika, dlatego mężczyzna zaczyna zamykać drzwi i odpowiada:

- Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

Szybko wsuwam nogę między drzwi, by zyskać na czasie, i wyciągam z kieszeni pocztówki wysłane do ojca.

- Wie pan, kto to wysłał? - pytam.

Udaje, że wcale nie patrzy na pocztówki, ale zauważyłam, jak na nie kątem oka zerknął.

- Wynocha, nie mam ci nic do powiedzenia - warczy.

Furia w jego głosie sprawia, że odruchowo cofam nogę, a wtedy on zatrzaskuje mi drzwi przed samym nosem. Jednak w wyrazie jego twarzy zdołałam dostrzec coś bardzo znajomego. Leciutki przeblýsk rozpacz i rezygnacji. Zaczynam krążyć po werandzie, obserwowana zza firanki przez dziewczynkę. Założyłabym się o wypożyczony samochód, że mężczyzna nie tylko widział już kiedyś te pocztówki, ale to właśnie on napisał na nich ten adres.

Kiedy zapytałam, czy znał mojego ojca, skłamał w żywe oczy. Zostało mi jeszcze trochę intuicji, potrafię z mowy ciała wywnioskować, czy ktoś mówi prawdę, chociaż już nie jestem w tym tak dobra jak kiedyś.

Dziewczynka otwiera okno i macha do mnie. Włosy ma

związane w niezbyt porządny kucyk na czubku głowy. Okulary w niebieskich oprawkach co i rusz zsuwają jej się z nosa. Wyciągam z kieszeni lizaka i podaję jej. Nie umiem odgadywać wieku dzieci, ale według mnie ta mała chodzi dopiero do przedszkola. Biorę od niej lizaka, odwijam z papierka i znów go jej podaję.

- To dla ciebie - mówię.

- Siękuję - sepleni, bo brakuje jej obu górnych jedynek. Wsuwa język w tę szczerbę i krzywi się komicznie. Być może uznała mnie właśnie za szalenie życzliwą i miłą istotę.

- Rozmawiałam z twoim tatą? - pytam. - Z dziadkiem? - próbuję ponownie, gdy kręci głową. Tym razem potakuje, więc pytam dalej: - Czy on czasami wychodzi z domu?

W odpowiedzi wybucha śmiechem tak radosnym i beztroskim, że nawet moje serce z kamienia mięknie jak wosk.

- Odprowadza mnie do szkoły - odpowiada wciąż uśmiechnięta. Na chwilę przykładła palec do ust i uważnie nasłuchuje, co dzieje się w środku. Mam okazję ustalić, w jakim wieku małe kobietki zaczynają wykluczać dominujących w rodzinie mężczyzn ze swoich dziewczyńskich spraw.

- Lubisz szkołę? - pytam, a ona potrząsa przecząco głową. - Nie szkodzi, sama odnajdziesz swoją drogę. Nie popełniaj moich błędów, bądź zawsze sobą. Idź tam, gdzie są pieniądze, rozumiesz?

Z powagą potakuje, dziękując za garść życiowych mądrości. Daję jej niebieską wstążkę, którą były związane pocztówki.

- Jutro idźcie do szkoły bardzo pomału, dobrze?

Schodzę z werandy i ruszam za budynek, gdzie zaparkowałam samochód z wypożyczalni, ale impali nie ma. Ktoś ją ukradł. Przechodzę na drugą stronę ulicy, na przystanek autobusowy. Ludzie pod wiatą nie odsuwają się, by

zrobić mi miejsce. Mają pokazowo nieobecny wyraz twarzy, chociaż ktoś musiał zwinąć mój samochód na ich oczach. Wiem, że nic z nikogo nie wydobędę, zresztą według nich nic wielkiego się nie stało. Ot, dzień jak co dzień w ponurym mieście ponurych ludzi.

Rozdział jedenasty

Brazuka obserwuje z samochodu, jak wychudzony Sebastian Crow krąży powoli z Sapką po parku. Dochodzi dziesiąta wieczór, oprócz nich nikogo tu nie ma. Crow podchodzi do balustrady, opiera się ciężko kasze, zasłaniając rękami twarz. Potem wyciera usta dłonią i razem z psem przechodzi przez jezdnię w kierunku domu.

Brazuka jest wściekły jak diabli, że Nora wpakowała go w tę sytuację. A podobno załatwiła kogoś do wyprowadzania psa. Powinien się wycofać, niestety Warsame, który miał się opiekować Crowem, znów był w terenie. Crow powoli, noga za nogą wdrapuje się na kolejne stopnie, a Sapka cierpliwie czeka na dole. Dopiero gdy Sebastian wchodzi na ostatni schodek, suczka wbiega na górę.

Brazuka długo nie może się otrząsnąć z szoku. Widok słabego, zniedołężniałego Sebastiana zupełnie wytrącił go z równowagi. Dochodzi do siebie, dopiero gdy dociera przed bar, o którym wspomniała Priya.

- Wchodzi pan? - pyta niecierpliwie kobieta za jego plecami. Jest ubrana jak tancerka z klubu erotycznego, na głowie ma burzę blond loków, a na nogach niebotycznie wysokie szpilki.

- Przepraszam - mruczy Brazuka, przepuszczając ją.

Potem idzie do umiejscowionej naprzeciwko wegańskiej jadłodajni, czynnej całą dobę. Ma stąd świetny widok na wejście i jedno z okien klubu Lala Lair.

Przeżuwając powoli danie o nazwie „sałatka mocy z ziarnami”, czeka na rozwój wydarzeń. Tuż po północy z baru wychodzi szczupła śniada kobieta w świetnie skrojonych spodniach i golfie. Staje tak, by nie nagrała ją monitorująca wejście kamera, zapala papierosa i wybiera numer w komórce.

Przez kolejne dwie noce Brazuka widział identycznie zachowującego się mężczyznę. Niestety wczoraj zamiast sałatki skusił się na burgera z komosy ryżowej, co jego żołądek uznał za zdradę stanu.

Dosiada się do niego kobieta w obcisłej niebieskiej sukience i z bardzo błyszczącą torebką.

- Hej - wita się i obciąga materiał przy dekolcie, który niemiłosiernie się marszczy.

Zaskoczony Brazuka mruga gwałtownie i dopiero po chwili ją poznaje.

- Grace, co ty tu robisz? - pyta.

- Och, od tygodnia regularnie bywam w tym klubie. Swoją drogą ładna nazwa, prawda? Jak ci się podoba moja sukienka?

Dużo lepiej wyglądałaby na kobiecie z większym biustem, myśli Brazuka, ale odpowiada:

- Świetna.

- Kiepsko kłamiesz, jest okropna i źle na mnie leży. Należała do mojej siostry - wyjaśnia. - Torebka też. Wiesz, chyba ją zatrzymam. O czym to ja mówiłam? Ach tak, o siostrze. Miała sztuczne cycki, więc pewnie wyglądała w tym ciuchu lepiej niż ja.

- Nie powinnaś tam chodzić. - Brazuka wskazuje wejście do baru.

- Chyba jednak powinnam. Słyszałam, o czym rozmawiałeś z tą cholerną dziwką, gdy dopadłeś ją przy windzie. Tak, tak, podsłuchiwałam pod drzwiami. Co niby miałam zrobić? Skoro wspomniała o tym klubie, musiało to mieć związek z Cecily, to chyba logiczne. Udało ci się coś ustalić? I dlaczego tkwisz w tym gównianym barze dla hipisów zamiast w klubie?

- Każdy musi od czasu do czasu jeść - odpowiada Brazuka, a jego głos brzmi dziwnie płasko. Grace nie musi wiedzieć, że był w barze i próbował ostrożnie zasięgnąć języka. Nie chciał na siebie zwracać uwagi, to byłoby nierozsądne.

Przez chwilę mierzą się wzrokiem. Potem Grace wyciąga z torebki pendrive'a i podaje Brazuce.

- Mam znajomego kryminologa, który pisze pracę o handlarzach narkotyków. Zebrał sporo materiału, również o Dzikiej Dziesiątce.

- Nie nazywaj tak tego świństwa.

- Tak na to mówią - upiera się. - To podobno coś nowego, ale szybko staje się popularne. W Chinach jest mnóstwo nielegalnych laboratoriów, które produkują fentanyl. Podchodzą twórczo do narkotyków, wciąż szukają czegoś nowego. Właśnie tak powstała Dziką Dziesiątką.

- Grace... - Brazuka oddaje jej pendrive'a.

- Chcę wiedzieć, co się przytrafiło mojej siostrze, tak jak ty. - Jest coraz bardziej zdenerwowana, bo czuje, że trudno go będzie przekonać.

Kiedy podchodzi kelnerka z rachunkiem, Brazuka płaci gotówką i szykuje się do wyjścia.

- Dobrze wiesz, jak umarła twoja siostra. - Rzuca Grace twarde spojrzenie. - Przedawkowała. Koniec, kropka. Nie powinnaś włóczyć się nocą po mieście. Wracaj do domu, Grace.

- Nie mów mi, co mam robić! - syczy jak rozwścieczona kotka.

- Mówię poważnie. Nie musisz jutro wstawać na wykłady?

- Przespałeś się ze mną, żałosny dupku. Nie mów do mnie jak do niedorozwiniętego dziecka. Jestem już dużą dziewczynką. Mogę robić, co mi się podoba. - Zsuwa się energicznie z krzesła, zarzuca fikuśną torebkę na ramię, a gdy ogniwo łańcuszka zaczepia o włosy, zaczyna kląć. - Jezu - jęczy po chwili i biegnie do łazienki.

Gdy tylko Grace znika mu z oczu, Brazuka przechodzi na drugą stronę ulicy. Zarzuca na głowę kaptur i wchodzi w boczną alejkę. Przytrzymując się muru, próbuje rozpiąć

rozporek, który jak na złość się zaciął.

W alejce sekundę później parkuje bmw. Do samochodu rusza mężczyzna, który przed chwilą wyszedł z baru. Macha ręką, dając Brazuce do zrozumienia, że nie jest tu mile widziany. Brazuka osłania twarz i pokazuje mu środkowy palec.

- Wypad - mówi mężczyzna, próbując przyjrzeć się twarzy Brazuki, który naciąga mocniej kaptur.

- Jasne, szefie - odpowiada Brazuka niewyraźnie, zmieniając tembr głosu. Odpycha się od ściany i chowa za rogiem. Szybko wyciąga komórkę i czeka, aż uliczna latarnia oświetli tył samochodu. Ma szczęście, udaje mu się zrobić zdjęcie tablicy rejestracyjnej.

- Dopadłem cię - mówi spokojnie, chociaż jest na ciemnej ulicy sam.

Wysłała zdjęcie, a potem wybiera połączenie.

- Co do diabła... - Detektyw Christopher Lee jest zaspany, a więc i zły. - Wiesz, która godzina? Niektórzy z nas muszą ciężko zarabiać na chleb i wstawać skoro świt.

- Mnie też miło cię słyszeć, słodziaku. Chcę cię prosić o przysługę. Chyba pamiętasz, że jesteś mi coś winien?

- Od kiedy odszedłeś z policji, dałeś mi cynk tylko w jednej sprawie.

- Czasami jedna informacja to majątek. Wysłałem ci zdjęcie tablicy rejestracyjnej. Kierowca tego samochodu zabrał jakąś szychę spod klubu Lala Lair.

- Lala Lair? - upewnia się Lee po chwili namysłu. - Coś tam słyszałem o tym miejscu, kiedy byłem w wydziale przestępczości zorganizowanej.

- Poproszę o konkrety.

- Oczywiście, Wasza Wysokość. Czyli w ten weekend to ty stawiasz piwo?

- Dobra, kupię piwo. - Brazuka nigdy nie opowiadał byłemu partnerowi o swojej chorobie alkoholowej. - A teraz wracaj do

łóżka, bo nabawisz się zmarszczek.

- Skorzystam z tej bezcennej rady. Nie wszyscy mają tyle wolnego czasu co ty.

Brazuka zauważyła kobietę w obcisłej niebieskiej sukience zdobionej cekinami. Musi jej być zimno, na tę porę roku ubrała się zbyt lekko. Nie ma kurtki ani żakietu, obejmuje się ramionami, ale to niewiele pomaga.

- Muszę kończyć - rzuca do telefonu.

- Zadzwoiłeś z powodu takiego gówna? - dziwi się Lee. - To mogło poczekać do rana.

- I tak nie spałeś.

Po zakończeniu rozmowy Brazuka znów skupia uwagę na kobiecie, która właśnie próbuje zatrzymać przejeżdżającą taksówkę. Kiedy samochód ją mija, kobieta krzyczy:

- Ty dupku!

Widząc podchodzącego Brazukę, cofa się instynktownie.

- Hej, chcesz sprawić, bym poczuł się jak męska prostytutka? - z uśmiechem pyta Brazuka.

Grace odwraca się gwałtownie w jego stronę i mruży oczy:

- Wiesz, niektórzy zarabiają w ten sposób na życie. To nieodpowiedni temat do żartów - peroruje z powagą. Chyba już zapomniała, co mówiła o prostytutkach w mieszkaniu, za które płacił kochanek siostry.

- Dobra, nie denerwuj się.

- Cóż, przynajmniej jesteśmy po tej samej stronie.

Wzrusza ramiona i wsuwa drobną dłoń w dłoń Brazuki. Nie ma w tym geście żadnej intymności, chyba trudno jej utrzymać równowagę na wysokich obcasach. Idą zgodnie na pobliski parking, gdzie Brazuka zostawił samochód. Wsiadają przed mieszkaniem Clementine. W windzie Grace rozchyła marynarkę Brazuki i mocno się do niego przytula. Ułożyła ciało w taki sposób, by miał jak najlepszy widok na jej dekolt.

W sumie mógłbym się już przyzwycząić, że kobiety

potrzebują mnie tylko do seksu, w dodatku traktowanego jak ucieczka przed problemami. W sumie mogło być gorzej, a Grace przynajmniej jest szczerą, niczego nie udaje. Tak mu się przynajmniej wydaje, bo do końca jeszcze jej nie rozgryzł. Wydaje się zbyt racjonalna na to, by aż tak histerycznie przeżywać żałobę po siostrze. A może ludzie są o wiele bardziej skomplikowani, niż dotąd uważał. Lub on jest zbyt prostoliniowy, przez co wciąż nie pojmuje, dlaczego pewne sprawy wydarzają się bez żadnego ostrzeżenia.

Rozdział dwunasty

Zegar w komórce twierdził, że już wstał nowy dzień, ale moje ciało zupełnie nie przyjmowało tego do wiadomości. Podróż komunikacją miejską do motelu okazała się wyjątkowo wyczerpującym przedsięwzięciem. Gdy wreszcie dotarłam do celu, padłam na łóżko jak nieżywa. W przeszłości często psioczyłam na komunikację w Vancouver, lecz jakże niesłusznie. Nic nie może się równać z kiepskimi połączeniami w Detroit, to absolutna światowa czołówka. Rozkłady i trasy układał niewyżyty sadysta albo szalenięc. Kropką nad i była próba poinformowania stosownego urzędu o kradzieży wypożyczonego samochodu. Po gwałtownej kłótni z urzędnikiem i trzech przesiadkach byłam równie żwawa jak zombi. Tak, Detroit ze mną wygrało, zupełnie straciłam ducha walki.

Dobrze, że jednak zmusiłam się do wstania, bo dotarłam na miejsce akurat w momencie, gdy gruby gbur z uroczą wnuczką, których poznałam wczoraj, wychodzili z domu. Co prawda podstawówka była niedaleko, jednak grubas szedł z wyraźnym trudem, a dziewczynka obiecała, że nie będą się spieszyć. Dostałam więc jakieś dwadzieścia minut, góra pół godziny, by trochę się rozejrzeć.

Gdy rozbijałam piwniczne okno młotkiem owiniętym w ręcznik, który oczywiście zabrałam z motelu, miałam nadzieję, że sąsiedzi okażą równie znikome zainteresowanie sprawą jak wówczas, gdy ktoś kradł mój samochód. Nie zauważyłam alarmu przy drzwiach wejściowych, ale oczywiście mógł być w środku. Trudno, byłam gotowa podjąć takie ryzyko. Okienko jest wysoko nad ziemią, dlatego zeskakuję na jedną nogę, by nie narażać na uraz kontuzjowanej kostki. Na

szczęście pomyślałam o grubych rękawiczkach, więc nie poraniłam dłoni o rozbite szkło.

W piwnicy nie ma nic ciekawego, mnóstwo rupieci i starego sprzętu sportowego, trzeba przejść na piętro. W jadalni odnajduję stertę rachunków na nazwisko Harvey Watts, ale żadnej prywatnej korespondencji. Jest za to dużo rysunków i zabawek. Idę jeszcze wyżej. Na kolejnym piętrze są dwie sypialnie, a na samej górze pokój przerobiony na biuro. Muszę się spieszyć, dlatego postanawiam rozpocząć poszukiwania właśnie tutaj.

Musiałabym mieć więcej szczęścia niż rozumu, żeby znaleźć to, czego szukam na wierzchu, na przykład na blacie biurka. Liczę trochę na to, że po mojej wczorajszej wizycie Harvey Watts wspominał przeszłość, przeglądał stare notatki i dokumenty, a potem nie chciało mu się ich odkładać na miejsce.

W każdym razie w wypchanej aktówce rzeczywiście odnajduję dokumenty, które rzucają trochę światła na przeszłość ojca. Jest sporo zdjęć chłopców mniej więcej w tym samym wieku. To na pewno ojciec i facet, który wczoraj zatrzasnął mi drzwi przed nosem. A zatem byli przybranymi braćmi. Zdołałam pobieżnie przejrzeć zaledwie kilka papierów, gdy na dole rozlega się zgrzyt klucza w zamku i słyszę, jak ktoś otwiera frontowe drzwi. Rynna przy oknie jest tak przerdzewiała, że raczej nie wytrzymałaby mojego ciężaru. Powoli schodzę z pietra, licząc, że Harvey nie zdążył zjeść śniadania, i uda mi się po cichu wyśliznąć z domu.

To głupio liczyć na łut szczęścia, przecież nigdy mi nie dopisywało.

Gdy schodzę z ostatniego stopnia, słyszę za plecami, że ktoś właśnie odbezpieczył broń. Korytarz jest zbyt wąski, bym zdołała się obronić.

Podnoszę ręce, w jednej dłoni wciąż trzymam wypchana

aktówkę.

- Wiesz, ludzie niesłusznie uważają, że to podła dzielnica. Trzymamy się razem, panienko, i umiemy korzystać z komórek. Zwłaszcza gdy ktoś wybija sąsiadowi okno w piwnicy.

No dobra, to był kiepski plan i dawno nie musiałam się nigdzie włamywać, a to praktyka czyni mistrza.

Odwracam się bardzo powoli. Żadnych nerwowych i gwałtownych ruchów. Lufa strzelby Harveya Watta znajduje się dokładnie na wysokości mojego serca. W Michigan nie tak łatwo o pozwolenie na broń, a jednak Harvey je zdobył. Ciekawe, czy odprowadza wnuczkę do szkoły uzbrojony.

- Okłamałeś mnie wczoraj. Dobrze znałeś mojego ojca. Był twoim bratem.

Kiedy Harvey kicha, broń niebezpiecznie drży w jego dłoniach, a mnie przebiegają po plecach ciarki.

- Tak, kimś w rodzaju brata - przyznaje.

- Wzięłam tylko to, co do mnie należy.

- Aktówka jest moja. Tak było, gdy się tu pojawił, a potem zniknął, żeby odszukać swoją cholerną prawdziwą rodzinę. Jakbym ja nigdy nie był nikiem bliskim. Jakbyśmy nie dorastali razem w tym popieprzonym domu.

- Och - rzucam współczująco. Jeśli zaczniemy się licytować, kto z nas miał bardziej traumatyczne dzieciństwo, będziemy tkwić na tym korytarzu co najmniej tydzień.

- Wiesz, czasami się zastanawiałem, jak wyglądają córki Sammy'ego - przyznaje i lekko się czerwieni. - Inaczej sobie ciebie wyobrażałem.

Jeżeli to miał być komplement, mógł go chociaż okraszyć uśmiechem. Tymczasem jego oczy są zimne jak ogromna góra lodowa zdolna powstrzymać globalne ocieplenie.

- Posłuchaj, ja tylko szukam informacji o tacie. Nic do ciebie nie mam.

- Cóż, kiedy wyjechał, straciliśmy kontakt. Prosił, żeby

przesyłać mu pocztę na adres w Winnipeg, ale już nigdy nie zamieniliśmy nawet jednego słowa. Krzyżyk na drogę. Kilka lat temu napisała do mnie twoja siostra. Od niej wiem, że umarł. Prosiła, żebym jej opowiedział o waszym ojcu, ale wszystko, co mi po nim zostało, zmieściło się w tej aktówce. Możesz wziąć te papiery. I powiedz siostrze... Lauren czy jak jej tam... że wiadomość o jego śmierci wcale mnie nie poruszyła. A teraz zostaw mnie do cholery w spokoju. – Zanoszę się kaszlem, a po chwili dodaje: – Spodziewam się, że zapłacisz za wstawienie nowej szyby.

Nie żartuje, dlatego kładę na stoliku kilka banknotów. Gdy jestem już przy drzwiach, próbuję z niego jeszcze coś wyciągnąć:

– Czy mówił kiedykolwiek o Libanie? Wspominał o jakichś kłopotach?

– Miałby ze mną rozmawiać o kłopotach? Nigdy. Przestałem o nim myśleć wieki temu i niech tak pozostanie. Kiedy skończył osiemnaście lat, poszedł do wojska. Potem mieszkał tu jeszcze jakiś czas, ale krótko, i na szczęście zniknął z mojego życia na zawsze.

– A może opowiadał o służbie wojskowej?

Watts podchodzi bliżej, niebezpiecznie skracając dzielący nas dystans.

– Skończyliśmy – oświadcza twardo. – Wynoś się i nigdy nie wracaj. Wnuczka powiedziała, że wczoraj dałaś jej lizaka. Trzymaj się od niej z daleka, rozumiesz?

A to mała zdrajczyni. I jak tu komukolwiek zaufać? Jednak nie powiedziała dziadkowi o niebieskiej wstążce, widocznie uznała ten prezent za wyjątkowo atrakcyjny.

Tym razem wychodzę frontowymi drzwiami jak dobrze ułożona kobieta w średnim wieku, która odwiedziła starego wujka.

W oknie domu po drugiej stronie ulicy miga jakiś cień i faluje

poruszona firanka. To z pewnością czujny obywatel, ciekawy,
jak skończy się ta historia.

Ja jestem równie ciekawa.

Rozdział trzynasty

Problem z Libanem polega na tym, że zawsze tam było za dużo problemów. W czasach zimnej wojny ścierały się tam interesy USA i Sowietów, a wewnętrzne konflikty społeczne i polityczne doprowadziły do wybuchu wojny domowej. To tam narodził się Hezbollah i tak ulubiona przez współczesnych terrorystów zabawa z ładunkami podkładanymi gdzie popadanie, przede wszystkim w miejscach odwiedzanych przez cywilów. To tam zaczął płynąć szeroki strumień uchodźców z Palestyny, którzy mieli dość życia na beczce prochu. To tam w 1982 roku doszło do masakry ich obozów w Sabrze i Szatili, uznanej później przez ONZ za akt ludobójstwa. Libańskie oddziały tak zwanej milicji chrześcijańskiej wymordowały do dzisiaj nieustalona liczbę kobiet, dzieci i starców. Rzezi przyglądały się izraelskie jednostki interwencyjne, które wcześniej otoczyły obozy uchodźców szczelnym kordonem. Trudno wywnioskować, w co wpakował się tam ojciec, ale dzięki zdobytym dokumentom zyskałam pewność, że rzeczywiście był w marines.

Chociaż akurat to zawsze wiedziałam.

Słusznie założyłam, że jako osiemnastolatek poszedł do wojska i dopiero potem przeprowadził się do Kanady. Nigdy nie próbowałam zdobyć więcej informacji na ten temat, instynktownie przeczuwając, że mogą się okazać niezbyt przyjemne. Jeżeli był w Libanie na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, to albo brał udział w misji pokojowej, albo strzegł amerykańskiej ambasady. Opinia publiczna nie interesowała się wówczas tym problemem, chociaż przecież była to przygrywka to destabilizacji Bliskiego i Środkowego Wschodu. Ot, taka

uwertura do opery terroryzmu. Jasne, misje pokojowe nie zapobiegły konfliktom, ale to pokazała dopiero przyszłość. Na początku optymistycznie i naiwnie wierzono, że załatwią problem. Jednak te działania okazały się równie skuteczne, jak protesty półnagich dziewczynek wykrzykujących pacyfistyczne hasła. Jasne, młodzi gniewni pragną pokoju równie mocno jak siwowłosi weterani i niektórzy politycy, ale same dobre chęci nie wystarczą. Ludzie walczyli, walczą i prawdopodobnie będą walczyć do końca świata.

W motelu rozłożyłam zawartość aktówki i żółtego pudełka na podłodze i usiadłam na biurowym fotelu na kółkach, by móc się przesuwac od jednej sterty do kolejnej. Widziałam w jakimś angielskim serialu kryminalnym, jak śledczy w ten sposób przeglądali zebrane materiały i rozwiązywali najtrudniejsze sprawy. Niestety ta metoda w moim przypadku nie wypaliła. Po prostu siedziałam na krześle i tępo patrzyłam na rozłożone wokół papiery. Po chwili skoncentrowałam się na fotografii ojca w mundurze, na której stał w towarzystwie trzech innych żołnierzy. Na odwrocie nie było daty, nazwisk ani innego opisu. Wpatrywałam się intensywnie w twarze na zdjęciu, ale w żadnym mężczyźnie nie rozpoznałam tego, który zaczepił mnie w parku.

Wrzuciłam zdjęcie na stronę weteranów marines, którzy służyli w Libanie, licząc na to, że może ktoś rozpozna mojego ojca albo pozostałych. Sądząc po ilości komentarzy, to dość aktywna grupka, więc miałam nadzieję na odzew.

Chciałam uzyskać więcej informacji o służbie wojskowej ojca, niestety przynajmniej na razie udało mi się zdobyć załóżnie mało dokumentów. Niewystarczająco, by choćby poznać jego numer identyfikacyjny z armii i poprosić odpowiednie urzędy o akta.

Odnajduję kolejną wyblakłą błękitną wstążeczkę, taką samą, jaka była w pudełku.

Kilka godzin później wciąż mnę ją odruchowo w dłoni, stojąc przed oficerem dyżurnym na posterunku policji. Nie wiem, dzięki jakim zaletom został przyjęty do policji Detroit, z pewnością jednak nie poddano go testom psychologicznym. Jeżeli w ogóle był zdolny do empatii, prawdopodobnie już wykorzystał jej dzienny przydział.

- Samochód skradziono wczoraj? - pyta i marszczy brwi w udawanym zdziwieniu.

- Tak, między szóstą a szóstą trzydzieści po południu. Mam panu zapisać czas kradzieży?

- To dlaczego nie zadzwoniła pani wczoraj?

Dzwoniłam, ale bateria w komórce padła, kiedy czekałam na połączenie.

Rzeczywiście czekałam tak długo, że z pewnością w tym czasie wydarzyło się na świecie mnóstwo ważnych rzeczy. Gdzieś może wybuchła wojna, a gdzie indziej zawarto pokój. Lodowce znacząco stopniały, mnóstwo ludzi umarło i mnóstwo się urodziło. Chętnie wyraziłabym na głos te przypuszczenia, jednak policjant jest tak skupiony na monitorze komputera, że niemal nie zwraca na mnie uwagi. Według mnie to sadysta, który wcale niczego nie sprawdza, tylko na przykład ogląda urocze filmiki z rozczulającymi kociakami.

- Proszę usiąść. Zaraz ktoś przyjdzie spisać pani zgłoszenie.

- Myślałam, że pan to robi.

- Nie, ja tylko kieruję sprawę do właściwego funkcjonariusza.

- Czekałam dwadzieścia minut, żeby z panem porozmawiać.

- Proszę się uspokoić - mówi wciąż tym samym wypranym z wszelkich emocji tonem. Na pewno miał do czynienia z o wiele groźniejszymi narwańcami i moje protesty nie robią na nim wrażenia. Kiedy siadam, policjant rusza dostojnie wzdłuż korytarza.

Zagryzam nerwowo wargi, widząc na wyświetlaczu

dzwoniącej komórki numer Sunila, którego wynajęłam do opieki nad Sapką.

- Wszystko w porządku? - pytam szybko.

- Tak, tylko...

- O co chodzi?

- Pan Crow... wygląda kiepsko.

Na chwilę zamarłam. Albo coś było nie tak na łączach, albo Sunil nie umiał korzystać z komórki.

- Zadzwoń na pogotowie, niech go zawiozą do szpitala - prawie krzyknęłam.

- On... nie chce. Twierdzi, że jutro i tak jedzie na badania, a poza tym czuje się nieźle, więc nie ma sensu robić zamieszania. Nie mogłam się do pani dodzwonić.

- Padła mi komórka.

- Rozumiem... A mogę w razie czego zadzwonić na stacjonarny? Gdzie się pani zatrzymała?

Podaję mu nazwę hotelu i numer pokoju, a potem udzielam szczegółowych instrukcji, jednak widać zbyt szczegółowych, bo w środku mojej tyrady Sunil przerywa połączenie. Hm, widać za mało mu płacę.

Przez kilka minut bezskutecznie próbuję się do niego dodzwonić, ale nagle mój telefon umiera. Wyświetlacz robi się czarny i nawet nie mogę wysłać SMS-a do Brazuki z prośbą, by zajrzał do Seba. Wiercę się niecierpliwie na twardym krześle i czuję jak Hamlet. Nękają mnie rozterki, a duch ojca wciąż nie daje spokoju. Powinnam wrócić do domu, zamiast tracić czas na grzebanie w przeszłości. Policjant, z którym przed chwilą rozmawiałam, wraca do dyżurki, trzymając w ręku olbrzymi kubek z parującą kawą. Nadal mnie ignoruje, a ja muszę zacisnąć zęby, by powstrzymać mordercze instynkty. Dobra, będę tu siedzieć i czekać, zgrywając przestraszoną paniusię.

Rozdział czternasty

Do hotelu docieram dopiero wieczorem. Podłączam ładowarkę do komórki i biorę prysznic, ledwie letni, by nieco ostudzić nerwy. Po wyjściu z łazienki sprawdzam skrzynkę mejlową. Okazuje się, że mam sześć nowych wiadomości. Odnajduję sporo spekulacji na temat mężczyzn ze zdjęcia wrzuconego do sieci, niestety nie odezwał się żaden z uwiecznionych na nim marines.

Staję przed problemem wielu kobiet - jak znaleźć faceta w Ameryce. Na dodatek jestem obywatelką Kanady, co oczywiście nie pomaga. Na domiar złego szukam kilku mężczyzn. Jedno z nazwisk podsuniętych przez usłużnych internautów prawdopodobnie należy do mieszkańca Detroit. Dwa pozostałe odnajduję wśród nekrologów. Nie mam pojęcia, czy szukanie tych mężczyzn w ogóle ma sens, ale na wszelki wypadek wysyłam ich nazwiska Simone. Może przynajmniej namierzy rodziny tych marines.

Potem robię to, co każda kobieta, która po raz kolejny zawiodła się na facetach. Idę tam, gdzie ludzie topią smutki w alkoholu i szukają zrozumienia u przypadkowych słuchaczy.

W lokalu jest jeszcze pustawo, co prawda przy kilku stolikach już siedzą ludzie, ale jest mnóstwo miejsca przy barze. To przybytek odwiedzany głównie przez robotników. Może niezbyt luksusowy, ale przyzwoity. Goście wydają się pogrążeni we własnych myślach i niezbyt skorzy do zawierania znajomości. Zerkam na starszego mężczyznę usadowionego wygodnie w rogu baru. Ma wzrok wlepiony w ekran telewizora i wyraźnie ignoruje otoczenie. Kieruję się w jego stronę, siadam na najbliższym wolnym stołku i zamawiam piña coladę z parasolką. Barman patrzy na mnie pogardliwie, więc szybko

zmieniam zamówienie i proszę o sok żurawinowy.

- Z wódką? - pyta burkliwie.

- Żartujesz? Ja stosuję używki dożylnie - odpowiadam i znacząco klepię się po rękę. Barman szybko odchodzi, zanim udaje mi się go uraczyć kolejną opowieścią.

Zerkam na faceta siedzącego między mną a starszym mężczyzną oglądającym wiadomości.

- Dokąd to wszystko zmierza? - pytam retorycznie i macham dłonią w bliżej nieokreślonym kierunku.

Patrzy na mnie zniesmaczony i próbuje się odsunąć.

- Weź na przykład mojego byłego. Ta łajza zjawiała się u mnie zaraz po wyjściu z więzienia, o szóstej rano. Dasz wiarę? Myślałam, że chodzi mu o seks, tymczasem przyszedł zabrać psa.

- Jezu, ani chwili spokoju, nawet tutaj - mruczy facet. Wypija jednym haustem whisky, kładzie na ladzie pieniądze i szybko odchodzi.

Korzystam z okazji i siadam na jego stołku tuż obok starszego mężczyzny.

- Wiesz, jak zyskać sympatię. - Patrzy na mnie rozbawiony.

- Jasne, pomagają mi uroda i ciekawa osobowość. Często tu przychodzisz?

- Można tak powiedzieć.

- Ten bar podobno należy do Marka Kovaksa, byłego marines. - To właśnie Kovaksa, jako jedynego ze zdjęcia, udało mi się namierzyć.

- Tak, ale wyjechał do Jersey w odwiedziny do wnuków - mówi mężczyzna po chwili wahania, przyglądając mi się badawczo. - Powinien niedługo wrócić.

- Pan Kovaks chyba służył z moim ojcem w marines. Liczę, że może go pamiętać. Ojciec zmarł, kiedy byłam dzieckiem.

- Przykro mi. Zginął na służbie?

- Nie, trochę później, po wyjściu z wojska. - W lustrze nad

barem widzę, że na małej scenie w rogu montują aparaturę nagłaśniającą. – Szukam ludzi, którzy byli z nim w wojsku. Mieszkał w Detroit, miałam nadzieję, że pan Kovaks coś mi o nim powie. – Nie wspomina o pozostałych nazwiskach, właściwie nie wiem, z jakiego powodu.

– Szukasz trochę po omacku, co? – Obserwujemy w lustrze, jak dwóch mężczyzn sprawdza nagłośnienie. Najwyraźniej szykuje się konkurs piosenkarski.

– Niestety tak.

– Jak się nazywał?

– Samuel Watts.

– Nie znałem go. Jakiego stopnia się dosłużył?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam po chwili, lekko zdekoncentrowana, bo facet przy mikrofonie właśnie ogłasza wysokość nagrody dla zwycięzcy dzisiejszego konkursu.

– Numer jednostki? Kod pocztowy?

– Nie znam.

– W takim razie życzę szczęścia – mówi, a ja wyczuwam w jego głosie brak wiary. – W takim razie nie bardzo wiadomo, od czego zacząć.

– Może coś mi podpowiesz.

– Pomógłbym, naprawdę, ale nawet nie byłem w wojsku. Mam słabe serce. – Dopija piwa i gestem prosi barmana o kolejne. Może i ma chore serce, ale wątroba, jak widać, nadal mu służy. – Mój brat służył, ale zginął w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę. Takie życie.

Potem, starannie unikając patrzenia sobie w oczy, obserwujemy w lustrze zmagania domorosłych artystów. Po wybrzmieniu kilku żalonych przeróbek popowych hitów w sali rozlega się szmer niezadowolonych głosów. No nie, a myślałam, że nic gorszego już dzisiaj nie usłyszę. Na scenę wchodzi młody czarnoskóry muzyk. Uśmiecha się lekko, ale ten uśmiech nie jest skierowany do nikogo konkretnego.

- Proszę o spokój - ucisza gości prowadzący. - Skoro nie chcecie występować, to będziemy mieli powtórkę sprzed tygodnia, sprzed dwóch tygodni, sprzed trzech... Sami jesteście sobie winni - oznajmia, ale nie wydaje się zmartwiony, raczej rozbawiony.

Przez chwilę muzyk na scenie po prostu uderza, jakby na chybił trafił, w struny akustycznej gitary. Nie gram zbyt dobrze, ale umiem docenić jego kunszt. To nie jest takie tam sobie brzdąkanie, on dobrze wie, co robi. Kolejne akordy rodzą się z pozornego chaosu, są nieprzewidywalne i bez reszty skupiają uwagę słuchaczy. A potem muzyk zaczyna śpiewać o miłości do kobiety, która przyciąga kłopoty jak magnes. Nie znam tej piosenki, jednak głos artysty porusza każdą strunę w moim wnętrzu. Jeżeli to jego kompozycja, już dawno powinien być gwiazdą. Talent czystej wody i wielka charyzma. Na chwilę przerywa śpiewanie, by popisać się tak wspaniałym riffem, że z trudem powstrzymuje się od tańca.

Pod koniec występu wstaję, by wyjść z baru, ale prowadzący konkurs odczytuje mój gest po swojemu.

- Mamy kolejną uczestniczkę konkursu - ogłasza radośnie.

Goście nie są pewni, czy chcą teraz czegoś słuchać, wciąż zaczarowani poprzednim utworem. Zerkają na mnie, niepewni, czego się spodziewać.

- Dalej, złotko - dodaje mi odwagi sąsiad z baru.

Ruszam z wahaniem w stronę sceny. Zatrzymuje się na chwilę, ale wystarczyło jedno spojrzenie na śpiewającego przed chwilą muzyka, bym znów ruszyła do przodu. Taki pewny siebie, przekonany o swej wyższości.

- Co dla nas zaśpiewasz? - pyta prowadzący, gdy już stoję przy mikrofonie.

Nie odpowiadam. Kiedy jesteś na scenie, możesz się od razu poddać albo sprawić, by należała tylko do ciebie.

Ja nie lubię się poddawać.

Muzyk patrzy na mnie wyczekujący, ale jego też ignoruję. Skupiam się na gitarze.

Kiedy Seb dowiedział się, że umiem grać, wygrzebał skądś starą gitarę akustyczną, którą zostawił tu jeden z przyjaciół Leo. Jestem w barze i czuję dziwnie przewrotną rozkosz, dlatego zaczynam grać pierwsze akordy piosenki „Rehab”. Dłonie z kuflami piwa zamierają w pół drogi do ust. Nie chodzi jedynie o tekst, który przypomina wszystkim pijącym, czym może się skończyć nadmierna konsumpcja alkoholu. Po prostu wszyscy, którzy mają choćby kawałek mózgu, wiedzą, że nikt przy zdrowych zmysłach nie odważy się wykonać utworu Amy Winehouse. Jeżeli kiedykolwiek ją słyszałeś, słowa piosenki musiały wryć ci się w duszę. Musiałeś się zastanawiać, jak wielką stratę ponieśliśmy, ponieważ trzy razy odmówiła leczenia. A kiedy mężczyzna w piosence pyta, czy wie, dlaczego znalazła się na odwyku, Amy odpowiada, że nie ma pojęcia. Właśnie tak odpowiedziałby w jej sytuacji każdy z nas.

Mój niski głos brzmi z początku chrapliwie, ale kiedy docieram do słowa „tata”, zaczyna drżeć. Nie chcę wyrzeć na nikim wrażenia ani przyćmić poprzedniego muzyka, ja tylko śpiewam, co naprawdę czuję. Mam się kiepsko, a mój tata nigdy się o tym nie dowie. I znów jestem przez chwilę małą dziewczynką, która pewnego dnia po powrocie ze szkoły zobaczyła coś, czego nie powinno oglądać żadne dziecko.

Plik banknotów, który dostałam po występie, wydaje mi się czymś niestosownym.

Mrugam do muzyka, którego zdetronizowałam, i idę do wyjścia, ale on łapie mnie za ramię.

- Skoro wygrałaś, to przynajmniej postaw mi drinka - mówi.
- Sam możesz sobie kupić.
- Mógłbym, ale ktoś zgarnął mi sprzed nosa forszę, na którą bardzo liczyłem.

Dobrze wiem, jak się czuje, nie raz byłam w podobnej

sytuacji. Macham na barmana, który udaje, że szaleńczo pochłania go wycieranie szklanek.

- Nazywam się Nate - przedstawia się muzyk i podajemy sobie dłonie. Teraz jego głos wydaje się bardziej chrapliwy niż podczas śpiewania.

Kwa głową do barmana, który podaje mu piwo, a mnie, o dziwo, sok żurawinowy.

- Dolać wódki? - pyta z nadzieją, ale przecząco kręcąc głową.

- Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem - mówi Nate, rozglądając się wokół. Większość gości powoli zbiera się do wyjścia, bo jutro idą na poranną zmianę, o ile w Detroit zostały jeszcze jakieś fabryki.

- Bo nigdy tu nie byłam. Przyjechałam, bo szukam pewnego żołnierza.

- No to już znalazłaś - mówi z krzywym uśmiechem. - Byłam w wojsku.

- Mnie chodzi o marines.

- Rany, ależ wszyscy mają wymagania.

Właściwie nie wiem dlaczego, ale zaczynam mu opowiadać o ojcu. Słucha, popijając piwo, a potem stwierdza:

- Czyli czas nie uleczył twoich ran.

Gdy pracowałam u Leo, co jakiś czas zjawiała się starsza kobieta. Przynosiła wyblakłe zdjęcie i prosiła, by odnaleźć jej zaginioną w siedemdziesiątych latach kuzynkę. Leo zawsze cierpliwie wysłuchiwał całej historii, a potem delikatnie ujmował starszą panią za łokieć i odprowadzał do drzwi. Powiedział mi, że nigdy nie podejmuje się rozwiązywania spraw starszych niż kilka tygodni. Trop jest zazwyczaj zbyt zimny, by znaleźć nowe fakty, i klienci są zawsze niezadowoleni z wyniku śledztwa. Właśnie takim klientem teraz jestem ja.

- Jestem jak słoń. Nigdy nie wybaczam - mówię cicho.

- Chyba chciałaś powiedzieć, że nigdy nie zapominasz.

- To też.

Dopiliśmy, a potem odwiózł mnie do hotelu. Pozwoliłam na to, bo chyba nie dałabym rady przeżyć spokojnie jeszcze jednego spotkania z transportem miejskim Detroit. Nie ściskamy sobie rąk na pożegnanie, nie klepiemy się po plecach ani nie całujemy.

- Chcesz obejrzeć moje studio? - pyta, gdy otwieram drzwi samochodu

- Nie - odpowiadam i szybko znikam, zanim zdoła się przekonać, kim naprawdę jestem.

Rozdział piętnasty

Czasami w nocy słyszymy dźwięki, które często uznajemy za wytwór naszej wyobraźni. Może słyszymy, jak osiada budynek, a może zaskrzypiała podłoga, gdy ktoś skradał się do kuchni po zakazaną przekąskę. Możliwe też, że mieszkająca po sąsiedzku para małżeńska postanowiła sobie przypomnieć, jak uprawia się seks.

A czasami po prostu wiesz, że coś jest nie tak. Właśnie takie uczucie mi towarzyszy, gdy przechodzę przez próg. Jednak nie pojawiam się od strony parkingu i jestem ubrana na czarno, toteż mężczyzna w pokoju w pierwszej chwili mnie nie zauważa. Tak jest sprawiedliwie, bo i ja go na początku nie dostrzegam. Rzucamy się na siebie jak para napalonych nastolatków na tylnym siedzeniu samochodu.

Nasze starcie kończy się dość krwawo, gdy trafiam pięścią prosto w jego nos.

OK., będę szczerą, kończy się bardzo krwawo.

- Rany, kurwa - chrypi mocno zdezorientowany. Jedną ręką trzyma się za rozbity nos, drugą próbuje mnie odepchnąć. Ślizgamy się nieporadnie w kałuży krwi, niestety jest ode mnie wyższy i silniejszy, udaje mu się powalić mnie na ziemię.

Turlam się w stronę drzwi, ale nie zdołam go wyminąć. Sięgam po nocną lampkę, jedyne źródło światła w pokoju. Wyciągam ją z kontaktu i otula nas ciemność. Zaczynam walić pięścią w ścianę oddzielająca mój pokój od sąsiedniego i głośno krzyczę, licząc, że kogoś obudzę:

- Pali się!

Napastnik docenia siłę mojego rozgrzanego śpiewem głosu i otwiera drzwi, zanim znów zaczynam wrzeszczeć. Widzę jeszcze, jak naciąga na głowę kaptur i biegnie korytarzem.

Chwilę później rozlega się tam czyjś tupot.

Po chwili do pokoju wpada Nate i pyta:

- Widziałem, jak dwóch gości wybiega z hotelu. Wszystko w porządku?

Zapalam światło, zaglądam do łazienki i siadam ciężko na łóżku.

- Tak, nic mi nie jest.

- Masz... krew na rękach.

Bez słowa wstaję i idę umyć dłonie.

Nate stoi w progu, najwyraźniej nie wie, co powinien teraz zrobić. Kilkoro gości w nocnych strojach próbuje zajrzeć do środka, przeciska się za jego plecami.

- Może ktoś pójdzie po kierownika - proponuje Nate kobiecie w czerwonym szlafroku.

- A gdzie się pali? - pyta kobieta.

- Nigdzie, wszystko w porządku.

- A ci faceci, którzy stąd wybiegli?

- Proszę pójść po kierownika, musimy z nim pogadać - mówi Nate i zatrzaskuje jej drzwi przed nosem.

I nagle coś do mnie dociera. Skoro inni goście widzieli napastników, a ja gromko ogłosiłam alarm pożarowy, raczej nie obędzie się bez policji.

- Ktoś zadzwonił po gliny? - upewniam się.

- Na pewno - odpowiada Nate.

- Cholera. - Ależ mam dziś szczęście. Nie dość że wszystko idzie jak po grudzie, to jeszcze los zafundował mi dodatkowe atrakcje.

- Nie martw się. Jak już spiszą zeznania, możesz zamieszkać u mnie.

Zastanawiam się, czy to dobry pomysł. Nie wiem tego również po rozmowie z dyrektorem hotelu, który w ramach rekompensaty proponuje mi inny pokój z trzydziestoprocentową bonifikatą. Nie wiem tego godzinę

później, gdy nieumundurowany policjant spisuje moje zeznania.

- Czyli nic nie zginęło? - upewnia się. Nazywa się chyba Sanchez, dobiega pięćdziesiątki i wydaje się skrajnie wyczerpany. Może i zdobyłabym się na odrobinę współczucia, ale i mnie zmęczenie przygniata do ziemi. Wyobrażam sobie, że wkładam kciuki w dołeczku na jego policzku i rozciągam jego usta w szerokim uśmiechu. O dziwo, ta dziwaczna myśl dodaje mi otuchy.

- Nie, nic nie zginęło - mówię.

- To wszystkie pani rzeczy? - Patrzy na mój rzucony na łóżko plecak. - Sprawdziła pani? Przynajmniej dwa razy?

- Sprawdziałam trzy razy. - A potem mówię, że skradziono mi samochód z wypożyczalni i zrzędzę, że powinni lepiej dbać o bezpieczeństwo turystów.

- Turyści rzadko bywają w tej okolicy - odpowiada i skrobie coś w notatniku. - Lepiej spróbować w Ann Arbor.

- Świetny pomysł. - Marzę, by już było po wszystkim. Mam dość tej rozmowy.

- Cóż, będę z panią szczery. Dostałem za mało informacji, by znaleźć sprawców. Ostatnio w okolicy było kilka włamań, ale akurat to nie pasuje do schematu.

- Miał tatuaż - przypominam sobie nagle. - Na karku, zobaczyłam, gdy wkładał kaptur.

- Jaki tatuaż? - pyta Sanchez po chwili wahania.

- Nie jestem do końca pewna, nie widziałam wyraźnie. Coś podobnego do barakudy.

- A może jednak barakuda?

- Nie, barakudę bym poznała.

Przez chwilę ma dziwny wyraz twarzy. Pewnie chciał skomentować moje słowa, ale w końcu tylko kiwa głową i mówi:

- No dobrze, chyba skończyliśmy. Pechowy pobyt, co?

Najpierw skradziony samochód, a teraz to? W Detroit trzeba na siebie uważać.

Jasne, a gdzie nie trzeba? – odpowiadam mu w myślach i biorę od niego wizytówkę. Policjant patrzy jeszcze podejrzliwie na Nate’a, mojego anioła stróża, i wreszcie wychodzi.

– Podprowadzili ci samochód? – Wyraźnie ubawiony Nate szczyrzy zęby. – Laska, może to miasto rzeczywiście ci nie służy.

– Co ty nie powiesz? Masz kanapę?

– Tak, ale wąską. Babcia nazywała ją gniazdkiem rozkoszy dla zakochanych. Nada się?

Patrzę na hotelowe łóżko i rozważam dostępne opcje.

– Czy jest zapadnięta w środku i ma ohydną tapicerkę w kwiaty?

– Dokładnie, na pewno nigdy nie widziałaś brzydszego wzoru.

– Super, to na pewno poczuję się jak w domu.

A jednak przyjąłem jego propozycję, myślę, wsiadając do samochodu.

– To na wschodnim nabrzeżu – mówi Nate. – Tam nie jest tak źle, jak się wszystkim wydaje – próbuje mnie uspokoić, widząc wyraz mojej twarzy.

– Nie boję się – zapewniam, gdy skręca w ciemną uliczkę pełną ciemnych i zniszczonych domów, które wyglądają jak scenografia do taniego horroru. Dom Nate’a też jest ciemny, ale tylko od frontu, bo na tyłach tli się jakieś światełko.

– Szczerze? Tu jest tak niebezpiecznie, jak mówią. Powinnaś się bać. – Wyjmuje ze schowka na rękawiczki śrubokręt i podaje mi. – Trzymaj. Nigdzie się bez tego nie ruszaj.

– Zaraz... – próbuję protestować, ale już wysiadł z samochodu.

Nie mam pojęcia, czy mnie tylko straszy albo żartuje, czy

mówi serio. Na wszelki wypadek wkładam śrubokręt do kieszeni, bo nigdy nie należy lekceważyć ostrzeżeń tubylców. Idę za nim na tyły domu. Chociaż ze środka dobiega gwar głośnej rozmowy, Nate nie wydaje się zaniepokojony.

- Mój brat Kevin i jego dziewczyna Ash urządzają tu czasem spotkania.

Nawet nie zdążyłam zapytać o charakter tych spotkań, bo szybko otwiera drzwi i prowadzi mnie do kuchni. Kilka osób pozdrawia go głośno, ale nikt nie poświęca nam uwagi. Trwa właśnie zażarta dyskusja i wszyscy przerzucają się argumentami.

Na blacie siedzi młody mężczyzna podobny do Nate'a. Między jego szeroko rozłożonymi nogami, opierając się o jego klatkę piersiową, stoi upstrzona metalowymi kolczykami dziewczyna. To na pewno Kevin i Ash. Wokół stołu siedzi grupka nieco zbyt dojrzałych, bo około trzydziestoletnich studentów, jak się okazuje, socjologii. Rozmawiają o politycznych implikacjach życia w postkolonialnym systemie opresyjnym. Rozumiem mniej więcej co trzecie słowo. Sądząc z lekko przerażonego spojrzenia Nate'a, jest również zdezorientowany jak ja.

- Tylko jak odróżnić sojuszników od wrogów? - pyta mężczyzna w powyciąganym T-shircie. Nie jest ani zupełnie biały, ani zupełnie czarny, nie umiałabym nazwać koloru jego skóry. Wszyscy kiwają w zadumie głowami i po kolei zaciągają się jointem, by wspomóc szare komórki w wysiłku intelektualnym.

- Do piwnicy - szepcze Nate, wskazując drzwi za kuchnią.

Zbiegamy szybko po schodach, zanim dyskusja znów osiągnie temperaturę wrzenia. Niby czegoś się dowiedzieliśmy, ale to nie pozwoliło nam zrozumieć, na czym polega postkolonialna depresja.

- Rzadko ich widuję - wyjaśnia Nate. - Czasami proszą, bym

coś zagrał na organizowanych przez nich spotkaniach.

- Chyba nie „Redemption Song”?

- A i owszem, zaraz po „Imagine” - śmieje się. - W przyszłym tygodniu będę grał na ich spotkaniu podczas Nocy Anioła. Mam tremę, bo nie przywykłem do takich tłumów.

- Noc Anioła?

- No, to taka lokalna tradycja. W przededniu Halloween na ulicach roiło się od czubków, którzy puszczały z dymem co popadnie. Mówiło się na to Noc Diabła, ale w latach dziewięćdziesiątych miasto postanowiło coś z tym zrobić. Władze każdej dzielnicy organizują przyjęcia dla mieszkańców, a porządku na ulicach pilnują patroli obywatelskie.

Takie patroli strzegły ulic również w różnych kanadyjskich miastach, jednak nie byłam entuzjastką tego typu rozwiązań.

- I co, jest bezpieczniej?

- No, może trochę - przyznaje po chwili wahania. - Na pewno wybucha mniej pożarów. Przynajmniej próbujemy coś robić - poddaje się.

Schody są słabo oświetlone, w powietrzu unosi się gryzący zapach środków dezynfekujących. Wreszcie Nate otwiera kluczem drzwi, zapala światło i zaprasza mnie do swego azylu. Pomieszczenie jest małe, ale za to z łazienką. Przy ścianie stoi biurko z nowiutkim MacBookiem Pro, błyszczącym niczym święty Graal. Ściany są oblepione gazetami i wyłożone kartonowymi opakowaniami po jajkach. Na ścianie wisi stary Fender Strat. O dziwo, wcale nie czuję strachu, gdy Nate zamyka za nami drzwi. Cieszę się, bo oto znalazłam się w królestwie ciszy, przytulnym i bezpiecznym kokonie.

- Łatwo tu o pożar. - Wskazuje kartonowe opakowania na ścianach, udając obojętność, chociaż jestem coraz bardziej podekscytowana. Pożeram wzrokiem keyboard i mikrofon w rogu pomieszczenia.

Nate odkłada gitarę i ostrożnie zdejmuje ze ściany Strata.

- Czyste piękno, prawda?

Kiwam głową, chociaż nie wiem, czy mówi o gitarze, czy o pokoju, ale tak, jest pięknie. Kanapa pokryta wyblakłym materiałem w kwiaty powinna tu pasować jak kwiatek do kożucha, a jednak dodaje wnętrzu domowego charakteru. To nie jest sterylne studio, gospodarz włożył w urządzenie piwnicy dużo serca i odsłonił kawałek duszy.

- Jesteś pierwszą osobą, którą tu zaprosiłem. - Podaje mi butelkę wody. - W korytarzu jest jeszcze jedna łazienka, możesz z niej korzystać. Ja nagrywam w tej tutaj.

Podłącza gitarę do laptopa, idzie z nią do łazienki i cicho zamyka drzwi. Kiedy zaczyna grać, wyobrażam sobie, jak siedzi na wannie z gitarą w objęciach. Wszyscy muzycy wiedzą, że dzięki wspaniałej akustyce każda łazienka to prawdziwa sala koncertowa.

Zamykam oczy, wsłuchując się w płynące przez wnętrze dźwięki. To surowa, ale porywająca melodia, która kołysze mnie do snu. Przez chwilę zastanawiam się, co ja właściwie robię w tym mieście. Jak zdołałam sobie wmówić, że znajdę tu odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Powinnam być roztrzęsiona, bo najpierw zwinęli mi samochód, a potem prawie poturbowali podczas próby kradzieży w hotelu. Powinnam być w Vancouver i z Sapką u boku patrzeć, jak Seb powoli umiera. Zamiast tego leżę na naprawdę ohydnej kanapie i rozmyślam o życiu, śmierci, mężczyznach i bluesie.

Rozdział szesnasty

Bernard Lam długo patrzy na potargane włosy Brazuki, jego niemiłosiernie wymięte ubranie i ślady szminki na kołnierzyku koszuli, a potem bez słowa otwiera szerzej drzwi i wpuszcza go do rezydencji. Przechodzą obok sprzątaczkę, która nawet na chwilę nie przerywa polerowania olbrzymiego stołu. Lam uśmiecha się do niej, a potem zaprasza Brazukę do gabinetu.

- Zaraz lecę do Londynu - mówi i zamyka drzwi.

- W interesach?

- Poniekąd, na prośbę ojca - wzdycha Lam. - Ustaliłeś coś nowego?

Brazuka podchodzi do okna, wpatruje się w przepięknie utrzymany ogród i przylegające do niego boisko do kosza. Chętnie odłożyłby tę rozmowę na później, wziął najpierw gorący prysznic i doprowadził się do porządku, ale dręczy go dziwny niepokój.

- Diler Clementine załatwiał interesy w barze w Gastown. Znajomy z policji zdradził, że to teren gangu Triple 9, czyli rodziny Khan. Ich macki sięgają do Wielkiej Brytanii, przed laty toczyli wojnę o wpływy z innymi gangami, ale ostatnio jest spokojnie. Podobno próbują działać na innych polach, taka dywersyfikacja. Zainteresowali się rynkiem nieruchomości, jak wielu przestępców. Śmierć Cecily...

- Nienawidziła tego imienia, tak samo jak babci, na cześć której je otrzymała.

- Przepraszam.

- Niby skąd mogłeś wiedzieć? Co masz o tym dilerze?

- Niewiele. - Brazuka wzrusza ramionami. - Co prawda widziałem, jak jakiś facet wychodzi mieszkania Clementine, ale nie zdążyłem z nim pogadać. Zebrane informacje doprowadziły

mnie do baru, o którym już wspomniałem. – Nie jest pewien, dlaczego w ogóle nie wspomina o Pryi i jakby instynktownie ją osłania. Co prawda Lam raczej nie skrzywdziłby kobiety, ale Brazuka spędził zbyt wiele czasu na ściganiu przestępców, by komuś bezgranicznie zaufać. Wiadomo, że nigdy nie jesteśmy w stanie poznać dogłębnie innego człowieka, odkryć, co w siedzi w jego wnętrzu. Poza tym nie wspominając o Pryi, w pewnym sensie chroni swoje źródło informacji. Zamierza ponownie wpaść do baru i zasięgnąć języka.

– I nigdy więcej nie widziałeś tego faceta?

– Nie.

– No dobrze – rezygnuje wyraźnie niezadowolony Lam. – Zdobędziesz więcej informacji?

Jeszcze więcej? – zżyma się w duchu Brazuka. Wątpliwe.

– Chyba powinniśmy na tym poprzestać – sugeruje. – Już wiesz, kto jej sprzedawał prochy. Zapomnij o sprawie.

– Nie mów mi, co powinienem robić! – wybucha Lam i ukrywa twarz w dłoniach. – Wiesz, czego nie mogę pojąć? Dlaczego w ogóle zaczęła ćpać.

– Posłuchaj...

– Spełniałem jej życzenia, dostawała wszystko, o co poprosiła, a nawet więcej. Ktoś miał na nią zły wpływ, a ja nie spocznę, dopóki nie znajdę tego skurwiela. Nieważne, jak się teraz nazywa ten gang, dorwę ich. Muszą mieć jakichś dostawców, prawda? – Lam co prawda nie podnosi głosu, ale aż trzęsie się ze złości.

– W takim razie będziesz musiał poszukać kogoś innego. Za taką stawkę nie będę się narażać. – Brazuka nie czuje wyrzutów sumienia, wie, że Bernarda stać na każdy wydatek. Owszem, znają się od dawna, ale przyjaźń też ma granice, prawda?

– Zapłacę więcej – zgadza się Lam i wymienia tak absurdalnie wysoką kwotę, że Brazuka z wrażenia przysiada na

najbliższym krześle.

- To poroniony pomysł.

- Plus wszystkie bieżące wydatki - ciągnie Lam, ignorując komentarz Brazuki. - Ustal, kto i jak zaopatruje dilerę, a potem weź ode mnie pieniądze i rozpocznij nowe życie. Gdzie chcesz. Będzie cię na to stać. Pomyśl, że już nigdy więcej nie będziesz musiał pracować. - Lam wyczuwa, jak sprzeczne emocje miotają Brazukę, dlatego mówi z coraz większym naciskiem: - Ufam tylko tobie, rozumiesz? Chcę poznać nazwisko każdego skurwiela, który przyczynił się do śmierci Clementine. Przysięgam, że gdy ją poznałem, nie była uzależniona. Ktoś jej musiał podać to świństwo.

Brazuka wie, że przyjaciel nie jest w stanie trzeźwo ocenić sytuacji i niewłaściwie interpretuje fakty. Gdyby jego kochanka naprawdę była taka szczęśliwa, nie szukałaby ucieczki od rzeczywistości i nie faszzerowałaby się syntetycznym świństwem.

Powoli wstaje, próbując ukryć, jak bardzo współczuje przyjacielowi. Owszem, jego też pewna kobieta odurzyła i związała, złamała mu serce i odeszła, ale żadne z nich po tej przygodzie nie próbowało się zabić. A gdyby tak naprawdę rozpocząć nowe życie?

Kim on jest, by odmówić milionerowi, który wciska mu pieniądze, a na dodatek jest jego przyjacielem?

Rozdział siedemnasty

Budzę się przy dźwiękach utworu granego przez Gary'ego Clarka juniora, a na to nakładają się wibracje mojej komórki, które całkiem nieźle współgrają z basami.

- Chwila - mamroczę niewyraźnie.

Drzwi od łazienki są otwarte. Nate śpi w wannie, pod głowę podłożył zwinięty płaszcz. Chrapie tak głośno, że przez sekundę zastanawiam się, czy to naprawdę on wydaje te niesamowite dźwięki.

Po cichu zbieram swoje rzeczy, na palcach wychodzę na zewnątrz i wreszcie odbieram połączenie:

- Tak? - chrypię wciąż zaspana.

- I tobie też dzień dobry, słoneczko.

Hm, więc Simone wciąż jest na mnie trochę zła. Przecieram oczy, by szybciej oprzytomnieć, i siadam na najbliższym stopniu. Czuję narastający w skroniach ból, na szczęście wokół panuje półmrok.

- Jak tam Terry? - pytam.

Simone wybucha śmiechem.

- Nora, jesteś niesamowita. Pogadamy o moich sercowych sprawach, jak wrócisz. Namierzyłam ludzi, o których pytałaś, przesłałam ci już ich dane. Mają telefon stacjonarny, wyobrażasz sobie?

- Dzięki, na pewno spróbuję się z nimi skontaktować.

- A co u ciebie? Jak twoje śledztwo?

Nie opowiadam o skradzionym samochodzie i napadzie rabunkowym. Niepotrzebnie by się zmartwiła albo, co gorsza, próbowała wybić mi z głowy pomysł dalszych poszukiwań, a przecież potrzebuje jej pomocy. Mówię więc tylko o Kovaksie.

- No dobra, a co zamierzasz robić, zanim wróci do Detroit? - pyta.

- Może zrobię sobie jakiś tatuaż.

- Jasne - wybucha śmiechem. - I pomyśl też o piercingu. Podobno kolczyki w nosie znów są na topie. - Rozłącza się, a chwilę potem przychodzi od niej SMS.

Po cichu przechodzę przez kuchnię, ostrożnie omijając ślady wczorajszej imprezy. Choć głowa boli mnie coraz bardziej, czuję się dziwnie wypoczęta. Szczerze mówiąc, naprawdę myślałam o tatuażach, a konkretnie o tym, który zauważyłam na karku napastnika z hotelu. Byłam niemal pewna, że spisujący protokół policjant wiedział więcej na ten temat, a może nawet od razu skojarzył, o kogo chodzi.

Jeżeli tak, to celowo zataił przede mną istotne informacje. Gdybym dostawała dolara za każdą wredną sytuację, w którą się wpakowałam, już dawno byłabym milionerką.

Rozdział osiemnasty

Pierwszy numer przysłany przez Simone to niestety ślepy tor. Numer wskazuje na Atlantę, ale został odłączony. Rodzina Cory'ego Seapera, jak wynika z drugiego numeru, wciąż mieszka na Florydzie, ale nikt nie podnosi słuchawki. Skoro i tak muszę czekać na powrót właściciela baru, mogę sobie skracać czas wydzwanianiem na Florydę. Trudno mi jako byłej alkoholiczce wytrwać w trzeźwości, na szczęście pomaga mi w tym tutejszy barman. Ilekroć przejdzie mi przez myśl, że może pora dodać do soku trochę wódki, jego triumfujące spojrzenie tak działa mi na nerwy, że w porę rezygnuję.

Dyskusja, którą rozpętałam, wrzucając na stronę weteranów zdjęcie towarzyszy broni mojego ojca, powoli zamiera, nikt nie ma nic do dodania. Również Seb milczy jak zaklęty, nie dzwoni ani nie odpowiada na moje telefony. Przysłała tylko wiadomość, że wszystko w porządku, ale to oczywiste kłamstwo. Po prostu nie chce, bym z jego powodu rezygnowała z wyprawy śladami ojca.

Siedzący obok mężczyzna obserwuje, jak raz za razem dzwonię i potem przerywam połączenie, nie zostawiając żadnej wiadomości.

- Wystawił cię do wiatru, laleczko? To jakiś dupek, który na ciebie nie zasługuje - stwierdza.

Patrzę na niego oszołomiona i dopiero po chwili dociera do mnie związek między telefonem w mojej dłoni a słowami faceta.

- Złotko, daj sobie z nim spokój - ciągnie. - Jeśli doskwiera ci samotność, chętnie zostanę twoim przyjacielem. Kiedy ostatnio jakiś facet o ciebie zadbał?

Coś mi mówi, że chyba nie chodzi mu o przyjaźń, a już

dbanie o kogoś pojmuję zupełnie inaczej niż ja. Mimo to podejmuję grę.

- Będzie z miesiąc temu - odpowiadam markotnie i smętnie potrząsam głową. Wciskam mu ulubioną historyjkę o byłym, który niedawno wyszedł z więzienia, a na koniec wisienka na torcie, czyli spór o psa. - Chciał mi po prostu zabrać starego Brutusa, kumasz?

- Moja Opal umarła rok temu na raka. Nawet nie wiedziałem, że choruje - odpowiada rozżalony i wyciera napływające do oczu łzy. - Nie chciałaś mu dać psa? To nieludzkie - mówi ze złością, dopija drinka i wychodzi z baru. Nagle zapomniał, że jeszcze przed chwilą proponował mi przyjaźń i opiekę.

Kiedy zostaję sama, wybieram po raz kolejny numer Seapera i gdy po siódmym sygnale zamierzam przerwać połączenie, słyszę zdyszane:

- Słucham?

Jestem tak zaskoczona, że chwilę trwa, nim odzyskuję jasność umysłu.

- Dzień dobry - mówię niepewnie. - Szukam kontaktu z Corym Seaperem. - Kładę na blacie pieniądze i wychodzę z baru.

- Nie żyje - odpowiada kobieta głosem wypranym z emocji.

Poranne słońce oświetla zaniedbaną działkę w pobliżu baru. Grupa nastolatków gna na rowerach, pewnie do szkoły. Lepiej późno niż wcale.

- Wiem. Wydaje mi się, że służył z moim ojcem. Są razem na zdjęciu. Próbuję dotrzeć do wszystkich, którzy mogliby mi udzielić informacji.

- Mogłabym zobaczyć to zdjęcie? - pyta po chwili wahania.

Wysyłam fotkę na podany przez nią numer komórki.

Oddzwania kilka minut później. Ma zupełnie inny głos, bez śladu poprzedniego zniecierpliwienia.

- Tak, trzeci od lewej to mój tata. Jezu, jaki młody

i szczęśliwy.

Tak jak pozostali, myślę. Cory Seaper był najniższy, ale świetnie zbudowany. Miał ostrzyżone na jeża blond włosy i szeroki uśmiech.

- Mój to ostatni po prawej.

- Przystojniak.

Tak, to rzeczywiście pierwsza rzecz, która rzuca się w oczy. Ojciec miał kucze włosy, ciemne oczy i ujmujący uśmiech. Odziedziczyłam po nim kolor włosów, niestety nie umiem się tak uśmiechać.

- Owszem. Nazywał się Samuel Watts. Czy pani ojciec o nim kiedykolwiek wspominał?

- Nigdy nie mówił o wojsku. Był w Bejrucie, stacjonował w tych barakach, które zostały doszczętnie zniszczone.

Pamiętam, co Seb mi opowiedział o tym zdarzeniu, które nie było zbyt nagłośnione. Zamachowiec podjechał ciężarówką załadowaną środkami wybuchowymi tuż pod barak stacjonujących na bejruckim lotnisku marines. Zabił około dwustu pięćdziesięciu żołnierzy i pracowników personelu pomocniczego. Druga ciężarówka podjechała pod barak francuskich żołnierzy. W wybuchu zginęło około pięćdziesięciu osób.

- Został ranny?

- Nie, ale często powtarzał, że tego dnia bezpowrotnie coś utracił. Przed tym wydarzeniem był pogodnym, zawsze uśmiechniętym facetem. Po wyjściu z wojska pracował jako handlowiec. Całe dni spędzał przy biurku i chyba mu to odpowiadało.

- Czy miał w wojsku jakieś kłopoty?

- Pieprzony barak, w którym stacjonował, wyleciał w powietrze. To jeszcze mało? - krzyczy. - Przepraszam, nadal nie mogę o tym spokojnie mówić.

Po chwili milczenia zaczyna opowiadać o ojcu. Zdradza, że

matka trochę się go bała, bała się też o jego zdrowie psychiczne. Reagował gwałtownie na każdy głośniejszy dźwięk, stał się skryty i zdystansowany. Kiedyś bardzo mocno ją uderzył, ale to się na szczęście nie powtórzyło. Nie okazywał jej ciepła ani miłości, może z wyjątkiem dnia, w którym brała ślub, a ojciec poprowadził ją do ołtarza. Umarł tak jak żył, po cichu. Pewnej nocy poszedł do kuchni po wodę i po prostu upadł. Matka znalazła go dopiero rano.

Zastanawiam się, czy powinnam jej powiedzieć, jak zginął mój ojciec, ale brakuje mi słów.

- Przepraszam, muszę kończyć - mówi. - Szkoda, że nie mogę pani pomóc, w każdym razie dziękuję za zdjęcie. - Przerywa połączenie, nie czekając na moja odpowiedź.

Barman uparcie mnie ignoruje, więc kładę na ladzie dwudziestkę. Wzrusza ramionami i wymienia kpiące spojrzenie z facetem siedzącym w drugim końcu baru. Zapisuję na serwetce mój numer telefonu i podaję mu razem z dwudziestką.

- Możesz do mnie zadzwonić, kiedy wróci twój szef?

Nie potrafi ukryć ulgi, gdy okazuje się, że nie próbuję go poderwać. Może nie pora na takie rozważania, ale coś czuję, że nasza wzajemna niechęć mogłaby się zakończyć wspaniałym seksem. Gdy wychodzę, otrzymuję nawet skinienie głową na pożegnanie. Pozostali goście bacznie mnie obserwują, a mnie te spojrzenia zaczynają ciążyć. Właściwie odkąd tu przyjechałam, nieustannie czuję na sobie czyjś wzrok i wciąż mam się na baczności. Jak długo można tak żyć?

Rozdział dziewiętnasty

- Nie próbujesz zaciągnąć mnie do łóżka, prawda? - mówi detektyw Christopher Lee, usadowiony wygodnie na pomoście przy swoim domu w północnym Vancouver. Światła miasta odbijają się w spokojnych i niemal czarnych wodach oceanu. Widok zapiera dech w piersiach, chociaż sam dom woła o remont, zwłaszcza po ostatnim zimowym sztormie. - Wiesz, złotko, trzeba czegoś więcej niż kilka piw, żeby zdobyć moją sympatię - cedzi przez zęby Lee i sięga po kolejną puszkę.

- Słyszałem coś innego - odpowiada Brazuka, upija łyk piwa i szczerzy zęby. Lee, detektyw z wydziału zabójstw, zawsze w markowych ciuchach i regularnie uczęszczający na siłownię, wygląda jak playboy z okładki kolorowego magazynu i ma opinię kobieciarza.

- Znowu gadałeś z moją byłą żoną?

- Nie, z twoim proboszczem.

- Ty bluźnierco, przestań nachodzić porządnych ludzi. Czego chcesz?

- Pogadać o gangach. Pracuję nad sprawą, która ma związek z działalnością Triple 9.

- Jezu, znowu to gównno? Mam dzisiaj wolne.

- Nie wzywaj imienia pańskiego nadaremno. I kto tu jest bluźniercą?

Lee macha lekceważąco dłonią, jakby alkoholizm, wieczny apetyt na seks i chroniczne ignorowanie dziesięciu przykazań nawet w najmniejszym stopniu nie przeszkadzały mu postrzegać siebie jako modelowego wręcz sługi Pana.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Nie tobie to oceniać. Ja to co innego, w przyszłym tygodniu idę do spowiedzi. Powiedz klientowi, że śmierć z powodu przedawkowania to

błogosławieństwo, inaczej to szambo wreszcie by go pochłonęło.

- Powiedziałem, by nie zagłębiał się w takie mroczne zakamarki, ale on naprawdę kochał tę dziewczynę. W dodatku była z nim w ciąży - odpowiada Brazuka tak obojętnie, jak tylko potrafi.

- Ożeż... Co wzięła? Fentanyli?

- Mieszankę koki i Dzikiej Dziesiątki.

- I wydaje ci się, że skoro jestem z wydziału zabójstw, mogę ci się przydać? Rany, skoro zwracasz się do mnie, to twoje kontakty w policji są gównem warte.

- Przecież zajmowałaś się przestępczością zorganizowaną - odpowiada Brazuka, starannie ukrywając rozdrażnienie. Fakt, dopóki pracował w policji, bez trudu zdobywał cenne informacje. Kiedy opuścił jej szeregi, nikt poza Lee nie chciał z nim gadać, nawet była żona. Przykre i bardzo wkurzające.

- No wiesz, od twoich czasów niewiele się zmieniło - mówi Lee, który zauważa, jak dużą przykrość sprawiły Brazuce jego słowa i zrobiło mu się go żal. - Pierwsze skrzypce wciąż grają te same kreatury. Południowoamerykańskie kartele, zbiry z Europy Wschodniej i Azjaci. Wszyscy działają też na rynku nieruchomości. Płotkom, które dilują na ulicy, od czasu do czasu odbija, grube ryby działają rozważnie i unikają przemocy, bo to źle wpływa na interesy.

Brazuka kiwa głową, bo po przejrzeniu plików z pendrive'a Grace doszedł do identycznego wniosku. Interes narkotykowy wpłynął na spokojniejsze wody. Tak to wygląda,, przynajmniej dopóki nie zacznie się grzebać głębiej.

- Wiesz coś o Triple 9?

- A konkretnie?

- Kontakty, dostawcy...

- Słyszałem... - Nagle Lee milknie i odwraca wzrok. Dopija puszkę i otwiera kolejną.

Brazuka obserwuję go przez chwilę, jednak szybko traci cierpliwość.

- No wykrztuś to wreszcie - irytuje się.

- Jezu, ale to zostanie między nami?

- Żarty sobie stroisz? - pyta coraz bardziej podekscytowany Brazuka. Chyba po raz pierwszy Lee nie chce się dzielić informacjami.

- Przysięgnij, że dochowasz tajemnicy?

- Pogięło cię?

- Mówię poważnie. Przysięgnij.

- Dobra, to zostanie między nami.

- I nigdy nie zdradzisz, od kogo masz te informacje - nalega Lee.

- Jasne, twoje nazwisko nie pojawi się w moim raporcie ani w notatkach. Zabiorę to ze sobą do grobu, a na nagrobku każę wykuć napis, że wcale z tobą nie rozmawiałem pewnego październikowego dnia tego roku pańskiego. Zadowolony?

- I co, można? Po co był ten cyrk? Więc kiedy zajmowałem się przestępczością zorganizowaną, mój informator twierdził, że Triple 9 ma powiązania z Jimmym Fangiem.

- Jimmy Fang? Ten sam, który był w triadzie Trzy Feniksy i zniknął dziesięć lat temu?

- Ten sam, robaczku. Informację sprzedał mi dzieciak naszprycowany heroiną, który nigdy nie zgodziłby się zeznawać w sądzie, zresztą pewnie nie dałby rady. Nigdy nie znaleźliśmy dowodów potwierdzających te rewelacje, a potem, tuż przed moim odejściem z wydziału, informator rozpląnął się w powietrzu. Może ktoś się wkurzył, że dzieciak za dużo gada.

- Cholera... Trzy Feniksy... - Było o nich głośno, ale dwadzieścia lat temu. - Jimmy Fang zniknął wieki temu. Masz jakieś aktualne informacje o triadzie?

- Daj spokój, starzy, triada działa na Zachodnim Wybrzeżu od stu lat. Na początku twierdzili, że ich jedynym celem jest

walka z dyskryminacją rasową, ale od początku prowadzili brudne interesy. Organy ścigania próbowały dobrać się im do skóry, ale oni nas zawsze wyprzedzają przynajmniej o dwa kroki. A przy dzisiejszej technologii i globalizacji żadna policja na świecie nie ma z nimi szans. Azjaci kochają nowinki technologiczne, są w tym dobrzy.

- Co ty powiesz? - śmieje się Brazuka, doceniając przewrotne poczucie humoru Lee. - Jesteś Koreańczykiem, a obsługujesz komputer jak stetryczną sklerotyk. Co tydzień dzwoniłeś do działu IT, bo nie mogłeś zapamiętać hasła.

- W wolnym czasie studiowałem matematykę, dlatego przypominanie sobie pozbawionego logiki ciągu liczb obrażałoby moją inteligencję. Poza tym umawiałem się w fajnych lokalach z laskami i chodziłem na taekwondo, więc nie miałem już czasu na nieistotne pierdoły - broni się Lee, który, o ile Brazuce wiadomo, nigdy nie ćwiczył taekwondo, a gdyby go zabrać do restauracji, chyba nie wiedziałby, co zrobić z serwetką. - Wiesz co, założę się, że żaden gliniarz w tym kraju nie umiałby odpowiedzieć na twoje pytanie, ale dam ci dobrą radę. Jeśli chcesz wiedzieć, kto rządzi Vancouver, zacznij od portu. Związki zawodowe są bez wątpienia powiązane z mafijnymi strukturami, ale nikt się tym nie przejmuje.

- Dzięki, słoneczko. - Brazuka wstaje i szykuje się do wyjścia. Co prawda Lee nie powiedział mu nic nowego, ale skierował jego myśli na właściwe tory. - Rozświetliłeś mrok mojej niewiedzy, jak zawsze. - Zgniała puszkę i rzuca do kosza, ale pudłuje.

- Nie wiedziałem, że jesteśmy w poważnym związku - śmieje się Lee i podnosi puszkę, z której pił Brazuka. Już ma ją wyrzucić, ale jego uwagę przyciąga etykieta. - Co to jest do diabła mrożona kombucza?

- Kto ją tam wie? - odpowiada Brazuka, wzruszając

ramionami.

- Ty wiesz - stwierdza Lee. Może i pije o wiele za dużo, ale alkohol nie wyżarł mu jeszcze wszystkich szarych komórek

- Och, zamknij się.

- Spoko, Koreańcy to mistrzowie fermentacji. Słyszałeś kiedyś o kimchi? Rany, zły i groźny Brazuka popijający sfermentowaną herbatkę - śmieje się Lee.

- Uspokój się, dupku - woła Brazuka, otwierając furtkę za domem. - I nie zapomnij zmówić pacierza.

- Moja matka nadal wierzy, że chodzę do kościoła. Jesteś katolikiem? - wrzeszczy Lee, wciąż szczerząc się jak idiota. - Zadzwoń kiedyś!

Rozdział dwudziesty

Muszę gdzieś wylać swoje żale, dlatego próbuję się dodzwonić do Ośrodka Pomocy Weteranom. Oczywiście bezskutecznie, co nie powinno dziwić nikogo, kto kiedykolwiek miał z nimi do czynienia. Jeden z budynków ośrodka mieści się zaledwie kilka kroków od mojego motelu, ale jest ciemny i zamknięty na cztery spusty. Wysłałam więc mejla do Centralnego Ośrodka Informacji Marynarki Wojennej, ale nie dostaję żadnej odpowiedzi.

Mimo to udaje mi się wykrzesać resztki optymizmu i zapału. Dzwonię do Seba, ale nikt nie odbiera. Mogłabym się pożalić Simone, jednak uprzedzała, by nie zawracać jej głowy pierdołami i zapewne zamiast mi współczuć, po prostu by się rozłączyła. Odnalezienie Cory'ego Seopera niewiele mi pomogło w poszukiwaniu prawdy o śmierci mojego ojca. Czuję się jak ponura i wredna postać z dziecięcej książeczki, która zadręcza wszystkich pytaniami o tatusia: Słuchaj, może go jednak znałeś? No dalej, wyteż pamięć. Był podobny do mnie, tylko o wiele ładniejszy.

Cóż, może gdybym o sobie bardziej dbała, jak na przykład Lorelei, pewnie wyglądałabym lepiej. Zawsze jednak uważałam, że są ważniejsze sprawy niż wielogodzinne sterczenie przed lustrem.

A tak naprawdę nikt mnie nigdy nie nauczył, jak podkreślić atuty i ukryć mankamenty urody.

Kanadyjski system opieki nad sierotami zawodzi na wielu polach. Byłam w czterech rodzinach zastępczych, w których nikt nie zawracał sobie głowy tym, by mnie czegokolwiek nauczyć. Co miesiąc realizowali czeki za opiekę i zawsze dawali do zrozumienia, że nie należę do ich wspólnoty. Dom

rodzinny, wspólny język, tradycje i przesady, historyjki, smutne i wesołe, opowiadane z pokolenia na pokolenie – to wszystko utraciłam i nigdy nie odzyskałam. Już od wczesnego dzieciństwa czułam się jak outsider, ale niezbyt mi to przeszkadzało, bo lubiłam samotność. Nie oczekiwałam, że inni podpowiedzą mi, jak żyć. Zakładałam, że wiedzą równie mało jak ja.

Mój ojciec z pewnością był inny, nie utracił nadziei tak szybko jak ja. Porzucił stabilne zaplecze w Detroit i wyruszył na poszukiwanie korzeni.

A może nie wyjechał z własnej woli, może musiał przed czymś uciekać, szepcze wredny głosik w mojej głowie, zawsze gotowy do podsuwania najczarniejszego scenariusza. Równie podejrzliwy jak Seb, który nie odpowiada na moje telefony, ale i tak wiem, jak skwitowałyby wynik moich bezowocnych poszukiwań.

Powinam tkwić w barze i przyglądać się, jak smutni ludzie zapijają problemy i poprawiają sobie nastrój, ale dłużej tego nie zniosę. Muszę wreszcie ustalić, co się działo w domu, w którym dorastał ojciec. Harvey wyraźnie dał do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych kontaktów, ale nie mam nic innego do roboty, oczywiście oprócz nudnego oczekiwania na powrót Kovaksa, właściciela baru. Moją wyobraźnię rozpalają coraz częstsze wspomnienia adoptowanych indiańskich dzieci, które zostały objęte programem Sixties Scoop, chociaż akcja rozpoczęła się nie w sześćdziesiątych, ale już w pięćdziesiątych latach i trwała prawie trzydzieści lat. Dopiero teraz powstają opracowania ujawniające, co działo się w niektórych rodzinach zastępczych, gdzie dzieci były traktowane jak towar, wykorzystywane seksualnie i poniżane. Dochodziło też, przy udziale władz, do licznych nadużyć finansowych.

To był brudny interes, któremu wiele osób, w tym ja, nie ma ochoty wnikliwie się przyglądać. Nie chcę wiedzieć, jakie

okropności mógł przeżyć ojciec, ale to jedyna ścieżka, która mi pozostała. Dlatego po raz kolejny wybieram się do domu, w którym spędził dzieciństwo.

I mam nadzieję, że tym razem nie będę musiała się włamywać, tylko zostanę zaproszona do środka.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Każdej nocy mężczyznę, którego powszechnie uważa się za szefa Triple 9, odwożą z klubu Lala Lair w Gastown do spokojnej dzielnicy willowej w północnym Vancouver. Brazuka od kilku dni obserwuje zachowanie szefa gangu i jego kierowcy. Już wie, że nigdy nie uda mu się porozmawiać z mężczyzną w klubie. Równie trudno będzie wślizgnąć się do prywatnej rezydencji okolonej wysokim płotem naszpikowanym kamerami. Zdołaliby się tam włamać tylko dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności, a na to raczej nie ma co liczyć.

Brazuka czai się w mrocznej alejce na tyłach klubu, skąd ma widok na parkujące nieopodal bmw. Tkwi tu już tak długo, że zaczynają mu doskwierać znużenie i nuda. Jest chłodno, na pokrytym chmurami niebie nie ma gwiazd, które mógłby poobserwować. Kiedy postanawia wrócić do domu, z bmw wychodzi kierowca i zaczyna się przeciągać. Najwyraźniej musi po prostu rozprostować kości. Chwilę potem ktoś wychyla się z wejścia do kuchni i woła kierowcę, który szybko i bardzo ochoczo wchodzi do środka.

Brazuka na kilka sekund zamiera, wprost nie może uwierzyć, że tak mu się poszczęściło.

Wychodzi z cienia, wybiera miejsce, którego nie strzegą kamery i pochyla się szybko, udając, że zawiązuje sznurowadło. Błyskawicznie wyjmuje z kieszeni i przyczepia do tylnego zderzaka małe czarne pudełko.

Po sprawdzeniu, czy urządzenie działa, odchodzi spokojnie. Odruchowo szczyrzy zęby zdumiony głupotą kierowcy bmw i nadal bez pośpiechu wsiada do swojego samochodu. Martwi się tylko, że ludzie z gangu zbyt szybko wykryją nadajnik, a to poskutkuje zaostrzeniem procedur bezpieczeństwa. W tym

przypadku Brazuce nigdy nie uda się zdobyć więcej informacji. Na szczęście Stevie Warsame, obecnie wspólnik Leo, znawca i wielbiciel takich gadżetów, zapewnił, że ten model nadajnika jest najtrudniej wykrywalny. To nieco uspokoiło Brazukę, który marzy, by jak najszybciej wykonać zlecenie Lama. Po pierwsze przyjaciel bardzo się niecierpliwi, a po drugie dzięki obiecанemu astronomicznemu honorarium raz na zawsze uwolniłby się od finansowych kłopotów. Mógłby na zachodnim wybrzeżu prowadzić spokojne i luksusowe życie rentiera, bo czemu nie? Chyba zasłużył wreszcie na odmianę losu.

Irytuje go, że nie może sobie wyobrazić sobie, jak by to było na przykład żeglować luksusowym jachtem po błękitnych wodach ze szczupłą i wysportowaną kobietą u boku. Może ostatnio widział zbyt wiele przygnębiających rzeczy. Przybija go pogrążony w żałobie Lam, martwi obsesyjne zachowanie Grace, która nie pogodziła się ze śmiercią siostry, dołuje fakt, że Leo nie ma pojęcia o śmiertelnej chorobie Seba. No i jest jeszcze Nora. Nieważne, jak bardzo próbuje, nie umie jej sobie wyobrazić jako kobiety w podeszłym wieku. On i Nora... Być może zdarzają się szczęśliwe zakończenia takich historii, ale im nie jest to pisane.

Brazuka odpycha niechciane rozmyślania i następnego dnia skupia się na śledztwie. Zna trasy pokonywane przez bmw, ale potrzebuje jeszcze jednego szczęśliwego zbiegu okoliczności. Jakiegoś znaku, że nie jest pechowcem. Zamiast patrzeć w gwiazdy, zerka co chwilę na komórkę, by sprawdzić, czy bmw ruszyło. Liczy na sukces, ale przecież nie jest idiotą. To raczej pewne, że wreszcie wykryją nadajnik, a on znów znajdzie się w ślepej uliczce. Niestety chwilowo nie ma innych pomysłów.

Znudzony postanawia zajrzeć do apartamentu Clementine. Znajduje tam śpiącą twardo Grace, która mruczy coś pod nosem, ale hałas jej nie budzi. Brazuka przez chwilę

zastanawia się, czy wślizgnąć się do łóżka, ale komórka w jego kieszeni zaczyna wibrować. Bmw rusza i zatrzymuje się w miejscu, w którym jeszcze nigdy nie parkowało. Brazukę ogarnia podekscytowanie, jest pewny, że właśnie dostał prezent od losu, znak, na który tak niecierpliwie czekał.

Wychodzi na palcach z apartamentu i po cichu zamyka drzwi. Nie chce budzić udręczonej Grace, która chyba śni koszmary.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział dwudziesty drugi

Firanki w oknach domu naprzeciwko co kilka chwil falują. Jestem obserwowana od momentu, gdy usadowiłam się na werandzie Harveya, czekając na jego powrót. Liczę na to, że wścibska sąsiadka do niego zadzwoni. Jeżeli jest coś, czego unikam bardziej niż rozmowy z glinami, to kontakty z wścibskimi i złośliwymi ludźmi. Jednak teraz uśmiecham się sztucznie, przechodzę przez jezdnię i pukam do drzwi domu, z którego jestem tak bacznie obserwowana.

Na brak odzewu reaguję coraz energiczniejszym stukaniem.

- Wiem, że ktoś jest w domu! - krzyczę w otwór skrzynki pocztowej zawieszanej na drzwiach. - Chciałam tylko zapytać o mojego ojca, Samuela. Mieszkał w tym domu naprzeciwko. Może ktoś z sąsiadów go znał?

Bezskutecznie czekam na odpowiedź, potem przez kilka minut siedzę na werandzie, pełna nadziei, że wreszcie usłyszę coś ciekawego i pożytecznego, co popchnie moje śledztwo do przodu. A jeżeli nie, to przynajmniej mam stąd dobry widok na dom, w którym dorastał mój ociec. Kiedyś musiało tu być całkiem ładnie. Niestety żółta farba na fasadzie zszarzała i potwornie się łuszczy, a niewielki ogródek wygląda jak hodowla wszelakich chwastów.

Firanki przestały falować. Zaczynam się zastanawiać, czy zamiast tkwić tu bez sensu, nie powinnam zabawić się w turystkę. Mogłabym na przykład obejrzeć w Instytucie Sztuki murale Diego Rivery. Znam je tylko z pocztówek, a i tak wywarły na mnie wielkie wrażenie. Zadziwiające, że w swojej wizji tak trafnie przewidział niezwykle, ale i przerażające następstwa rozwoju technologii przemysłowych i automatyzacji procesów produkcyjnych. Nie przewidział

jednak inwazji narkotyków, a więc i tego, co robią z ludźmi. Na przykład wciąż pamiętam odurzoną kobietę, która w samych majtkach, stojąc na środku jezdni, próbowała dyskutować o życiu z mijającymi ją samochodami. Ze strony dla turystów dowiaduję się, że warto też obejrzeć studia nagraniowe słynnej wytwórni Motown. A tak naprawdę powinnam pogadać z ludźmi, którzy stąd nie uciekli, zapytać, co wciąż ich trzyma w tym niszczącym mieście. Zjeść sałatkę z warzyw organicznych, która kosztuje więcej niż wynosi przeciętny tygodniowy budżet mieszkańca Detroit. Powinnam zapomnieć o czasach chwały tego miasta, zdradzonego przez przemysłowe potęgi. Teraz Detroit jest jak człowiek znaczący mniej niż zero, który kiedyś był szychą i wciąż nie może się pogodzić z upadkiem. Na ulicach nie ma wielu ludzi, ale ci, którzy mnie mijają, mają do zaoferowania jedynie ponure, podejrzliwe spojrzenie. Niezbyt mi to przeszkadza, przecież też nikomu nie ufam, a najlepiej mi znanym uczuciem jest złość.

Po dziesięciu minutach postanawiam odejść, ale właśnie wtedy przed domem zatrzymuje się samochód. Wysiada kobieta w moim wieku, w ręku trzyma dużą papierową torbę.

- Cześć - mówię.

- Cześć - odpowiada i patrzy na mnie, a potem na drzwi wejściowe. Odgarnia z czoła długie jasne włosy i pyta: - Czekasz na Rettę? Jest w domu, ale od dwudziestu lat z niego nie wychodzi - wyjaśnia i jest na tyle uprzejma, że postanawiam zasięgnąć języka.

- Mój ojciec mieszkał naprzeciwko - mówię, wskazując dom Harveya. - Umarł, kiedy byłam dzieckiem. Niewiele o nim wiem, więc pomyślałam, że może Retta go pamięta.

- Och, na pewno. - Kobieta uśmiecha się zjadliwie. - Retta wie wszystko o wszystkich. Prawda, ty stara wiedźmo? - krzyczy w stronę okna, które ktoś w trakcie naszej rozmowy otworzył.

- Wynocha z mojej werandy, durna łajzo - rozlega się z głos z domu. W otwartym oknie, w samym rogu, pojawia się blada, pomarszczona twarz. - I powiedz tej złodziejskiej szmacie, że nie mam jej nic do powiedzenia.

Już wiem, kto zadzwonił do Harveya, gdy włamałam się do jego domu.

- Jejku, jejku, co to za słownictwo - odpowiada siedząca obok mnie kobieta. - Chcesz zjeść te żeberka z grilla, które przyniosłam? To najpierw powiesz grzecznie tej milej pani, co wiesz o jej tacie. Jeżeli nie, sama wszystko zjem i przysięgam na Boga, że moja noga więcej nie postanie na tej zaświnionej werandzie, bo powiem pastorowi, że umarłaś.

- Moja weranda jest czyściutka, ty cholerna czarownica! - rozlega się w odpowiedzi wściekły skrzek.

- Melissa - przedstawia się siedząca obok kobieta.

- Nora. - Wyciągam do niej dłoń. - Kiedy ostatnio Retta wyszła z domu?

- W latach dziewięćdziesiątych, żeby zobaczyć nowego pastora. Trzeba było widzieć jej minę, gdy okazało się, że jest czarny. Pastor poprosił wiernych, by sprawdzili, kto w okolicy potrzebuje pomocy. Nie chciałam tu przychodzić, ale powiedział, że muszę nieść ten krzyż, to moja pokuta za grzechy. Chcesz kawałek bułki kukurydzianej? - Wyjmuje z papierowej torby zawiniątko w woskowanym papierze, wciąga z rozkoszą powietrze i podaje mi kawałek smakowicie wyglądającej bułeczki. - Pyszne, co? - mówi z pełnymi ustami.

Drzwi frontowe otwierają się gwałtownie.

- Łapy precz od mojego jedzenia - mówi kobieta stojąca na progu. Ubrana w wyprasowaną sukienkę, w dobrze dobranym kapeluszu, z perłami na szyi i w pełnym makijażu wygląda w tym niszczyjącym otoczeniu groteskowo. Świdruje nas wzrokiem, zatrzymując szczególnie długo spojrzenie na rozsypanych wokół okruchach.

- Najpierw porozmawiaj z tą pani - żąda Melissa.

- Żadnego szacunku dla starszych - zrzędzi Retta w odpowiedzi, a potem zwraca się do mnie: - Nie wpuszczę cię do środka, ale mogę coś powiedzieć o chłopaku, który dorastał w domu naprzeciwko. Nie był taki zły. Kiedyś podczas wakacji zatrzymał chuliganów, którzy próbowali się do mnie włamać. Wszyscy lubili go bardziej niż tego drugiego, tego, który wciąż tam mieszka. Nawet rodzice. Oni oczywiście już nie żyją. A chłopak, o którego pytasz, poszedł potem do wojska.

- Do marynarki - mówię i staję z nią twarzą w twarz.

- Co za różnica - prycha Retta. - Zniknął, kiedy skończył osiemnaście lat i nikomu nie podał nowego adresu. Przyjechał tu kilka lat później, ale rodzice już nie żyli, zginęli w wypadku samochodowym. Wszystkim musiał się zająć ten drugi, chociaż zapisali dom tamtemu. Wyobrażasz sobie? Co za brak wdzięczności. Ja też nie przepadam za Harveyem, ale nie jest taki zły, no i opiekował się nimi.

Jestem jedyną zadowoloną kobietą w tym towarzystwie, bo wreszcie czegoś się dowiedziałam. Chwilę trwa, zanim dociera do mnie sens wszystkich informacji.

- Ojciec został właścicielem tego domu? - pytam oszołomiona.

- Podobno przekazał dom temu drugiemu i zniknął na zawsze. Widział, co dzieje się w tym mieście. Mądry chłopak, wyjechał w odpowiednim momencie - mówi Retta.

Dopiero gdy rozlega się znaczące chrząknięcie Melissy, kieruję wzrok na ulicę. Harvey stoi kilka metrów od werandy z wnuczką u boku.

- Co ty tu do diabła robisz? - pyta cicho i patrzy na nas wściekle.

Rozdział dwudziesty trzeci

Siedzę przy kuchennym stole i obserwuję, jak Harvey gotuje makaron dla wnuczki. Dziewczynka ma na imię Darla, siedzi naprzeciwko i nie spuszcza ze mnie oka. Harvey krząta się bardzo zwawo i chyba specjalnie hałaśliwie. Gwałtownie otwiera i zamyka szuflady, stuka pokrywkami i energicznie miesza w garnku, chociaż na razie gotuje się w nim tylko woda. Przypominam sobie, jak przed rokiem siedziałam w kuchni Lorelei, próbując wytłumaczyć, dlaczego ukradłam jej samochód, który zresztą rozbiłam.

To nasze spotkanie utkwilo mi w pamięci, bo siostra nazwała mnie wredną pindą i kurwą. Co prawda Harvey nie wypowiedział się tak dosadnie na temat dominujących cech mojej osobowości, ale poznaję po jego zachowaniu, że przyklasnąłby słowom Lorelei.

Darla trzyma w rączce schowanej pod stołem lizaka, którego jej podarowałam, ale tym razem nie nabiorę się na sztuczki małej cwaniary i celowo ją ignoruję. Skupiam całą uwagę na przybranym bracie ojca i zastanawiam się, jak to jest, gdy rodzice obdarzają większą miłością adoptowane dziecko. Właściwie wiem, jak musiał się z tym czuć, bo takie odrzucenie to mój chleb powszedni.

Zaczynam mu współczuć, ale wtedy przerywa milczenie, wyrzucając z siebie szybko słowa. Nie mówi wprost do mnie, tylko gdzieś w przestrzeń.

- Chcesz się czegoś dowiedzieć o ojcu? - pyta i nie czekając na odpowiedź, mówi dalej: - Kiedy przywieźli go z Kanady, miał dwa lata. Zapłacili agencji adopcyjnej dziesięć tysięcy dolarów. Mama nie mogła mieć więcej dzieci, a bardzo chcieli zafundować mi braciszka, najlepiej w takim samym wieku.

Dorastaliśmy razem, ale gdy tylko skończył osiemnaście lat, poszedł do wojska. Potem był tu tylko raz. Nigdy nie kontaktował się z rodzicami, nie pomagał im. Nawet nie wiedział, że zginęli. To ja się nimi opiekowałem, to ja dbałem o dom, a nagle okazało się, że wszystko należy do niego.

- Dlaczego zapisali dom jemu, a nie tobie?

- Ja... za dużo piłem - mówi cicho. - Trochę trwało, zanim wyleczyłem się z nałogu. A potem... też mogłem wyjechać, podkulić ogon i zniknąć, ale zostałem.

- Dokąd zamierzałeś wyjechać?

- Chcesz znać prawdę? Całe życie spędziłem w tym cholernym mieście i tak naprawdę nigdy nie myślałem na serio o przeprowadzce. On to co innego, nie chciał tu zostać. Proponowałem, że odkupię od niego dom, ale po prostu zrzekł się wszystkiego na moją korzyść. Poznał kobietę z Montrealu, Arabkę, i wyjechał do Kanady, żeby szukać biologicznej rodziny. Dostał pracę w Winnipeg. Przeprowadzili się tam, zresztą właśnie tam się urodził.

- Znalazł rodzinę?

- Nie, ustalił tylko, że był dzieckiem niezamężnej kobiety, ale nigdy nie odnalazł matki. Kiedy kontaktowałem się z nim po raz ostatni, nadal mieszkał w Winnipeg. Nigdy nie dzwonił ani nie odpowiadał na moje listy, a przecież byliśmy braćmi, kiedyś zawsze mogliśmy na siebie liczyć. Cóż, może się mnie wstydził!

- wybucha i zaciska pięści, a przestraszona Darla zaczyna płakać.

- Jaką Arabkę? - pytam głośniejszym głosem, niż zamierzałam, przez co mój głos brzmi twardo i nieprzyjemnie.

- Co?

- Mówiłeś, że poznał Arabkę.

Przez chwilę patrzy na mnie nieprzytomnie, jakby zapomniał, kim jestem.

- No... twoją matkę. A niby o kim mówiłem?

Twarzyczka Darli jest wciąż mokra od łez. Gdy dziewczynka podnosi rękę z lizakiem, bezwiednie go dla niej rozwijam. Wzmianka o matce powinna obudzić we mnie nadzieję i ekscytację, ale wcale tak się nie dzieje. Mam wrażenie, że ktoś wrzucił mnie do głębokiej wody, a ja dryfuję lekko nad dnem, nagle lekka jak piórko. Gdy próbowałam poskładać układankę z życia ojca, w ogóle nie było w niej fragmentów dotyczących matki. Nic dziwnego, skoro w ogóle jej nie pamiętam. Potrzebuję chwili, by dojść do siebie i zapytać:

- Tutaj poznał moją matkę?

- Tak, była na weselu w Dearborn, a potem wpadła do Detroit. Naprawdę nic o niej nie wiesz?

- Nie. Odeszła wkrótce po urodzeniu mojej siostry. Kiedy umarł ojciec, jego siostra...

- Nie była jego siostrą - przerywa mi gwałtownie, ale zaraz się uspokaja, zawstydzony swoim zachowaniem. - Poznali się w centrum dla adoptowanych dzieci. Oboje pragnęli znaleźć biologiczne rodziny. Ona szukała młodszego brata, a twój ojciec... cóż, kogokolwiek. Ona była... Sam miał dużo uroku, ludzie do niego lgnęli.

Opiera się ciężko o stół i patrzy gdzieś w przestrzeń, pogrążony we wspomnieniach. Czuję przez skórę, że coś ukrywa. Nie chodzi o to, że rodzice kochali bardziej adoptowanego syna i to jemu zapisali dom, by zawsze miał dokąd wrócić. I nagle doznaję olśnienia. Harvey kochał mojego ojca równie mocno jak oni.

- Wysyłałeś mu pocztówki, żeby wiedział, że zawsze może tu wrócić - mówię cicho.

- Zadzwoił, kiedy twoja matka go porzuciła. Stracił pracę w fabryce, chciał pożyczyć trochę pieniędzy.

- Pożyczyłeś mu?

- Nie, akurat też byłem bezrobotny i wciąż walczyłem z nałogiem. Zaproponowałem, by tu zamieszkał, oczywiście za

friko, i poszukał pracy. Wtedy w Detroit jeszcze można było gdzieś się zaczepić. W tamtych czasach mieszkałem z córką, chciałem, żeby go poznała, ale odmówił. Powiedział, że ma rodzinę w Kanadzie. Mogłem to zrozumieć, dopóki był z twoją matką. Ona... Nigdy nie widziałem piękniejszej kobiety.

Złość już niego wyparowała, na jej miejsce wkradło się zmęczenie. Kiedy stawia przed Darlą talerz z jedzeniem, widzę, jaki jest stary, samotny i znużony życiem. Ciekawe, co stało się z jego córką, dlaczego to on wychowuje wnuczkę. Zastanawiam się, czy od zawsze kochał mojego ojca, a może poczuł z nim więź, dopiero gdy przytłoczyła go samotność. Nie powinnam o tym rozmyślać, nie po to tu przyjechałam.

- Masz może jej zdjęcie? - pytam.

- Zdjęcie?

- Mojej matki. Mówiłeś przecież, że poznali się w Detroit.

- Chwila, chyba coś znajdę. - Wychodzi z kuchni, a ja po chwili słyszę, jak ciężko wchodzi po schodach.

- Cześć - mówi Darla i zaczyna wywijać widelcem. Na stole ląduje malownicza plama sosu pomidorowego, ale żadna z nas nie reaguje. Dziewczynka uśmiecha się do mnie konspiracyjnie, a ja znów zauważam, że jest szczerbata.

- Cześć - odpowiadam trochę zbyt szorstko.

Mała wyciąga z kieszeni kawałek błękitnej wstążki, który jej ostatnio podarowałam.

- Ciii - szepcze, przykładając palec do ust.

- Hm, to nie ja za dużo gadam, prawda?

To śmieszne, ale wciąż czuję się urażona, że nie dochowała sekretu, chociaż tak bardzo o to prosiłam.

Harvey ponownie pojawia się w kuchni, trzymając w dłoniach pożółkłą gazetę.

Patrzę na nagłówek i nie bardzo wiem, czego się spodziewać. Co w tym ciekawego, że jakiś libański polityk mieszka z Dearborn? Na pierwszym zdjęciu widać eleganckiego,

wysokiego mężczyznę. To Ali Nasri, który odegrał znaczącą rolę podczas kryzysu libańskiego w latach osiemdziesiątych, a teraz mieszka w Michigan. Na kolejnym zdjęciu, zrobionym podczas wesela, obok Alego stoją jego syn Walid z narzeczoną, w tle widać grupkę gości.

- To ona - mówi Harvey, wskazując jedną z kobiet na zdjęciu.
- Sabrina Awad.

Na twarzy kobiety widać lekką konsternację i zdziwienie, fotograf chyba ją zaskoczył. Chociaż stoi w grupie, od razu przyciąga wzrok. Jest niezwykle piękna, na tle wystrojonych kobiet stanowi wysmakowaną wysepkę eleganckiej prostoty. Ciemnie włosy sięgają ramion, a rysy są tak regularne, że lepszych efektów nie dałoby się uzyskać nawet profesjonalnym makijażem. To ta sama kobieta, która na innym starym zdjęciu trzyma mnie w ramionach, moja matka. Jest ubrana w sukienkę na ramiączkach ozdobionych kokardkami, mogłabym przysiąc, że z niebieskiego jedwabiu.

- Mogę zatrzymać gazetę? - pytam cicho.

- Jasne. - Harvey kiwa głową, a ja zbieram się do wyjścia. Kiedy jestem już w progu, dodaje: - Wiesz, co prawda nie jesteś do niego zbyt podobna, ale coś w twoim głosie... chwilami brzmisz jak on.

- Czy mój ojciec był typem samobójcy? - zbieram się wreszcie na odwagę, by zadać to pytanie.

- Skądże, chociaż z drugiej strony znałem go tylko jako młodego chłopaka, nic nie wiem o jego późniejszym życiu. A właściwie... czy kiedykolwiek go znałem? Słyszysz różne historie o weteranach wojennych, Sam też się bardzo zmienił po wyjściu z wojska. W każdym razie Sam, którego znałem, nigdy nie targnąłby się na życie. Tyle że trudno uznać mnie za znawcę ludzkiej duszy. Córka zmarła po przedawkowaniu, a przecież też mi się wydawało, że wszystko o niej wiem. Macierzyństwo ją odmieniło. Chciałem wierzyć, że na zawsze. -

Patrzy na Darlę, która wkłada brudny talerz do zlewu, i wzdycha ciężko. Już uporał się ze złością, jakby wybuch agresji wysał z niego resztki sił. – Wpadnij, gdybyś jeszcze chciała pogadać.

Mój pomruk można potraktować jako zgodę, ale dobrze wiem, że raczej już nigdy tu się nie zjawię.

Po wyjściu z domu, w którym dorastał ojciec, uświadamiam sobie, jak bardzo burczy mi w brzuchu. Chętnie zjadłabym falafela, ale to chyba kiepski pomysł. Z trudem powstrzymuję się przed wysłaniem do Bonnie SMS-a z pytaniem: Czy ty też lubisz arabską kuchnię? A zastanawiałaś się dlaczego?

Zerkam przez ramię, czując na sobie czyjś wzrok. Obserwuje mnie zarówno Harvey, jak i jego wścibska sąsiadka z naprzeciwka. Darla macha do mnie z werandy, jednak nie odwzajemniam gestu.

Może i moglibyśmy być rodziną, ale już na to za późno. Harvey Watts tylko potwierdził, co i tak już wiedziałam. Mój ojciec wrócił do Kanady w poszukiwaniu swoich korzeni. Nigdy nie odnalazł nikogo z biologicznej rodziny. Był samotny i zagubiony w równym stopniu jak ja, kiedy kilka chwil temu zobaczyłam na fotografii po raz pierwszy dokładnie całą twarz mojej matki.

Rozdział dwudziesty czwarty

Steve Warsame wciska się do ciasnego wnętrza samochodu, próbując znaleźć najwygodniejszą pozycję, co przy jego potężnej sylwetce nie jest łatwe. Nie komentuje tego, upija łyk kawy z termosu i krzywi się niemiłosiernie.

- Robisz głównianą lurę - mówi do obserwującego go z fotela kierowcy Brazuki.

- Łamiesz mi serce. - Brazuka zapala i wyjeżdża z parkingu. Zerka ostatni raz na dom, do którego doprowadził go GPS śledzonego bmw. Uliczka wygląda na spokojną, po obu stronach ocieniają ją wysokie drzewa. Może nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale to na pewno droga okolica. Przed jednym z domów jest nawet basen, co w Vancouver uchodzi za szczyt luksusu. Zdecydowana większość musi się zadowolić krytymi miejskimi basenami, w których chlor niemal wypala oczy.

- To jak, chcesz posłuchać, co mam do powiedzenia? - pyta Warsame, który przed chwilą dyskretnie obejrzał interesującą ich posesję. - Na pozór to tylko kolejny wypasiony dom, ale zauważyłem kamerę przy bramie i na podjeździe. Kogo tym razem śledzisz? Żonkosia, który zabawia się na boku?

- Dostałem zlecenia na inwigilację, bez konkretów - odpowiada Brazuka, który nie zamierza zdradzać szczegółów.

- Można konkretniej? - reaguje ze złością Warsame. - Ostatecznie wyświadczam ci przysługę.

- Przecież zapłaciłem. - Brazuka bez skrpułów korzysta z pieniędzy Lama, jednak nie zdradził Warsame'owi tożsamości klienta. Wie, że argument finansowy nie zadziała, bo Warsame bierze tylko te sprawy, które wydają mu się warte zachodu.

- No i co z tego? Może mam coś ciekawszego do roboty.

Warsame okrasza szczerą wypowiedź ujmującym uśmiechem. Biorąc pod uwagę jego przeszłość, niewymuszony luz wydaje się zupełnie nie na miejscu. Zanim trafił do Kanady, przeżył wojnę domową w Somalii i długie miesiące w obozie dla uchodźców w Kenii. Jako dziecko widział więcej okropnych rzeczy niż większość dorosłych. Trudno go do czegokolwiek zmusić lub przekonać, że twoje potrzeby są ważniejsze od jego.

- Przyjaciel poprosił o sprawdzenie kontaktów pewnego dilera z gangiem Triple 9. - Brazuka wzdycha teatralnie. - Dotychczasowe śledztwo doprowadziło mnie do tego domu.

- Próbujesz namierzyć łańcuch dostawców? Stary, to robota dla policji.

- Jasne, ale chodzi o przysługę, nie będę się w to za mocno w gryzał - próbuje zbagatelizować sprawę Brazuka. Nikogo nie zwiódłby jego na pozór obojętny ton, a już na pewno nie Warsame'a, który jednak postanawia zadowolić się tym stwierdzeniem. Przynajmniej na razie.

- Dobra, pójdę coś zjeść. Będziesz mnie jeszcze potrzebował?

- pyta Warsame, wysiadając kilka przecznic dalej, gdzie zaparkował.

- Tak, pokręć się trochę po okolicy.

- Jasne, ty płacisz. Klient nasz pan. Daj znać, jeśli uznasz, że przydałoby się więcej ludzi.

- Oczywiście, dzięki. Na razie sam chcę się trochę zorientować w sytuacji.

Warsame nie liczy sobie mało, a faceci, których by zwerbował, też pewnie nie należą do najtańszych. Właściwie nie ma sensu angażować w sprawę więcej osób, skoro na razie nie wiadomo, o kim konkretnie zbierać informacje. Gdy Warsame wysiada, Brazuka wyciąga ze schowka na rękawiczki koktajl proteinowy i pociąga potężny łyk.

Przez chwilę krąży po okolicy i właśnie zamierza zaparkować, gdy drzwi od garażu obserwowanego domu

powoli się otwierają. Po chwili Brazukę mijają nowiusiutki pikap toyota, w którym siedzi mężczyzna z okazałym zarostem w głęboko nasuniętej na oczy bejsbolówce. Brazuka odczeka chwilę, a potem wysłała SMS-a do Warsame'a:

Jadę za obserwowanym.

Obaj, każdy w swoim samochodzie, podążają za brodaczem, aż na parking dla pracowników portu.

- A to ci niespodzianka - odzywa się w telefonie Brazuki głos Warsame'a. - To już wiesz, kto ma kontakty z gangiem Triple 9.

Brazuka uśmiecha się kwaśno. Może ta sprawa okaże się dziecinnie prosta, a odpowiedzi na pytania są na wyciągnięcie ręki. Niestety intuicja podpowiada mu, że nie będzie łatwo i przyjemnie, a już na pewno nie dla niego. Chyba że rzeczywiście coś się zmieni w jego zasranym życiu i wreszcie opuści go odwieczny pech.

Rozdział dwudziesty piąty

Na dworze wciąż jest jasno, kiedy wreszcie opadam na krzesło w hipsterskiej kawiarni ulokowanej w ogromnej galerii handlowej. Młody facet, który ją prowadzi, jest albo amiszem, albo po prostu lubi okazałe bokobrody i staromodne marynarki. Otwieram macbooka, którego dostałam kiedyś od Leo, i przeglądam wiadomości.

Jest jedna nowa, niestety tylko od administratora strony dla weteranów wojennych. Znajduję tam instrukcję, jakie kroki należy podjąć, by uzyskać dostęp do akt wojskowych ojca. Jasne, spróbuję, ale użeranie się z biurokratami nie jest tym, co tygryski lubią najbardziej. Potem przegląd dyskusje na forum i moją uwagę zwraca dość stary wpis. Podobno jacyś marines przez pomyłkę wyrzucili kiedyś z samolotu kosztowny sprzęt wojskowy. W odpowiedzi na to ktoś inny zasugerował, że chodziło nie tyle o sprzęt, co o tajemniczą substancję. Na tym dyskusja się zakończyła, a ja dochodzę do wniosku, że nawet jeśli mój ojciec uczestniczył w tym incydencie, to jeszcze nie jest powód, by strzelać sobie w łeb.

Później szukam informacji na temat tatuażu, który zauważyłam na szyi napastnika z hotelu. Niby o tym wiedziałam, ale i tak mnie zaskakuje popularność tego typu zdobień wśród kryminalistów. Niestety nie widziałam twarzy niedoszłego rabusia, tylko kawałek karku, i według mnie nie miał zupełnie ciemnej skóry. Jednak określenie „niezbyt ciemna skóra” to stanowczo za mało, by kogoś namierzyć. Zastanawiam się, czy nie poprosić o pomoc Simone, jednak wówczas musiałabym jej powiedzieć o incydencie w motelu. Boję się jej reakcji i szybko rezygnuję z pomysłu.

Robi się późno, kawiarnia pomału pustoszeje. Kiedy dzwoni

moja komórka, mam nadzieję, że to może Seb, który wreszcie poczuł się lepiej. Niestety to numer z Detroit.

- Hm, szef już wrócił - mówi barman z lokalu, w którym spędziłam ostatnio tak wiele czasu, chrząka i rozłącza się bez pożegnania.

Mam sucho w ustach, w skroniach czuję pierwsze igiełki bólu, ale cieszę się, że godziny spędzone na obserwacji alkoholików nie poszły na marne.

Zanim wyrzucą mnie z kawiarni, postanawiam jeszcze sprawdzić, czy znajdę coś w sieci o rodzinie z gazety, którą dostałam od Harveya. Niestety nie ma więcej zdjęć, nic o nowożeńcach czy weselnych gościach. Ani słowa o kobiecie, która dała mi życie.

Rozdział dwudziesty szósty

W barze jest dzisiaj bardzo tłoczno i głośno, większość gości ogląda jakiś mecz. Niektórzy są w żółtych koszulkach, inni w czerwonych. Chętnie zapytałabym barmana, co się dzieje, ale jest zbyt zajęty. Kiedy udaje mi się przyciągnąć jego wzrok, wskazuje głową drzwi za barem.

W biurze, a raczej kantorku siedzi przy zasłanym papierami biurka około sześćdziesięcioletni mężczyzna. Wygląda zdrowiej niż goście jego baru, właściwie wygląda zdrowiej również ode mnie.

- Kończy nam się whisky, nowa dostawa dopiero jutro. Szykuje się ciężki wieczór - mówi, nie podnosząc wzroku.

- Podzielę się z kimś piwem - odpowiadam.

- To ty jesteś córką Sama? - Patrzy na mnie uważnie. - Alastair wspomniał, że mnie szukałaś. - Zanim daję radę otrząsnąć się z szoku, słysząc dziwaczne imię barmana, dodaje: - Usiądź.

Zamykam drzwi, dzięki czemu hałas staje się odrobinę mniej męczący, i siadam. W pomieszczeniu jest czysto, ale przydałby się gruntowny remont. Odnoszę wrażenie, że najbardziej problematyczne miejsca są zakryte dużymi plakatami i zdjęciami. Logo na plakatach jest identyczne z tym, które zauważyłam na czerwonych koszulkach gości. Trwa chwilę, zanim sobie przypominam, że chodzi o miejscową drużynę hokeja, Detroit Red Wings. Od razu poprawia mi się humor, bo Kanadyjczycy świetnie wiedzą, jak rozmawiać z fanami tego sportu.

Wskazuję zdjęcie, na którym młody Kovaks odbiera krążek przeciwnikowi, i pytam:

- Jakie szanse mają w tym roku Red Wings na play-off?

- Gówniane. - Kręci głową. - Szkoda gadać. O czym chciałaś porozmawiać?

- O Libanie. - Podsuwam mu zdjęcie ojca i trzech innych żołnierzy.

Patrzy na nie długo, wreszcie mówi:

- Pamiętam, kiedy było zrobione. W Karolinie Północnej. To ja, twój ojciec, Cory Seaper i Juan Gutierrez. Wszyscy oprócz mnie już nie żyją. - Wzdycha ciężko.

- Naprawdę?

Wciąż wpatruje się w zdjęcie. Po chwili zdejmuje ze ściany stary zegar, pod którym wisi inne zdjęcie. Ojciec i Kovaks stoją przed barem i wznoszą toast, sądząc po kieliszkach, wódką. Są trochę starsi niż na fotografii, którą mu pokazałam.

- To było zaraz po powrocie do cywila, kiedy ojciec przekazał mi ten bar. Jezu, ale byliśmy wtedy młodzi. Świat wydawał nam się wtedy niezbyt przyjaznym miejscem, właśnie rozkręcała się zimna wojna i wszyscy baliśmy się wybuchu kolejnego globalnego konfliktu. Żyliśmy jak na wulkanie.

- Tak - odpowiadam bez zbytniego zaangażowania, tak bardzo jestem skupiona na zdjęciu ojca. Napawam się faktem, że dosłownie kilka minut stałam przed tym samym barem.

- Hm... - Zerka na mnie. - Masz rację, zawsze czegoś się boimy, każda epoka hoduje własne lęki. Naziści, Wietkong, Rosjanie, a teraz... Właściwie wszystko i wszyscy. - Na chwilę przerywa i popada w zadumę. - Moja przyjaciółka relacjonowała konflikt w Libanie, również podczas wojny domowej. Często powtarzała, że tam informacja była na wagę złota. W Bejrucie aż roiło się od agentów, podwójnych, a może i pracujących dla trzech mocodawców - wybuchu śmiechem.

- A może i dla czterech - mówię. Gdy rozmówca za bardzo zanurzy się w przeszłość, dobrze mu przypomnieć o swojej obecności i skierować go na właściwe tory.

- No co ty - oburza się. - Jeśli chcesz, poproszę, żeby do

ciebie zadzwoniła.

- Jasne. - Każda informacja może się przydać, jednak czy akurat ta kobieta powie mi coś o moim ojcu? Raczej wątpię. - Utrzymałaś z nim kontakt po wyjściu do cywila?

- Tak, przez jakiś czas. Zrezygnowałem z wojskowej kariery dość szybko, Sam służył dłużej. Uważałem, że to świetny sposób na zwiedzenie świata i wyrwanie się z tego miejsca. Niestety mój staruszek ciężko zachorował i potrzebował pomocy w barze. To rodzinny interes, rozkręcony przez dziadka, więc właściwie nie miałem wyboru. Sam czasami tu wpadał, ale pewnego dnia powiedział, że przeprowadza się do Kanady z tą swoją cwana łajzą... och, przepraszam, to twoja matka, tak?

W odpowiedzi tylko wzruszam ramionami. Po zeszłorocznym postrzale wciąż nie odzyskałam w pełni sprawności w jednym ramieniu, toteż ten gest zapewne wyglądał dość dziwacznie.

- Tak mi się wydaje - odpowiadam.

Lustruje mnie wzrokiem, zupełnie jakby miał w oczach rentgen. Zauważył, że prawie nie poruszyłam jednym ramieniem, z pewnością zwrócił też uwagę, że nadal trochę kuleję. Jest bystrym obserwatorem, niewiele mu umyka. To z tego powodu moja zagrywka z gadką o hokeju nie wypaliła.

- Zostawiła nas, kiedy byłam dzieckiem - wyjaśniam kolejnej obcej osobie, więc powinnam przywyknąć, ale nic z tego.

- Kochanie, więc nie tylko szukasz informacji o ojcu, ale pewnie niewiele wiesz i o matce?

- Nazywam się Nora.

Kovaks natychmiast łagodnieje, patrzy na mnie tak ciepło, że od razu przypomina się Seb, o którym ostatnio próbowałam zbyt wiele nie rozmyślać. Cholera, zupełnie nie umiem rozmawiać ani postępować z miłymi facetami. Simone powiedziałyby: „pieprzyć ich”, Leo zaleciłby otwartość i grzeczność, ale żadna z tych rad do mnie nie przemawia.

Dlatego gapię się tępo na wszystkie hokejowe trofea i próbuję ignorować rodzinne kłopoty. Bo prawdę powiedziawszy, mam problem nie tylko z mamusią i tatusiem, ale też nie najlepsze stosunki z siostrą.

- Noro, jak mogę ci pomóc? - pyta Kovaks łagodnie.

Opowiadam mu, co udało mi się dotychczas ustalić, i streszczam rozmowę z facetem, który zaczepił mnie w parku.

- No tak, w Libanie nie było wtedy za wesoło, ale potrzebujemy konkretów. O czym mówił ten człowiek? O wojnie domowej? Syryjskiej inwazji? Izraelskim ataku? - drąży.

- Odszedł, zanim zdążyłam go o cokolwiek zapytać.

- Chyba ci nie pomogę. Twój ojciec nigdy nie postawił stopy na libańskiej ziemi. Gdyby podczas służby wpadł w kłopoty, na pewno by mi powiedział. Służył na okręcie, który patrolował Morze Śródziemne.

- Na okręcie? - Odruchowo prostuję plecy. - Na pewno?

- Tak, o ile mi wiadomo. Opowiadał, że kiedyś uratowali palestyńskich uchodźców, których łódź została ostrzelana przez Syryjczyków. To wydarzenie nim wstrząsnęło. Zziębnięci i przerażeni ludzie, upchnięci jak sardynki w puszcze. Zdesperowani, gotowi na wszystko, byle tylko znaleźć lepsze miejsce do życia. Posłuchaj, jestem z Detroit. To główniana miejscówka, ale nigdzie nie jest bajkowo. Ale ja przynajmniej mam rodzinę, mogę ci pokazać, gdzie dorastał mój dziadek. Opowiedzieć, jak matka poślizgnęła się na tamtym chodniku w kiepskim roku, w którym nie było nas stać na prezenty gwiazdkowe. Ja mam przynajmniej tyle, a twój tata nawet nie wiedział, gdzie się urodził. A potem na środku morza uratował ludzi, którzy na zawsze stracili ojczyznę. Po tym wydarzeniu trochę się zmienił. Nadal był miły, ale... trochę zgorzkniał. Nie zdziwiłem się, że zaczął się spotykać z dziewczyną z Libanu.

Nawet gdy jesteśmy już dorośli, wciąż tkwi w nas dziecko,

które chciwie słucha opowieści o romansie rodziców. Powinnam szukać odpowiedzi na zupełnie inne pytania, ale to jest silniejsze ode mnie, więc pytam:

- Wiesz, gdzie się poznali?

- W małym arabskim barze za rogiem.

Potrząsam głową, zbyt oszołomiona, by powiedzieć coś sensownego.

Już przy drzwiach zatrzymuję się na chwilę i zbieram na odwagę, by zapytać:

- Jakim był człowiekiem?

- Bardzo dobrym, Nora - odpowiada łagodnie. - Aż trudno uwierzyć, że... Cóż, jego wybór, ale mimo wszystko... Jasne, wielu weteranów nie może zapomnieć okropności, które widzieli. Mimo wszystko byłem w szoku, gdy dowiedziałem się, jak umarł Sam...

Czyżby zauważył, jak bardzo jestem roztrzęsiona? Czy dostrzegł to, co tak starannie ukrywam? Nie, skądże, nikt tego nie potrafi, nie wystarczy być byстрыm obserwatorem. Każda kobieta umie ukryć prawdziwe uczucia. Z uśmiechem panuje nad swoim starzejącym się i coraz bardziej zawodnym ciałem, pokazuje się mężczyźnie od tej strony, od której chce być widziana. Płacze w samotności, bo boi się litości i wstrętu w oczach partnera.

- A co słyszałaś o jego śmierci? - pytam, gdy z lekkim opóźnieniem w pełni dociera do mnie sens jego wypowiedzi. W rzeczach, które zabrałam Lorelei, nie było wzmianki o Kovaksie, a jego zdjęcie ojciec zostawił w domu Harveya.

- Kiedyś odwiedził mnie stary przyjaciel twojej matki. Próbował ją odszukać, bo przeczytał w gazecie o... śmierci twojego ojca i nie był pewny, czy ona o tym wie. Powiedział, że twoi rodzice się rozstali, a tobą i siostrą zajmuje się ciotka. To smutne, kiedy kobieta porzuca malutkie dzieci.

Nic mi nie wiadomo, by jakakolwiek gazeta pisała o śmierci

ojca. Lorelei dokładnie szukała wszelkich dostępnych informacji i nic nie znalazła. A przecież skoro ojciec był dobrym i porządnym człowiekiem, zasługiwał na choćby małą wzmiankę. Takiego go zapamiętałam. Co mogło go popchnąć do samobójstwa? Może jednak coś się zdarzyło w Libanie, ale chyba to nie on wpakował się tam w kłopoty.

To o czym właściwie mówił facet z parku? Przyjechałam do Detroit pewna, że usłyszę jakąś tragiczną historię. Jednak im więcej ludzi poznaję, im więcej się dowiaduję, tym bardziej zaczynam wątpić w samobójstwo ojca.

A jeżeli to było morderstwo?

Rozdział dwudziesty siódmy

Bonnie nigdy nie zapomni tego tatuażu. Została odurzona. Pobrano jej krew, by sprawdzić, czy może być dawcą dla swego śmiertelnie chorego przyrodniego brata. Miała wówczas bardzo zmałowany umysł, jednak niektóre wspomnienia wciąż do niej powracają, czasami jako strzępki koszmarnych wizji. Właściwie nawet nie powinna zwrócić uwagi na tatuaż. Cały czas znarkotyzowana, jednak z krótkimi okresami świadomości. Kiedy przytomniała, zawsze widziała przy sobie dwóch mężczyzn. Jeden twierdził, że jest jej ojcem, drugi był łysy, ale nie z powodu wieku. Z jakiegoś powodu ogolił głowę. Był wściekły na jej ojca z powodu tatuażu, krzyczał, że na to trzeba zasłużyć. Nie rozumiała języka, w którym rozmawiali, ale wiedziała, o co chodzi. Łysy mężczyzna podciągnął rękaw koszuli jej ojca, wskazał tatuaż i zaczął krzyczeć.

Bała się tego łysiego. Zawsze gdy przestawała ją oblepiać ogłupiająca mgła, widziała jego wlepione w siebie zimne oczy. Jej ojciec często wpadał w gniew lub wybuchał śmiechem, nie umiał trzymać emocji na wodzy. Ten łysy wydawał się wyprany z wszelkich uczuć, okazał je tylko w awanturze o tatuaż. Ale gdy zauważył, że Bonnie odzyskała przytomność, natychmiast wyszedł z pokoju, a za nim jej ojciec. Została sama. Przerazona, słaba i bezsilna. Obiecała sobie wówczas, że już nigdy nie będzie bierną ofiarą, ustali, kim są ludzie, którzy potraktowali ją, jakby była śmieciem.

Wiele o tym myślała, zastanawiała się, czy rzeczywiście jest nikim. Doszła do wniosku, że właśnie takie wątpliwości musiały dręczyć Norę, jej biologiczną matkę. Z biegiem czasu, a ma go przecież jeszcze dużo, zaczęła się coraz bardziej czuć jak część większej całości. Skoro nic do niej nie należy, to tak naprawdę

należy do niej absolutnie wszystko. Może to trochę pokręcone czy wręcz bezsensowne postrzeganie siebie samej, dlatego nigdy o tym nikomu nie opowiedziała. Ani przybranym rodzicom, ani biologicznej matce, ani chłopakowi. W Toronto jeszcze nie miała wielu przyjaciół, coraz rzadziej kontaktowała się z najlepszą przyjaciółką z Vancouver. Może to i lepiej, bo tak naprawdę nie miała ochoty z nikim o tym gadać. Nawet dla niej brzmiało to jak bredzenie wariatki.

Ona to po prostu ona.

Nigdzie i do nikogo nie należy, tak jak Nora. Na myśl o matce czuje ukłucie żalu. Posłała jej zdjęcie z kliniki ginekologicznej, bo chciała dzielić z kimś ten moment. Gdy przed rokiem odwiedziła Norę w szpitalu, chciała jej tak wiele opowiedzieć. Na przykład o tym, jak długo jej szukała, jak strasznych rzeczy potem doświadczyła, jak bardzo się bała. Ale Nora była nieprzytomna i nawet jej nie poznała.

Każdy powrót do przeszłości to zaproszenie dla nocnych koszmarów, właściwie nawet nie pamięta, kiedy spokojnie przespała całą noc. Udaje jej się przetrwać te mroczne godziny, tylko gdy rysuje. Zresztą terapeuta bardzo zachwalał taki sposób radzenia sobie ze stresem. Maluje zawsze skryte w półmroku twarze na tle różnych krajobrazów. Rysunki nie są jednoznaczne, ale kiedy już dostrzeżesz w nich sens, na zawsze utkwia ci w pamięci. To dość oczywista sugestia, że jeśli chcesz poznać prawdziwe oblicze świata, zawsze musisz zajrzeć pod powierzchnię. Równie często szkicuje tatuaż, który zauważyła na ramieniu ojca. Symbol pokryty kroplami krwi. Ciekawe, dlaczego na jej szkicach widać przede wszystkim rozbryzgi krwi.

Rozdział dwudziesty ósmy

Od półtora dnia obserwowali dom w Burnaby, do którego doprowadził ich GPS, i Brazuka zaczynał się nieludzko nudzić. To miłe, że kiedy wreszcie zamknie sprawę, zgarnie od Lama kupę forsy. To przykre, że będzie musiał sporo odpalić Warsame'owi. Jak należało się spodziewać, Warsame nie pozwalał mu o tym zapomnieć.

- Słuchaj - zaczął przed chwilą kolejną rozmowę telefoniczną na ten temat. - Jak to właściwie jest? Wystawiam fakturę tobie czy Krushnikowi? On wie o tym zleceniu, tak?

- Tak, wspominałem mu o tym - odburknął Brazuka.

- Czyli wystawiam fakturę tobie?

- Tak - potwierdza Brazuka i przypomina sobie, dlaczego tak nie znosił pracy zespołowej. - Zauważyłeś coś ciekawego?

- Nie.

Brazuka skręcił i zaparkował w niewielkiej odległości od sedana Warsame'a. Z dokumentów wynikało, że dom należy do emerytowanej nauczycielki Grety Parnell, jednak obecnie najpewniej tu nie mieszkała.

Mieszkał za to jej syn, Curtis Parnell, ten sam brodaty facet, którego Brazuka śledził aż do portu, i który aktywnie działał w związkach zawodowych.

- Widzę dwóch idiotów - oznajmia nagle Warsame. - Weszli do domu i po chwili wyszli.

- To już coś - ożywia się Brazuka. - Dlaczego nazwałeś ich idiotami?

- Młodzi, źle ostrzyżeni, w skórzanych kurtkach. Typowe dupki.

- Idiota to nie to samo co dupek.

- No nie wiem. Trzeba być idiotą, żeby zostać dupkiem. Aha,

i zauważyłem migacz.

Wreszcie jakiś konkret, myśli Brazuka. Migacza często używali faceci walczący o pełnoprawne członkostwo w klubach motocyklowych.

- Zrobiłeś zdjęcie? - Brazuka wie, że Warsame uwielbia nowoczesny sprzęt i może o nim długo opowiadać. Kogo do diabła interesują bzdety o soczewkach i poprawnej kompozycji fotografii? Brazuka musiał użyć pogroźek, by Warsame łaskawie mu pożyczył wysłużony aparat fotograficzny.

- Nie, wysiadł mi flesz - odpowiada Warsame i znów zaczyna głądzić o parametrach swojego aparatu, a tymczasem dwóch obserwowanych facetów wsiada do nowiutkiego forda mustanga i odjeżdża. - Jadę za nimi. Parnell jest w pracy?

- Jasne, jak na przykładnego obywatela przystało. - Nie tylko pojechał do portu, ale zjawił się tam skoro świt, co nie poprawiło Brazuce humoru.

Po jakimś czasie był już w stanie odróżnić po wyglądzie pracowników portu. To styl daleki od pozornego niechlujstwa hipsterów, którzy kawałek po kawałku anektowali Gastown. Prawdziwi robotnicy nosili powyciągane dżinsy, koszule warte kilka dolarów, a brody miały nie tyle dodawać uroku, co chronić twarz przed zimnem.

Parnell nie wyróżniał się wyglądem, jednak Brazuka był pewien, że znalazł powiązanie między Triple 9 a portem. To pierwszy konkretny trop prowadzący do osoby zaopatrującej dilera Clementine. Pozostawało tylko dowiedzieć się, skąd pochodził towar.

- Parnell nie jest przykładnym obywatelem, skoro udostępnia dom takim dupkom - stwierdza Warsame i ziewa donośnie.

Pewnie, myśli Brazuka. Ten facet, jak ustalił Lee, ma też powiązanie z Aniołami Piekła.

- Dwa lata temu, kiedy policyjny informator pomógł wsadzić kilku członków konkurencyjnego motocyklowego gangu,

Aniołkom niemal wyrosły skrzydła. Odnaleźli Boga, płacą podatki i szanują prawo. – Lee jak zwykle nie umie sobie odmówić kpiącego komentarza.

– Tak nagle? – dziwi się Brazuka. – Coś tu śmierdzi.

– Minąłeś się z powołaniem, skoro stać cię na taka głęboką analizę – drwi Lee. – Rzuć robotę i złóż papiery na wydział psychologii. A tak w ogóle, to spróbuj czasami zadzwonić do kogoś innego, zwłaszcza o tak niehumanitarnej porze. Jeszcze nie ma siódmej, ty cholerny dupku. Kiepsko ci wychodzi zabawa w policjanta. – Lee gwałtownie przerywa połączenie.

Jasne, Lee był zły, ale jego słowa i tak zabolowały Brazukę. Dobra, może i jest kiepskim detektywem, ale przynajmniej zapracuje na taką kasę, by wreszcie robić tylko to, na co ma ochotę. Nie musi bawić się do końca życia w policjanta.

Warsame rusza za dwoma idiotami, a Brazuka z radością wysiada z samochodu, by rozprostować zdrętwiałe nogi. Od kiedy Lam obiecał mu fortunę, Brazuka zastanawia się nad kupnem teleskopu, przez który mógłby obserwować rozgwieżdżone niebo. A skoro już miałyby takie cacko, dobrze byłoby kupić ładne mieszkanie z dużym balkonem. A może lepiej dom podobny do obserwowanego, w jakiejś ocienionej drzewami spokojnej uliczce.

Pogrążony w przyjemnych marzeniach, zbliża się do domu Parnella. Naciąga głębiej czapkę, pamiętając o umiejscowionej od frontu kamerze. Na podjeździe przed garażem zauważa jakiś przedmiot, więc ostrożnie podchodzi bliżej, wciąż z nisko opuszczoną głową. Znajduje telefon komórkowy i właśnie ma go schować do kieszeni, gdy słyszy hamujący samochód.

Powoli odwraca głowę.

Widzi podchodzącego Curtisa Parnella, który nie jest w zbyt przyjaznym usposobieniu.

I Brazuka już wie, że szczęście znów go opuściło, a na jego miejsce wkradł się dobrze znajomy pech.

Otwiera usta, by wszystko wyjaśnić, może krzyknąć, wzywać pomocy, ale Parnell płynnym ruchem uderza go strzelbą w podstawę czaszki i Brazuka pada na ziemię.

Cała scena rozgrywa się w kompletnej ciszy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Nie mam dokąd iść, dlatego znów ląduję pod jego drzwiami. To dla mnie normalka, w Vancouver byłam mistrzynią mieszkania za friko.

- Nie sądziłem, że jeszcze się spotkamy - wita mnie w otwartych drzwiach Nate.

- Cóż... - Robi mi się głupio, bo nawet nie wysłałam mu SMS-a na pożegnanie. - Mogę się u ciebie zatrzymać?

- To zależy. Dołożysz się do opłat?

Zerkam mu przez ramię i widzę przy kuchennym stole sporą grupę młodych ludzi przygotowujących się do Nocy Anioła. Oprócz znanych mi już z widzenia studentów dostrzegam trochę nowych twarzy. Wszyscy ubrani są w bojówki i pstrokate poncza.

Jasne, hipisi.

Przywykłam do ich widoku, latem ściągają na zachodnie wybrzeże jak do Mekki. Dźwigają wypchane plecaki, obsesyjnie szukając nieskazitelnie czystej wody i sensu życia. Na ogół są zbyt ujarani, by cokolwiek znaleźć czy choćby podjąć taką próbę. Na razie proza codzienności jeszcze im nie ciąży, wciąż używają górnolotnych słów i bredzą o odwiecznej mądrości natury, która jakoby usiłuje coś nam powiedzieć. Próbuje wtrącić trzy grosze do dyskusji, sprowadzić ich na ziemię, ale tylko wzruszają ramionami.

Marzę, by jak najszybciej znaleźć się w chłodnej i cichej piwnicy Nate'a.

- Potrzebujecie pomocy? Na przykład przy rozwieszaniu plakatów? - pytam.

- Potrzebuję pomocy w zupełnie innej sprawie. Chcę, żebyś ze mną zaśpiewała. - Przestaje się uśmiechać, widząc moje

niezbyt przyjazne spojrzenia. – Podoba mi się twój głos. Oczywiście zrozumieć, jeśli odmówisz.

Zatrzymuję się gwałtownie na progu piwnicy. Tak, pragnę śpiewać, ale tak długo walczę z tą pokusą, że nie umiem szybko podjąć decyzji.

– Co miałabym zaśpiewać?

Wręcza mi tekst utworu, który wykonywał na konkursie w barze.

Niektórzy ludzie mają taki dar przekonywania, że zrobisz dla nich prawie wszystko, nawet jeśli początkowo ich prośba cię wkurzy. Pewnie Nate posiadał ten dar, bo posłusznie wchodzę z nim do łazienki i siadam na wannie. Gdy patrzę na mikrofon, wciąż jestem na siebie trochę zła, ale skłamałabym, twierdząc, że nie czuję też przyjemnego podekscytowania. Z drugiej strony niepokoi mnie stan mojego gardła i bliskość Nate'a.

Podaje mi słuchawki i kopnięciem zamyka drzwi łazienki. Jesteśmy tylko my i muzyka. Rozlegają się pierwsze gitarowe akordy, Nate zaczyna śpiewać. Dołączam do niego w refrenie, a mój niski głos okazuje się świetnym tłem. Jego falset wydaje się szybować aż pod sufit, przenikać przez ściany. Śpiewam drugą zwrotką, potem znów on. Pracujemy tak przez pół godziny, co jakiś czas sprawdzając nagrany materiał na laptopie.

– I tak najbardziej podoba mi się pierwsza wersja. – Drapie się po plecach.

– Pierwszy raz może być cudowny.

Na chwilę zapada kłopotliwe milczenie. Na szczęście oboje mamy ciemną karnację, na której nie widać rumieńców zażenowania.

– A kiedy będziesz już sławny, wyjedziesz z Detroit? – pytam, by przerwać niezręczną sytuację.

– Zawsze będę tu wracać, tu są moje korzenie, mój dom. Moja ciotka zrobiła karierę, ale też często koncertuje

w Detroit. A ty chciałaś kiedyś wyjechać z Vancouver?

- Nie - odpowiadam po chwili wahania.

- No widzisz, każdy ma swoje miejsce na ziemi. Wiesz, myślałem trochę o twojej historii. Rodzina mojej matki jest stąd, z Ameryki, ojciec wychował się na Karaibach. Zmarł na zawał, kiedy miałem piętnaście lat. Jego rodzina pochodziła z Indii, ale nigdy nie udało mu się ustalić, kim byli i gdzie mieszkali. Myślę, że dziadkowie ukrywali przed nim prawdę.

Tak, dobrze znam taki rodzaj kreatywnego podejścia do historii rodzinnych. Długo wmawiałam szkolnym koleżankom, że mój ojciec stacjonuje poza krajem i dlatego nigdy po mnie nie przyjeżdża. Kiedy ktoś pytał o matkę, odpowiadałam, że jest pielęgniarką i często bierze nocne dyżury. Wszyscy łykali te bajeczki, niestety pewnego dnia mój przybrany brat z kolejnej rodziny zastępczej urządził niezłą scenkę. Podczas przerwy głośno poinformował wszystkich, że jestem sierotą, potrząsając mną brutalnie i trzymając za krtań. Prawie mnie udusił, ale odwdzieczyłam mu się mocnym ciosem w nos. Ten incydent nauczył mnie trzymać buzię na kłódkę.

Potem koncentrujemy się na odsłuchiwaniu nagrania i konwersacja powoli zamiera. Od dawna nie słyszałam na nagraniach mojego głosu. Tak, potrafię śpiewać, tego nikt mi nigdy nie zabierze. Nate jest świetnym wokalistą, chyba lepszym ode mnie, a razem brzmimy fantastycznie. Chętnie zapytałabym, co robi z nagraniem, ale nie chcę psuć chwili. Potem włącza utwór Marvin'a Gaye'a.

Oboje wiemy, co to oznacza.

Wagina to mocarny organ, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę. Można ją głaskać, pieścić, napełnić. Może coś przytrzymać lub wyrzucić wyłącznie dzięki niezwykłej sile mięśni. Może pozostać uśpiona, czekając na dobrego mężczyznę. Można ją kosmetycznie odmłodzić lub

zrekonstruować po wypadku. Mogę nadal oszczędzać waginę zrekonstruowaną dzięki wspaniałomyślności kanadyjskich podatników lub zafundować jej szaloną próbną jazdę. Żeby sprawdzić, jak sobie poradzi.

- Gdzie jesteś? Bo na pewno nie ze mną - szepcze Nate i wyslizguje się ze mnie.

No właśnie, byłoby inaczej, gdybym uprawiała prosty seks z kolejnym facetem poznanym w internecie. Rezygnujemy z dalszych prób osiągnięcia satysfakcji i wracamy do przesłuchiwania nagranych materiału. Rozdyskutowane towarzystwo z kuchni już się rozeszło. Nie mam pojęcia, ile czasu spędziłam w piwnicy Nate'a, nie pamiętam, kiedy przeniosłam się na kanapę i zasnęłam, ale pamiętam, że przykrył mnie kocem. I to, że poczułam się naprawdę dobrze.

O wiele lepiej niż oczekiwałam.

Rozdział trzydziesty

Kiedy Brazuka odzyskuje przytomność, bolesne dudnienie w głowie przypomina mu wydarzenie sprzed roku. Nora zdzieliła go wtedy żelaznym prętem, ale nie tak mocno jak Curtis Parnell. Nora nie chciała go zabić, Curtisowi było obojętne, czy Brazuka przeżyje.

Nie powinien wciąż obwiniać Nory o to, co mu zrobiła, przecież do pewnego stopnia zasłużył na takie traktowanie, bo od początku nie był z nią szczery. Tak się jednak składa, że teraz Brazuka nie jest zbyt skłonny do wybaczenia. Leży w piwnicy, ma związane nogi i ręce. Ostre światło tak bardzo razi go w oczy, że szybko ponownie opuszcza powieki.

- Ocknąłeś się, śmieciu? - mówi ktoś stojący nad nim i wymierza mu siarczasty policzek. - Hej, mówię do ciebie. - Kolejny i jeszcze mocniejszy policzek. - Cholera - denerwuje się Parnell, kiedy Brazuka nie reaguje.

Odchodzi od Brazuki i sięga po opartą o ścianę strzelbę. Po chwili zastanowienia odkłada ją i bierze z maleńkiej kuchennej wnęki tasak do mięsa. Udaje, że wyciera zakrwawione ostrze o koszulkę, i mruczy:

- Cholerne koty, znów trzeba będzie urządzić polowanie.

Brazuce nie chce się otwierać oczu, ale wrywa mu się pełne zdegustowania westchnienie. Pociesza się myślą, że nie ma twarzy zbira i na ogół ludzie mu ufają. Może uda mu się wcisnąć temu osiłkowi jakiś kit. A może lepiej nie próbować?

- Kim jesteś i dlaczego obserwowałeś mój dom? - pyta Parnell.

- Trzy Feniksy - charczy Brazuka w nagłym przeblysku intuicji.

- Co takiego? - Parnell jest nie tylko zdziwiony, ale też

przestraszony.

- Kazali mi cię sprawdzić.

- A coś ty za jeden?

- Sam musisz ich zapytać. - Brazuka zamyka oczy i odchyła głowę. Na równie brawurowe zagranie zdobył się chyba ze dwadzieścia lat temu.

- Chodzi o tę dziewczynę? - pyta coraz bardziej zdenerwowany Parnell, który zaczyna się obficie pocić.

- Jasne, a co myślałeś?

- Kurwa, kurwa, kurwa! - wrzeszczy Parnell. - Ja pierdołę. Mówiłem, że znam kogoś, kto to załatwi. Ta suka już dawno byłaby martwa.

- Ale nie jest, prawda? - cedzi przez zęby Brazuka, chociaż tak naprawdę nie ma pojęcia, o czym mówi Parnell.

- Słuchaj, wyświadczyłem im przysługę, nie? - Parnell przestaje krążyć po piwnicy i przystaje tuż przy twarzy Brazuki. - Miałem ją obserwować, no to poprosiłem kilku gości o pomoc. W życiu się tak nie wynudziłem. Chodziła na spacer z paskudnym psem, wozila chorego faceta do szpitala i...

- Z jakim psem?

- Przecież to ja ustaliłem, dokąd wyjechała, chociaż tego nie było w umowie. Na własną rękę zadzwoniłem do kumpli z Detroit, żeby mieli ją na oku. W ramach przysługi zaproponowali, że usuną ją raz na zawsze, ale to wymaga czasu, przecież wiesz.

- Pięknie, wykazałeś się inicjatywą, ale ktoś odpowie za zwłokę. O jakim psie mówiłeś?

- A czemu pytasz? Przecież wszyscy dostali zdjęcie kundla. - Parnell mruży nabiegłe krwią oczy i przygląda się uważnie Brazuce. - Jak się nazywasz? Zaraz, nie powiedziałeś. - Odkłada tasak i wyjmując z kieszeni tę samą komórkę, którą Brazuka znalazł na podjeździe. Chwyta Brazukę za włosy, unosi brutalnie jego głowę i robi mu zdjęcie.

Potem puszcza jego głowę, która ciężko opada na betonową podłogę. Gasi światło i wybiega z piwnicy, zabierając strzelbę i tasak.

Przez kilka minut Brazuka oddycha ciężko, wreszcie powoli udaje mu się usiąść. Właśnie wtedy drzwi ponownie się otwierają i błysk światła zmusza Brazukę do zamknięcia oczu.

- Jezu - mówi Steve Warsame, zbiegając po schodach. - Jesteś sam?

- Tak. - Brazuka opiera się ciężko o ścianę. - Gdzie jest Parnell?

- Odjechał. - Warsame przecina więzy Brazuki. - Tych dwóch idiotów, których śledziłem, ruszyło w stronę przejścia granicznego, więc zawróciłem. Miałeś farta, co? Lepiej się stąd zabierajmy.

- Parnell tak prędko nie wróci. - Brazuka wie, że gdyby wysłał jego zdjęcie komórką, od razu dostałby odpowiedź i nie musiałby nigdzie jechać. - W tej kuchence ma niezły arsenał. - Brazuka powoli wstaje. Postanawia jak najszybciej zadzwonić do detektywa Lee. Odwdzięczy mu się za pomoc, a poza tym policja powinna sprawdzić, czy Parnell ma na wszystko papiery.

Dużo później, już po złożeniu zeznań na posterunku, Warsame podwiózł Brazukę do jego samochodu. Przez większość drogi milczeli, bo Brazuka nie mógł przejść do porządku dziennego nad faktem, że Curtis Parnell ma w komórce jego zdjęcie.

- O czym tak dumasz? - spytał Warsame, któremu cisza zaczęła trochę ciążyć.

- Jakim cudem wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Dzwoniłem kilka razy, żeby zapytać o dane na fakturze, ale nie odbierałeś. Wiedziałem, gdzie jesteś, bo dzięki aplikacji śledzę aparat, który ci pożyczyłem. Kiedy zobaczyłem, jak Parnell odjeżdża, domyśliłem się, że masz kłopoty.

- Śledzisz aparat?

- Jasne, zwłaszcza jeśli go komuś pożyczam.

Brazuka czuje, jak coraz mocniej pulsują mu skronie, zwiastując atak potężnej migreny. Szybko wyłącza radio, bo ukochana przez Warsame'a muzyka taneczna działa mu na nerwy. Nie chce jechać do szpitala, bo i po co. Nawet bez lekarskiej diagnozy wie, że ma wstrząśnienie mózgu. Warsame chyba podziela ten pogląd, bo gdy się żegnają, nalega, by Brazuka jechał do domu.

- Nie ma mowy - odpowiada Brazuka, kiedy gramoli się z samochodu Warsame'a. Dom Parnella jest otoczony przez policję, ciekawscy z sąsiedztwa próbują przedrzeć się przez kordon, by zajrzeć do środka. Na posterunku Brazuka dowiedział się, że oprócz arsenału broni w piwnicy Parnella znaleziono też sprasowane narkotyki, heroinę i kokainę. - Dzięki za podwózkę.

Wolałby teraz zostać sam, ale Warsame podąża za nim. Widzi, jak Brazuka wyjmuje z metalowego pudełeczka umieszczonego pod tłumikiem zapasowe kluczyki do samochodu. Od kiedy pewna kobieta rzuciła na stacji benzynowej jego kluczyki w gęste krzaki, histerycznie boi się powtórki z rozrywki.

- Amatorszczyzna - stwierdza Warsame i marszczy brwi. Opiera się o drzwi przy fotelu kierowcy, a jego nieodłączny uśmiech znika jak poranna rosa. - Zachowujesz się jak głupek, nie poznaję cię. Nie chcesz, żebym cię zawiózł do szpitala albo chociaż do domu. Coś przede mną ukrywasz. Mów, o co chodzi. Już. Ja nie żartuję.

W idealnym świecie, w którym miałby zdrową nogę, a ból nie rozsadzał mu czaszki z siłą młota pneumatycznego, Brazuka po prostu by odjechał, nie udzielając żadnej odpowiedzi. Ale teraz jest obolały, głodny i tak wykończony, że nie pamięta, gdzie ma kluczyki do samochodu. Nie udaje mu się utrzymać nerwów na

wodzy, narasta w nim lęk i świadomość, że kobieta, która go kiedyś zaatakowała na stacji benzynowej, znowu ma kłopoty.

Mówi Warsame'owi o prawdopodobnych powiązaniach Parnella z gangiem Trzy Feniksy, o Fangu, szefie triady, który co prawda zniknął z Vancouver, ale prawdopodobnie nadal działa w Chinach. O chińskich laboratoriach, które produkują syntetyczne narkotyki jak fentanyl czy Dzika Dziesiątka.

Jednak to nie te informacje karmią jego lęk.

- Stevie, Nora ma paskudnego psa i opiekuje się Sebastianem, który umiera na raka. Teraz wyjechała... - Pociera skronie, ale nie może sobie przypomnieć, kiedy dokładnie mu o tym mówiła.

- Dokąd pojechała?

- Nie wiem.

- Myślisz, że Parnell mówił właśnie o niej?

Brazuka nie odpowiada. Przypomina sobie, że Parnell mówił o kumplach w Detroit. Wyciąga komórkę i wybiera numer.

Zgodnie z jego oczekiwaniami Nora nie odbiera.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Słyszę hałas dobiegający z korytarza. Szybko zamykam drzwi lodówki i już mam uciec do piwnicy, ale nagle coś wzbudza mój niepokój. To skrzypnięcie podłogi było zbyt ciche, tak nie zachowałby się żaden z kocujących tu hipisów. No i nie czuję zapachu kadzidełka, którym przesiąknięte są ich włosy i ubrania.

Chowam się za drzwiami i w tym samym momencie słyszę wbiegającego po schodach Nate'a.

Już za późno, by go ostrzec.

Sięgam na blat po duży nóż i właśnie zamierzam uciec do piwnicy, gdy w kuchni pojawia się Nate'a, trąc czerwone z niewyspania oczy.

Rozlega się stłumiony strzał. Nate pada na podłogę, ale żadnym tam płynnym ruchem, jak pokazują w filmach. To raczej wygląda tak, jakby ktoś nagle przetrącił mu kręgosłup. Naprzeciwko niego stoi ubrana na czarno postać w naciągniętym głęboko na głowę kapturze. Jest tego samego wzrostu co rabuś z motelu, jednak tym razem widzę jego twarz, w której od razu rzuca się oczy oklejony złamany nos. Unosi ponownie strzelbę. Nie mam zbyt wiele czasu do namysłu, muszę działać. Przewracam kuchenny stół, który z głośnym łoskotem ląduje na podłodze. Kula niszczy drewniany blat, ale ja już pędzę do drzwi wejściowych.

Na dworze jest jeszcze ciemno. Kucam za stertą gruzu na ulicy i wybieram 911. Szeptem podaję adres Nate'a i zgłaszam napad z użyciem broni.

Tkwię tam skulona, dopóki nie słyszę kroków mijającego mnie w pośpiechu człowieka.

Po powrocie do domu zastaję siedzącego na kuchennej

podłódze Kevina, który podtrzymuje głowę brata. Na pierwszy rzut oka nie jestem w stanie stwierdzić, czy Nate żyje. Po twarzy Kevina płyną łzy, Ash wrzeszczy do słuchawki, że karetka ma przyjechać natychmiast, bo inaczej oskarży władze miasta o śmierć utalentowanego wokalisty.

Wszędzie jest krew.

Nagle znów czuję się jak dziecko, które musi patrzeć na śmierć kogoś bliskiego. Nie wiem, czy zdołam zapanować nad ogarniającą mnie paniką, z którą od tak wielu lat próbuję się uporać. Potrzebuję mojej grupy wsparcia, chociaż akurat w tym przypadku nie zdołaliby mi pomóc. Uspokoilibym się przy Sapce, ale ona wspiera kogoś innego. Nikt w kuchni nie zwraca na mnie uwagi, są zbyt pochłonięci rozgrywającą się tragedią. Zupełnie nie wiem, co robić, jestem zagubiona i bezradna.

Wychodzę z domu równie szybko, jak weszłam. Mijam w progu sanitariuszy i zaczynam się zastanawiać, jak szybko ludzie, którzy widzą tyle brutalnej przemocy, tracą zdrowe zmysły. Obojętnieją czy wszyscy są szaleni?

Wciąż zaciskam palce na kuchennym nożu, chociaż już nie pamiętam, skąd go mam. Najpewniej jestem w szoku, bo mogłabym przysiąc, że znów ktoś próbuje mnie zabić.

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział trzydziesty drugi

- Nora mieszka teraz z Sebastianem Crowem - wyjaśnia Brazuka Warsame'owi. - Zostawiła u niego psa, którego bardzo kocha. Na pewno tam wróci.

Kiedy zajeżdżają przed dom Sebastiana, słyszą głośne wycie Sapki. Zdenerwowany Brazuka dopada sanitariuszy, którzy właśnie wsiadają do karetki.

- Hej, kogo zabieracie? - Próbuje zajrzeć do środka, ale sanitariusz zatrzaskuje mu drzwi samochodu przed nosem.

- Czy to pan po nas dzwonił? - pyta sanitariusz.

- Nie, ale jestem przyjacielem pana domu. Czy w karetce jest kobieta? Nora Watts?

- Nie, to mężczyzna. Z dokumentacji medycznej znalezionej w domu wiemy, że był leczony na raka.

- Był?

- Cóż, jest w bardzo ciężkim stanie. Przepraszam, ale musimy jechać. Jeżeli pan jest przyjacielem pacjenta, to proszę coś zrobić z psem. Sąsiedzi skarżą się na hałas.

- Coś z Norą? - pyta Brazukę Warsame, wskazując odjeżdżającą na sygnale karetkę

- Nie, to Crow.

- Jezu - szepcze wstrząśnięty Warsame. - Co z nim?

- Umiera na raka. Ktoś powinien powiedzieć Leo.

- O nie, nic z tego. - Warsame energicznie potrząsa głową.

Obaj z Brazuką wiedzą, jak fatalnie Leo zniósł rozstanie z kochankiem. Żaden z nich chce być posłańcem przynoszącym złe wieści.

- Muszę skontaktować się z Norą. Zawieź Leo do szpitala, ja zajmę się psem.

- Czy już wiesz, dlaczego nigdy do ciebie nie oddzwaniał?

- Nie oddzwoniasz do nikogo i na ogół nie odbierasz żadnych telefonów.

- Żeby uniknąć właśnie takiego gówna. - Warsame biegnie do samochodu.

Po jego odjeździe Brazuka wchodzi do domu przez niezamknięte tylne drzwi. Na drzwiach lodówki odnajduje listę telefonów zostawionych przez Norę. Na jej miejscu dopisałyby adresy i mejle tych ludzi, ale ona nawet nie zostawiła namiarów na siebie. Typowe. Brazuka wzdycha i chowa kartkę do kieszeni. Sapka wbiega do kuchni, sadowi się przy jego stopach i patrzy wyczekująco.

- No co? - pyta, a suczka odpowiada przeciągłym wyciem. - Dobra, pojedziemy do szpitala, ale najpierw poszukamy Nory.

Na dźwięk imienia Nory suczka podrywa się i biegnie do drzwi.

Rozdział trzydziesty trzeci

Zanim zaliczyłam sesję szaleńczego seksu z Brazuką, prawie przez dziesięć lat żyłam w celibacie. Unikałam intymnych kontaktów jak zarazy. Często zastanawiałam się nad powodami, bo oprócz oczywistej traumy z przeszłości musiało być coś jeszcze. I wreszcie zrozumiałam. Bałam się, że nieuniknioną konsekwencją każdego seksu będzie rozstanie i ktoś włączy w mojej głowie smutną piosenkę o końcu miłości.

Jednak jeszcze nigdy pożegnalna piosenka nie brzmiała tak bardzo inaczej, niż oczekiwałam.

Siedząc przed szpitalnym pokojem Nate'a, nie słyszałam w głowie szarpiących duszę tonów bluesa, raczej gówniane country rodem z Zachodu. Oczami wyobraźni widzę nawet odpowiednie sceny. Kowboj spędza z ukochaną noc, a rano wyrusza na spęd bydła czy gdzie tam cholerni kowboje wyruszają. Niestety tego samego ranka w miasteczku pojawia się jego odwieczny wróg i jednym strzałem zabija ukochaną kowboja. Tyle że trzeba trochę poprawić scenariusz, uwzględnić realia. To ja odgrywam rolę kowboja, no i nie ginie złotowłosa piękność, a Nathaniel Marlowe, artysta o równie cudownym głosie jak Sam Cooke. Gitarzystę, który dorównywał talentem i umiejętnościami Buddy'emu Gayowi. O artystę, który poruszał i zachwycał słuchaczy, który miał przed sobą świetlaną przyszłość. Zaprosił mnie do swego królestwa w piwnicy, a ja czułam się tam jak w świątyni.

Chciałabym wejść do szpitalnej sali, ale wolę nie rzucać się w oczy.

Nie wiem, co się dzieje, ale jestem pewna, że właśnie w mieście pojawił się mój największy wróg. Tylko kto to do cholery jest? Pragnienie, by wreszcie opuścić pieprzone

Detroit, staje się równie naglące, jak chęć zrzucenia uwierających butów. Bądźmy szczerzy, oczywiście nie wyjadę, zanim nie dowiem się, o co chodzi, no i pałam żądzą zemsty.

Po korytarzu kręci się dwoje hipisów, których wcześniej poznałam. Rozmawiają szeptem, ale słyszę, że zastanawiają się, kto będzie teraz grał na ich imprezach. Rozmowa natychmiast cichnie, gdy z sali wychodzi Kevin.

- Byłaś w domu, kiedy to się stało? - pyta mnie.

Przeciskam się obok niego do sali. Nate wciąż jest pod wpływem silnych środków. Leży nieruchomo i ma zamknięte oczy. Kula ominęła serce, ale uszkodziła płuco. W drodze do szpitala prawie się wykrwawił, nadal jest w krytycznym stanie.

- Byłam w kuchni, kiedy usłyszałam hałas. Nie zdążyłam ostrzec Nate'a, który pojawił się tam chwilę później. Zobaczyłam mężczyznę, który do niego strzelił. Ten facet potem wycelował we mnie, dlatego uciekłam i zadzwoniłam na 911. Wiesz, co było potem. - W drodze do szpitala opowiedziałam Ash o włamaniu w motelu i opisałam napastnika. Nie zdradziłam jednak, że najpewniej to ja miałam zostać raz na zawsze uciszona.

- Jezu... - Kevin ukrywa twarz w dłoniach. - Zostaliśmy tu, chociaż wszyscy uciekają z tego cholernego miasta. Trzymamy się z dala od kłopotów i złego towarzystwa. Nate nigdy nikogo nie skrzywdził.

- Służył w Afganistanie.

Matko, sama nie wierzę, że to powiedziałam. Coś ze mną nie tak. Kevin, sądząc po spojrzeniu, jakim mnie obrzuca, jest tego samego zdania.

- Myślisz, że jakiś Afgańczyk fatygował się aż do Stanów, bo pałał żądzą zemsty? Daj spokój, skupmy się na tu i teraz. To czarni padają najczęściej ofiarą brutalnych napadów.

- Niby tak - mówię, bo amerykańskie statystyki dowodzą, jak bardzo prawdziwe jest to stwierdzenie. Drzwi od windy

znajdującej się na końcu korytarza rozsuwają się i wysiada dwoje policjantów. Nie spieszą się, uważnie sprawdzają numery szpitalnych sal. Najwyższy czas, żebym się stąd zabierała, ale pytam jeszcze: - Czy Nate z tego wyjdzie?

Kevin pociera szczękę i wzrusza ramionami.

- Nie wiem - odpowiada. - Jestem doktorem, ale historii. Nie mówił ci?

- Nie.

Policjantka sprawdza coś w telefonie, a potem przez chwilę rozmawia z kolegą. Są w cywilnych ciuchach, ale już na pierwszy rzut oka widać, że to detektywi, bo patrzą na wszystkich wokół, jakby chcieli powiedzieć: Wszyscy mają coś na sumieniu. To tylko kwestia czasu, kiedy was dopadniemy.

Na razie nie zwracają na nas uwagi.

- No jasne. Nie powiedział też pewnie, że przysłał do domu prawie cały żółd, żeby opłacić moje studia. Wszystko osiągnąłem dzięki niemu.

Mam ochotę zapytać, co osiągnie bez niego, ale milczę. Nawet ja czasami zachowuję się przyzwoicie. Kevin jest pogrążony w rozpamiętywaniu przeszłości i przerażony przyszłością, po co jeszcze wciągać go w trudne dyskusje.

Powoli odchodzę, spokojnie, krok za krokiem. Gdy skręcam za róg, słyszę, jak detektywi przedstawiają się Kevinowi. Przylegam do ściany i nadstawiam ucha. Detektywi pytają Kevina o przebieg wydarzeń. Powinnam wyjść i przyznać, że to ja byłem celem napadu, ale nie robię tego. Skoro ja nie rozumiem, co się dzieje, oni tym bardziej nie rozumieją.

Jestem zbyt przybita, by to wszystko ogarnąć. Nate walczy o życie na szpitalnym łóżku, nie wiem, co się dzieje z Sebastianem. Bardzo tęsknię za Sapką, no i nie mogę przestać myśleć o ostatnim zdjęciu, które mi przysłała Bonnie. Poza tym wokół kręci się mnóstwo ludzi, a to wcale nie pomaga w skupieniu. Właśnie mija mnie pogrążona

w rozmowie para w średnim wieku.

- No dobrze, mamy to już z głowy - mówi mężczyzna z wyraźną ulgą. - Może poprosimy taksówkarza, żeby nam pokazał najbardziej zniszczone miejsca?

Obrzucam ich ponurym spojrzeniem, nie kryjąc niechęci. Upadek miasta jako jedna z atrakcji turystycznych to naprawdę szczyt prostactwa i głupoty. Kto normalny napawałby się takim widokiem? Zresztą Detroit jeszcze żyje, tak samo jak Nate.

Dociera do mnie, jak detektywi mówią, że na 911 dzwoniło z telefonu zarejestrowanego na Norę Watts, kanadyjską obywatelkę, która kilka dni temu zgłosiła napad rabunkowy w swoim pokoju hotelowym.

Po chwili słyszę kolejne kroki i kobietę, która zdecydowanym głosem coś wyjaśnia Kevinowi i prosi o rozmowę w cztery oczy. Oboje wchodzi do sali, w której leży Nate.

- Ciekawe, co łajza z południowozachodniego Detroit robiła w centrum - mówi policjant, a ja dopiero teraz rozpoznaję głos detektywa Sancheza, który odbierał moje zeznania w motelu.

- Na pewno jest z południowozachodniego Detroit? - pyta jego koleżanka.

- Tak, Watts zauważyła na jego karku tatuaż. To charakterystyczny znak tamtejszego gangu.

- A co właściwie przedstawiał?

- Nie widziała go dokładnie.

- Myślisz, że gdzieś zobaczył ten wzór?

- Możliwe, nawet taki tępak potrafi korzystać z wyszukiwarki internetowej.

- Watts to Kanadyjka. Co ma wspólnego z tą sprawą?

- Nie wiem. - Sanchez ciężko wzdycha. - W Detroit zawsze chodzi o narkotyki albo o zabójstwa na zlecenie. Może nadepnęła komuś na odcisk.

Słyszę, że Kevin znów wyszedł na korytarz i rozmawia

z lekarzem, ale nie rozumiem słów. Potem znów odzywa się policjantka:

- Gdzie jest Nora Watts? Musimy z nią porozmawiać, jest naszym jedynym świadkiem.

- Przed chwilą tu była. Chyba poszła na parking - odpowiada Kevin.

Wślizguję się do najbliższej sali i czekam, aż kroki na korytarzu umilkną. To stąd wyszli amatorzy rozkładu i ponurych widoków, wybierający się na turystyczny objazd po cierpiącym w agonii mieście. Na łóżku leży staruszka. Patrzy na mnie podejrzliwie i gwałtownie podciąga kołdrę po samą brodę. Otwiera usta, ale nie daje jej dojść do słowa i oznajmiam:

- Pani krewni to durne dupki.

Uspokaja się trochę i wzdycha.

- Jakbym nie wiedziała - mówi. - Pięć lat się nie odzywali, a nagle postanowili odwiedzić mnie w szpitalu. Liczą, że coś im zapiszę w testamencie. Pani tu pracuje?

- Nie, tylko ukrywam się przed kimś, z kim nie mam ochoty rozmawiać.

- W takim razie, dziecko, zostań tu, jak długo chcesz. - Rozluźnia się i zamyka oczy.

Po trzydziestu minutach opuszczam szpital wyjściem ewakuacyjnym. Naciągam kaptur i starannie chowam włosy. Nie idę ani zbyt szybko, ani zbyt powoli, by nie zwracać na siebie uwagi. Mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. To samo odczucie towarzyszyło mi w Vancouver, jednak tym razem nie zależy mi na konfrontacji. Popełniłam karygodny błąd, przychodząc do szpitala. To pierwsze miejsce, od którego rozpocząłabym poszukiwania. Mam tylko komórkę i portfel, reszta rzeczy, łącznie z paszportem, została w piwnicy Nate'a. To teraz miejsce przestępstwa, nie mogę tam pójść. W ogóle nie powinnam się tam wpraszać, ale skąd mogłam wiedzieć, że

napastnikowi z motelu wcale nie chodziło o kradzież moich rzeczy? Skąd mogłam wiedzieć, że będę śledzona również w Detroit?

Kowboj to ma trudne życie. Musi mieć oczy z tyłu głowy.

Rozdział trzydziesty czwarty

Na widok Sapki chłopak najpierw przyspiesza kroku, potem zaczyna biec. Plecak podskakuje mu na plecach, wreszcie zsuwa się z ramion i obija o uda. Sapka szarpie tak mocno, że Brazuka wypuszcza smycz. Suczka pędzi za uciekającym chłopakiem, dwie przecznice dalej dopada go i łapie zębami za nogę. Kiedy chłopak się potyka i upada, Sapka siada na nim, zdecydowana nie wypuścić zdobyczy.

- Cześć, Sunil - mówi Brazuka bez tchu, wciąż ciężko dysząc, gdy wreszcie do nich dociera.

- Zabierz ją! - krzyczy wystraszony chłopak.

Sapka cały czas powarkuje, widać, że szczerze się nie znosi Sunila.

Brazuka krzyżuje ramiona i opiera się o latarnię. Ostatnie dwie godziny spędził w samochodzie, czekając, aż chłopak wyjdzie z domu. Po krótkim biegu noga boli go jak diabli.

- Skoro boisz się psów, to raczej nie powinieneś dorabiać, wprowadzając je na spacer.

- Gościu, myślisz, że robię to dla przyjemności? Potrzebowałem forsy. To pies z piekła rodem, a potem jeszcze pojawili się ci wredni faceci i nieźle mnie nastraszyli. Byli uzbrojeni. - Sunil dokładnie opisuje dwóch mężczyzn. To ci sami, których Warsame nazwał dupkami i śledził.

- Co im powiedziałaś? - pyta Brazuka.

- Pytali o kobietę, która mnie zatrudniła. Powiedziałem, że mało mi płaci i pojechała do Detroit. Kazali mi do niej zadzwonić i ustalić, gdzie się zatrzymała.

- A ty posłuchałeś.

- Nie miałem wyboru, przecież byli uzbrojeni. Kazali zapomnieć o ich wizycie, nikomu nic nie mówić. Czułem się

z tym podle, nie mogłem spojrzeć temu psu w oczy, bo zaczął się zachowywać, jakby wiedział, co zrobiłem.

- A gdzie się zatrzymała? - pyta Brazuka i coraz mocniej masuje bolącą nogę.

- Zaraz... chyba gdzieś na Second Avenue, Motor Midtown Motel albo Midtown Motor...

- Dobra, załapałem. - Brazuka staje tuż przed chłopakiem i patrzy na niego groźnie. - Jeżeli Norze coś się stanie, to przez twoje gadulstwo. Wtedy na pewno znów się spotkamy. Chodź, dziewczynko! - woła Sapkę.

Suczka zeskakuje z chłopaka i rusza posłusznie za Brazuką.

- Wzywam policję - krzyczy za nimi Sunil.

- Proszę bardzo. Ciekawe, co im powiesz.

Brazuka zastanawia się, czy powinien wziąć Sapkę na smycz, jednak suczka idzie grzecznie przy jego nodze. Dobrze się znają, rok temu wspólnie odnaleźli Norę. Teraz suczka zachowuje się równie niespokojnie, jakby wiedziała, że pani znów jest w niebezpieczeństwie. Swoją drogą Nora musiała mieć ważny powód do wyjazdu, skoro zostawiła chorego Sebastiana i ukochanego psa.

Czego szuka w Detroit?

Brazuka ma złe przeczucia. Powinien nadal pracować nad zleceniem Lama, jednak zachowanie Sapki coraz bardziej go niepokoi. Suczka nie spuszcza go z oczu i cały czas cicho powarkuje, jakby chciała powiedzieć, że są ważniejsze sprawy do załatwienia.

Rozdział trzydziesty piąty

Niedaleko szpitala jest bar, w którym sprzedają gorące bułki kukurydziane wielkości młyńskiego koła i grillowane kurczaki, wybuchową mieszankę, która może powalić nawet zdrowego człowieka, nawet jeśli nie ma za wysokiego cholesterolu. Mają też darmowe Wi-Fi, co przysparza im więcej klientów niż serwowane potrawy. Od wczoraj nic nie jadłam, żołądek mi przypomina, że jeden posiłek w ciągu doby to absolutne minimum, by normalnie funkcjonować.

Wchłonęłam sporą dawkę węglowodanów i cukru chętnie ucięłabym sobie drzemkę, ale popołudniowe słońce razi mnie prosto w oczy. Niestety mój laptop został w piwnicy Nate'a, a ja nie mogę się tam pokazywać, zwłaszcza że detektyw Sanchez marzy, by ze mną porozmawiać. Siedzę na ławce i opycham się kukurydzianymi bułeczkami, od których powoli się uzależniam. A może już wpadłam w pułapkę amerykańskiego sposobu myślenia i też zaczynam przedkładać ilość nad jakość.

Rozmyślałam o logo drużyny Red Wings, która kojarzy mi się z symbolem używanym przez Aniołów Piekła. Nie jestem fanką hokeja, ale taki tatuaż na karku napastnika z motelu na pewno bym rozpoznała. Chyba jednak zauważyłam na rysunku skrzydło, dlatego przez najbliższą godzinę przeglądam najpopularniejsze wśród gangów tatuaże przedstawiające ptaki. Niewiele z tego wynika, może tylko łatwa do przewidzenia konkluzja, że największą popularnością cieszy się orzeł.

Rozpoczynam następne poszukiwania. Co prawda gazeta podarowana mi przez Harveya też została u Nate'a, na szczęście zrobiłam komórką zdjęcie artykułu. Właściwie nawet

nie muszę na nie patrzeć, i tak pamiętam wszystkie nazwiska. Dearborn w stanie Michigan to największe w Stanach skupisko libańskiej emigracji. Trudno powiedzieć, dlaczego osiedlali się właśnie tutaj, w każdym razie rodzina Nasriego poradziła sobie naprawdę dobrze. Panna młoda chodziła do szkoły w Montrealu, czyli musieli mieć też jakieś związki z Kanadą. Może właśnie tam zaprzyjaźniła się z moją matką.

W mojej metryce jest zapisana jako Sabrina Watts. Sabrina to w języku hindi „wszystko”, ale imię pochodzi od nazwy walijskiej rzeki. Gdy byłam dzieckiem, często z Lorelei bawiliśmy się w księżniczki, które odziedziczą po tajemniczej matce cudowną krainę. Nigdy nie poznałyśmy jej panieńskiego nazwiska, dlatego mogłyśmy do woli fantazjować na ten temat.

Chętnie zadzwoniłabym do siostry i zapytała, czy udało jej się coś w tej sprawie ustalić, ale nasze stosunki są dalekie od poprawnych. Jedynym siostrzanym odruchem Lorelei jest to, że kiedy po raz kolejny wyrzuca mnie ze swego domu, nie kopie mnie w tyłek. Nie, nie powinnam myśleć o siostrze, to ropiejąca rana w sercu, która nie chce się zagoić. Skupiam się na kobiecie ze zdjęcia w gazecie. Czy wiedziała, co stało się z moim ojcem? Czy domyślała się, kto mógł chcieć jego śmierci?

Po rozmowie z Kovaksem coraz mniej chce mi się wierzyć, że ojciec popełnił samobójstwo.

Od czasu do czasu zerkam w stronę drzwi, nie jestem więc bardzo zaskoczona, kiedy detektyw Sanchez siada obok i uśmiecha się na powitanie.

- Cześć, Nora - mówi, lustrując mój talerz, na którym powoli stygnie kurze udko. - Zauważyłem cię przez okno i od razu skojarzyłem. Jesteś tą Kanadyjką, którą napadnięto w motelu. Pamiętasz mnie?

- Nie - kłamię beczelnie, zła, że zbyt późno go zauważyłam. Chociaż dzisiaj nie wygląda jak gliniarz. W kurtce z logo

Uniwersytetu Michigan i naciągniętej na oczy bejsbolówce trudno byłoby go rozpoznać. Jednak widziałem go w takim stroju w szpitalu, powinnam o tym pamiętać.

- Och, na pewno pamiętasz. Wybierzemy się na przejażdżkę?

- Po co?

- Zabiorę cię na posterunek i pogadamy. Powiesz mi powoli i dokładnie, kto i dlaczego strzelał do Nate'a Marlowe'a, a ja wszystko zanotuję. Będzie fajnie.

Fajnie? Raczej nie. Sanchez co prawda się uśmiecha, ale uśmiech nie sięga oczu. Wielu gliniarzy patrzyło na mnie równie nieustępliwie jak on, dlatego nie jestem przestraszona, bo po prostu przywykłam. Zastanawiam, co robić, ale w głębi duszy oboje wiemy, że nie mam wyboru.

Rozdział trzydziesty szósty

Sanchez, nadal w świetnym humorze, prowadzi mnie do zaparkowanego nieprawidłowo forda. Po drodze pochłania w rekordowym tempie olbrzymią kanapkę. Jego nastrój jeszcze się poprawia, gdy zatrzymujemy się przed posterunkiem. Wiem, że w tym budynku mieściło się kiedyś kasyno.

Przez całą drogę zachowywałam grobowe milczenie, gapiąc się w szybę na zachód słońca. Przypomniałam sobie, jak z Sapką obserwowałyśmy zachód słońca na Pacyfikiem. Właściwie to ja obserwowałam, a Sapka spała smacznie u mych stóp. Potem odebrałyśmy Seba ze szpitala. Uświadamiam sobie, jak wiele dzieli Vancouver i Detroit. Nie chodzi tylko o klimat czy ukształtowanie terenu. Być może w Detroit lub okolicy są jakieś piękne miejsce, ale trudno je znaleźć.

Sanchez gada jak najęty, teraz o nowej komendzie głównej.

- Wreszcie mamy na miejscu laboratoria kryminalistyczne - wyjaśnia, jakby rozmawiał z turystką. - W tym samym budynku jest też Komenda Główna Straży Pożarnej.

Wjeżdżamy do olbrzymiego garażu podziemnego, potem przechodzimy przez niezliczone drzwi, które Sanchez otwiera kartą magnetyczną. Już po chwili tracę orientację, więc oddycham z ulgą, gdy wreszcie docieramy do małego pokoiku, w którym są tylko stolik i ustawione naprzeciwko siebie plastikowe krzesła.

Sanchez przeprosza mnie na chwilę, a wychodząc, zostawia otwarte drzwi. Nie nabieram się na tę sztuczkę, przecież w pokoju jest kamera. Zastanawiam się, czy Sanchez będzie dziś zgrywał złego czy dobrego gliniarza. To mnie na tyle usypia, że naprawdę zapadam w drzemkę. Kiedy się budzę,

przy moim łokciu stoi kubek z kawą. Siedzący naprzeciwko mnie Sanchez ma zamknięte oczy i lekko pochrapuje. Spodziewałam się wszystkiego, tylko nie śmiertelnie znużonego gliniarza.

- Hej - mówię łagodnie.

- Jeszcze chwilę - mruży i otwiera oko, by sprawdzić moją reakcję. Po chwili wybucha nieprzyjemnym śmiechem i oznajmia zgryźliwie: - Nabrałem cię?

- Możemy przejść do rzeczy?

- Jasne. Nie chcesz kawy?

- Nie.

- No dobra. - Wyciąga notatnik i irytująco długo przegląda zapiski. Mam ochotę zapytać, dlaczego tego nie zrobił, gdy drzemałam, jednak wiem, że takie zachowanie to rutynowe policyjne zagranie. Powinnam się zaniepokoić, co też tam na mój temat napisał. Nie ze mną te numery. Udając znudzenie, kładę głowę na stoliku.

- Powiedz mi, jak skończysz - mówię, a kiedy podnoszę na niego wzrok, znów jest bardzo zmęczonym gliniarzem.

- Nora Watts, obywatelka kanadyjska, zamieszkała w Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej. W jakim celu przyjechałaś do Detroit? - pyta.

- Turystycznym - opowiadam tak samo, jak podczas przesłuchania na lotnisku.

- Gówno prawda. Co tu właściwie robisz?

Sama się nad tym zastanawiam. Nie mam nic oprócz przeszłości. Po śmierci Seba będzie jeszcze gorzej. Zostanę tylko z Sapką, która niestety nie jest mistrzynią towarzyskiej konwersacji. No tak, mam jeszcze Bonnie, ale wiem o niej równie mało, jak ona o mnie. I czego mogłabym ją nauczyć? Jak obezwładnić napastnika? Oby nigdy nie musiała korzystać z takiej wiedzy. Mam też nadzieję, że nigdy nie zapyta mnie o dziadków, bo cóż mogłabym powiedzieć?

- Szukam informacji o ojcu - mówię po dłuższej chwili, bo wiem, że Sanchez nie odpuści.

- Wreszcie jakiś konkret. Kiedy go ostatnio widziałaś?

- Około trzydziestu lat temu.

- I po co tak utrudniasz?

- To prawda. Mój ojciec zmarł ponad trzydzieści lat temu. Niedawno odnalazł mnie jego kolega z wojska i zasugerował, że ojciec wpadł podczas służby w poważne kłopoty. Nie zdążyłam o nic więcej zapytać, więc postanowiłam sama sprawdzić, czy jest coś na rzeczy. Przyjechałam do Detroit, bo mój ojciec się tu wychował. Pomyślałam, że może znajdę jego dawnych kolegów.

- Jak umarł twój ojciec?

- Popęłił samobójstwo.

- W Detroit?

- Nie, w Kanadzie.

- Umarł wieki temu w Kanadzie, a ty szukasz informacji w Detroit? To się nie trzyma kupy. Poczęstuj mnie bardziej wiarygodną historyjką i miło się pożegnamy. Dostaniesz eskortę policyjną na lotnisko, uściśniemy sobie dłonie, a ja osobiście dopilnuje, żebyś wsiadła bezpiecznie na pokład. Koniec zamieszania, żadnych więcej trupów. Od tej chwili mówisz tylko prawdę. - Patrzy na mnie groźnie, ale tylko wzruszam ramionami. - No dobrze. Kilka dni temu zgłosiłaś próbę kradzieży w twoim pokoju hotelowym, ale zeznałaś, że nie zginęło nic wartościowego.

- Tak właśnie było.

- Zaskoczyłaś złodzieja i doszło do szarpaniny. Świadkowie twierdzą, że był uzbrojony.

- Zgadza się.

- A jednak nawet nie zostałam ranna. Niewielu by się to udało.

- Widać jestem wyjątkowa.

- Co ty powiesz? - komentuje nieprzyjemnym tonem. - Kilka dni później zostaje w twojej obecności postrzelony młody mężczyzna.

- Siostrzeniec bardzo znanej osoby.

- Dla policji w Detroit wszystkie ofiary są równie ważne - opowiada natychmiast, nie podejmując podsuniętego przeze mnie wątku. - To z twojego telefonu zadzwoniono na 911. Świadkowie zeznali, że gonił cię uzbrojony mężczyzna. Z opisu wynika, że bardzo podobny do tego, z którym szarpałaś się w motelu. Nie mogliśmy porównać tatuażu, ale miał rozbity nos.

- Ojej - udaję zdziwioną, chociaż nie znoszę kłamać. - Czy to mógł być ten sam facet?

- Nora, o co tu chodzi?

- Nie wiem - odpowiadam tym razem zgodnie z prawdą.

- Wiesz, jak łatwo w Detroit wynająć faceta od mokrej roboty? Wystarczy mieć kilkoro znajomych, którzy też mają kilkoro znajomych łasych na forszę albo zdesperowanych. Znajdziesz chętnych na takie zlecenie już za piętnaście tysięcy dolarów. Dla niektórych tyle jest warte ludzkie życie.

- Dla wielu to ogromne pieniądze.

- Chcesz dyskutować o wartości życia?

Ktoś puka gwałtownie do drzwi. Do pokoju wchodzi policjantka, którą widziałam w szpitalu.

- Czas na nas - mówi do Sancheza.

Detektyw wstaje, obrzuca mnie jadowitym spojrzeniem i odpowiada:

- Powinnaś mi pomóc przy przesłuchaniu. Może przynajmniej zabierzesz panią Watts do aresztu? Jeszcze z nią nie skończyłem.

- Nie wkurzaj mnie, nie mam czasu, a ty jutro musisz wcześniej wstać, bo idziesz do sądu. Przepraszam, a za co chcesz zatrzymać tę panią? Jest tylko świadkiem.

- Cholera, zapomniałem, że w tym tygodniu to ja odbieram dzieciaki ze szkoły.

- Poza tym mamy do czynienia z obywatelką Kanady - przypomina mu policjantka tonem sugerującym, że z moim zatrzymaniem wiązałyby się dodatkowa papierologia.

- Tak, tak. - Sanchez nerwowo bębni palcami w blat stołu, wreszcie podejmuje decyzję.

- Gdzie się zatrzymałaś?

- U stryjka. - Podaję adres Harveya, który niechętnie zapisuje w notatniku.

- Kto wie, że tam mieszkasz?

- Nikt. - Nawet Harvey, dodaję w myślach.

- Pojedziemy moim samochodem. Czekam na parkingu - rzuca jeszcze policjantka i szybko wychodzi. Dokądkolwiek się wybierają, nie pozwoli się zbyć.

- Noro, czy wiesz, kto postrzelił Nate'a Marlowe'a? - pyta szybko Sanchez.

- Nie.

- Nie mów nikomu, gdzie mieszkasz. Oboje wiemy, że to nie Nate był celem.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Posłuchaj, grozi ci niebezpieczeństwo. To nie żarty.

Kiedy wreszcie wychodzę, czuję się nieludzko zmęczona, zupełnie jak przesłuchujący mnie detektyw. W pobliskim barku kupuję kawę, bo dobrze wiem, że mam dzisiaj jeszcze sporo roboty. Wyjmuję baterię z komórki i przez chwilę się zastanawiam, czy nie cisnąć jej w pobliskie krzaki. Nie, jeszcze nie. Wstyd się przyznać, ale chyba jestem od tego cholerstwa uzależniona.

Rozdział trzydziesty siódmy

Po raz pierwszy w życiu załuję, że nie jestem dilerem narkotykowym, bo przynajmniej bym wiedziała, dlaczego próbuje mnie zabić gang z Detroit. Muszę się czymś zająć, dlatego postanawiam zbadać arabską ścieżkę mojego dziedzictwa. W gazecie otrzymanej od Harveya podano adres młodej pary. Szybko ustalam, że dom w eleganckiej dzielnicy miasta jest w rodzinie od kilku pokoleń.

Drzwi otwiera mi Dania Nasri, panna młoda ze zdjęcia, prawdopodobnie przyjaciółka mojej matki, teraz dobiegająca sześćdziesiątki. Wygląda jednak co najmniej o dziesięć lat młodziej nie tylko dzięki perfekcyjnemu makijażowi. Owszem, ma urodę, ale przede wszystkim klasę, to typ kobiety, która wyglądałaby świetnie nawet w worku po ziemniakach.

- O co chodzi? - pyta spokojnie.

Przedstawiam się i pokazuję jej zdjęcie z wesela.

Przez chwilę studiuje wyświetlacz komórki.

- Tak, to Sabrina Awad - mówi cicho. - Często o niej myślę.

Obrzuca mnie uważnym wzrokiem i zaprasza do środka. Idę za nią do salonu, gdzie podłogę pokrywa wspaniały perski dywan w tonacjach czerwieni i starego złota.

- Właśnie zaparzyłam herbatę - mówi. - Siadaj, proszę. Opowiem ci o twojej matce.

Chłonę każde słowo Danii:

- Palestyńska dziewczyna mieszkała w koszmarnych warunkach w bejruckim obozie uchodźców. Poprosiła o pomoc daleką kuzynkę, która od wielu lat mieszkała w Kanadzie. Kuzynka miała dług wdzięczności wobec zmarłego ojca dziewczyny i udało jej się legalnie ściągnąć ją do Montrealu. Dziewczyna skorzystała z okazji, by dokończyć przerwane

przed wojnę studia. Nie angażowała się politycznie, chciała tylko spokojnie żyć.

- Poznałyśmy się przez wspólnych znajomych i szybko zostałyśmy przyjaciółkami. Kiedy chciała, potrafiła być naprawdę czarująca. Zaprosiłam ją na ślub. Trochę mnie dziwiło, że cały czas uważała, by nikt jej nie zrobił zdjęcia. Jest tylko na tym, które mi pokazałaś, bo na chwilę się zagapiła. Mój teść był wpływowym człowiekiem, bardzo się zaangażował w negocjacje pokojowe podczas kryzysu libańskiego. Myślę, że właśnie dlatego na ślubie zjawili się sporo fotografów.

- Jakiś czas później zgłosił się do mnie dziennikarz, który przygotowywał materiał o moim teściu. Wypytywał o wszystkich gości, a najbardziej dociekliwie o Sabrinę. Sądziłam, że po prostu mu się podobała, a była naprawdę bardzo piękna. Po tej rozmowie od razu do niej zadzwoniłam. Odebrał twój ojciec. Poznałam go, gdy zaczął się spotykać z Sabriną. Właśnie wyszedł z wojska i myślał o przeprowadzce do Kanady, skąd pochodził. Sabrina mogła mieć każdego faceta, ale wybrała takiego, który nie miał dosłownie nic. Powiedziała mi, że Sam nie jest co prawda bogaty, ale bardzo dobry i miły.

- W każdym razie obiecałam mu przysłać to zdjęcie z wesela. Sabrina zadzwoniła dwa dni później. Pytałam o ciebie i twoją maleńką siostrę, jednak ona bez przerwy pytała o tego dziennikarza. Mówiła tak... sama nie wiem, jak to nazwać. Jakby traciła kontakt z rzeczywistością. Zapewniałam, że nie ma się czym denerwować, że ten miły dziennikarz chciał po prostu opisać życie emigrantów. Sabrina szczególnie go zainteresowała, bo wyszła za amerykańskiego weterana wojennego. Bardzo chciał z nią porozmawiać, więc dałam mu jej adres w Kanadzie.

- Sabrina na długo zaniemówiła, zaczęłam się martwić, że stało się coś złego albo że wciąż ma depresję poporodową.

Wreszcie zapytała, jak wyglądał ten dziennikarz. Opisałam go dokładnie: średniego wzrostu, niebieskooki blondyn, dobrze zbudowany. Miał na szyi sporą bliznę, której często dotykał. Wtedy bez słowa pożegnania przerwała połączenie. Nigdy więcej z nią nie rozmawiałam. Oczywiście dzwoniłam do Kanady, ale zawsze odbierał twój ojciec. Nie chciał rozmawiać o Sabrinie, ale po jakimś czasie przyznał, że nocą, kiedy wszyscy spali, uciekła z domu. Stało się to kilka godzin po rozmowie ze mną. Minęło wiele lat, ale wszystko pamiętam, jakby wydarzyło się wczoraj. Sam przyznał, że niezbyt im się układało. Sabrina źle znosiła drugą ciążę, nie potrafiła się odnaleźć w roli matki dwóch małych dziewczynek, sytuacja często ją przerastała. Sam uważał, że to tylko chwilowe załamanie i ona wróci.

- Wiesz, nad czym się wtedy zaczęłam zastanawiać? Kiedyś po pijaku wyznała, że jest śmiertelnie znużona wieczną ucieczką i marzy o normalnym życiu. Raczej nie mówiła o wojnie, tak to odebrałam. A jeżeli nie o wojnie, to przed czym właściwie uciekała?

Drzwi otwierają się i do pokoju wchodzi tłum dziewczyn. OK., jest ich tylko pięć, ale dla mnie to już tłum.

- Zostaniesz na kolacji? - pyta Dania. - Dzisiaj jem z wnuczkami.

Kolacja z nastolatkami i ich babką? Dziękuję, postoję.

- Bardzo mi pomogłaś, ale muszę już iść. - Wyciągam rękę na pożegnanie.

- Cieszę się, że mogłam ci pomóc. Lubiłam Sabrinę, chociaż trochę się o nią martwiłam. Była bardzo niezależna i uparta. Jesteś do niej podobna.

Co takiego? Podobna do kobiety, która opuściła rodzinę? Która zamiast rozwiązać problem, ratowała się ucieczką?

Już za drzwiami odwracam się gwałtownie i ponownie pukam.

- Zostaniesz na kolacji? - pyta Dania.

- Nie, tylko... Powiedziałaś, że jestem do niej podobna. To chyba najgorsza rzecz, jaką mogłam usłyszeć. Porzuciła nas - mówię coraz głośniej, bo już nie umiem zapanować nad złością.

- Po śmierci taty tułałyśmy się po rodzinach zastępczych. Nigdy nie wróciła.

- A jednak jesteś do niej podobna, tak jak ona nie unikała konfrontacji. Wychowała się w piekle, musiała się nauczyć, kiedy lepiej odpuścić, o ile oczywiście zależy ci na życiu. Może zrezygnowała z walki, bo wiedziała, że nie ma szans na wygraną.

- W takim razie wcale nie jestem do niej podobna - stwierdzam zimno i odchodzę.

Rozdział trzydziesty ósmy

Brazuka wszedł do szpitala z Sapką, oświadczając z kamienną twarzą, że to pies służbowy. Na ich widok Warsame potrząsa głową z politowaniem. W pokoju suczka od razu podbiega do łóżka, a potem sadowi się na stojącym obok fotelu. Układa łapy na nieruchomej klatce piersiowej Sebastiana, a łeb w miejscu, gdzie kiedyś było jego serce.

W rogu pokoju stoi Leo Krushnik. W ustach trzyma zwiniętą w pięść dłoń, z oczu płyną mu strumienie łez.

Brazuka widzi, jak Leo powoli odpływa.

Błada twarz jest pozbawiona wyrazu.

Leo powoli osuwa się na kolana.

To reakcja na śmierć kochanka i szok, że Seb w ostatnich miesiącach życia wybrał samotność.

Brazuka klęka obok Leo i obejmuje go mocno.

- Gdzie jest Nora? - pyta Warsame chwilę później. Stoją z Brazuką na korytarzu, ale cały czas kontrolują, co dzieje się w pokoju. Sapka została w środku, ułożyła się przy nadal klęczącym Krushniku.

- W Detroit.

- W co się wpakowała tym razem?

- Nie wiem.

- Sebastian kazał przed śmiercią znaleźć jakąś książkę dla Leo. Masz może pojęcie, o co chodzi?

- To ty jesteś detektywem. - Brazuka podaje Warsame'owi klucze do domu Sebastiana.

- Skontaktujesz się z Norą?

Brazuka wzrusza ramionami, unikając jednoznacznej odpowiedzi. To nie jego sprawa, co się z nią dzieje, ale nie może zaprzeczyć, że nie jest mu obojętna.

- Hej, zapomniałeś o psie! - woła za nim Warsame, gdy Brazuka rusza do wyjścia.

- Nie zapomniałem. - Owszem, Sapka podniosła łeb, gdy zbierał się do wyjścia, ale nie ruszyła się na krok od Krushnika. Mieszkała jakiś czas z Sebem i Leo, gdy Nora szukała zaginionej córki. Obaj pokochali suczkę i bardzo ją rozpieszczali. Teraz Sapka na pewno powinna być z nim.

Brazuka wsiada do samochodu, ale mija długa chwila, zanim wyjeżdża z parkingu. Jest zbyt zmęczony na podróż do Detroit, no i musi doprowadzić do końca zlecenie dla Liama. Jednak najpierw zamierza porządnie się wyspać.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Chwilę jeszcze deliberyuję, jednak wreszcie wkładam baterię do komórki i piszę długiego SMS-a o wszystkim, co się wydarzyło od mojego wyjazdu z Kanady. Potem ruszam nad rzekę. Nie mogę wrócić do żadnego miejsca, w którym już byłam, właściwie nie mam dokąd pójść. Siadam nad wodą i patrzę w stronę Kanady, od której dzieli mnie tylko rzeka Detroit. Gdybym przejechała przez most na drugi brzeg, już po kilku godzinach mogłabym wypić filiżankę herbaty z moją nastoletnią córką. Dawno nie wysłałam jej żadnego zdjęcia, bo nie chcę, żeby wiedziała, gdzie jestem.

Z oddali dobiega głos Arethy Franklin, a ja zaczynam się zastanawiać, jak to możliwe, że taka wspaniała artystka urodziła się i wychowała w takim miejscu. Chociaż właściwie to całkiem logiczne, bo sztuka jest jak promień słońca rozświetlający każdy mrok, a na pewno można to powiedzieć o soulu. Detroit nie jest ładne, obecnie pisze się o nim jedynie w kontekście kryzysu i stopniowej degradacji. Jednak ludzie nie stracili ducha, wydają mi się bardziej prawdziwi niż w pięknym Vancouver. Czyżbym polubiła miasto, w którym ktoś z uporem próbuje mnie dopaść i zabić?

Dramatyczne wydarzenia ubiegłego roku chyba mi przytępiły zmysły, straciłam też zaufanie do własnej intuicji. Niby czułam, że ktoś mnie od jakiegoś czasu śledzi, ale trochę trwało, nim się przekonałam, że to nie paranoiczne urojenie. Choroba Seba i odnalezienie córki też wytrąciły mnie z równowagi, przez co straciłam czujność, z której zawsze byłam taka dumna.

W telefonie pojawia się kilka mejli od Simone. Pierwszy to tradycyjna gadka, bym na siebie uważała i w ogóle. Nigdy nie sprecyzowała, co rozumie pod pojęciem „w ogóle”.

W drugim jest lista nazwisk i sporo zdjęć marines, którzy służyli w Bejrucie w tym samym czasie co ojciec. Żałuję, że zabrakło mi przytomności umysłu, by po ataku na Nate'a zabrać z jego domu plecak. Gdybym miała laptopa, mogłabym obejrzeć zdjęcia na większym ekranie. Teraz to już musztarda po obiedzie, dom jest na pewno obserwowany przez ludzi, którzy próbują mnie zabić. Nie zamierzam się kontaktować z Kevinem, bratem Nate'a, nie zniosłabym jego kolejnych dociekliwych pytań. Zostałam bez ciuchów na zmianę, paszportu i laptopa. Dobrze, że mam chociaż portfel i komórkę. Dałam ciała, ale takie samobiczowanie to oczywista strata czasu.

Zmuszam się do przeczytania kolejnych wiadomości od Simone. Niestety nie znalazła nic o weteranie, który zaczepił mnie w parku. Gdybym miała trochę oleju w głowie, poprosiłabym, by się przedstawił, to byłby jakiś punkt zaczepienia. Zaczynam przeglądać zdjęcia amerykańskich dziennikarzy relacjonujących wojnę domową w Libanie. Człowiek, którego szukam, przedstawił się Danii Nasir jako reporter, może ten trop dokądś mnie doprowadzi.

Mam ochotę zignorować dzwoniącą komórkę, jednak odbieram.

- To ja - odzywa się Simone. - Dostałaś moje mejle?

- Właśnie je przeglądam. Zanim coś powiesz o strzelaninie...

- O strzelaninie? Wszystkie lokalne gazety piszą o ataku na znanego piosenkarza, który walczy o życie. Wpadłaś w szambo po uszy. Znowu.

Jest wściekła i zmartwiona, zatem chwilę potrwa, zanim uda mi się skierować rozmowę na właściwe tory. Cholera, a zamierzałam zasugerować, że celem zabójcy był Nate.

- Simone, przysięgam, że w nic się nie wpakowałam. Po prostu zaczęłam rozpytywać o ojca, tylko tyle.

Przez chwilę milczy, ale mam nadzieję, że mi wierzy.

- Szukasz informacji o Amerykanach, którzy byli w Libanie podczas wojny domowej - upewnia się. - A konkretniej?

Większość fotografii, które mi przesłała, pochodzi z lat osiemdziesiątych i dotyczy ataku na amerykańską ambasadę i bazę marines. Równie dużo dokumentuje problem uchodźców, który przybrał na sile w czasach, gdy już wyszedł z wojska, a matce udało się wyjechać do Kanady. Jednak Bejrut w ich czasach też nie był bezpiecznym miastem.

- Powiedz coś więcej o facecie, który zaczepił cię w parku - prosi.

- Miał dużą bliznę na szyi i trochę dziwny głos, taki chrapliwy.

- Uszkodzone struny głosowe?

- Powiedział, że był ranny. Według mnie nie skłamał.

- No właśnie, odkrywanie kłamstwa to twoja mocna strona. Co jeszcze brzmiało prawdziwie?

- Kiedy mówił o kłopotach w Libanie - odpowiadam powoli. Nagle do mnie dociera, że niepotrzebnie skupiłam się na dzieciństwie i młodości ojca, bo nie tam trzeba szukać przyczyn samobójstwa. - Podobno ojciec w coś się tam wpakował, ale nie znalazłam nic na potwierdzenie tej tezy.

- Twój ojciec służył na statku na Morzu Śródziemnym, tak? I wrócił do Stanów w latach siedemdziesiątych?

- Tak.

- Mamie udało się wyjechać z obozu dla uchodźców. Trafiała do Kanady. Rodzice wzięli ślub pod koniec lat siedemdziesiątych, zgadza się?

- Zgadza.

- Pojechała na wesele przyjaciółki do Dearborn, gdzie poznała twojego ojca.

- Nie na weselu, poznali się w Detroit.

- Po kilku latach ukazuje się artykuł o teściu panny młodej, wpływowym libańskim polityku. Przy okazji gazeta publikuje

zdjęcia z wesela jego córki. Odwiedza ją dziennikarz i zaczyna wypytywać o twoją matkę.

- Która na wieść o tym pakuje manatki i znika. W następnym roku umiera mój ojciec.

- Trzeba ustalić, co działo się przez ten rok.

- Jeżeli ten człowiek miał coś wspólnego ze śmiercią ojca, dlaczego czekał aż rok?

- To się zupełnie nie klei - mruczy, potem rozlegają się jakieś szepty, wreszcie mówi: - Wrócimy do tego później, dobrze? Postaram się zdobyć więcej materiałów i zdjęć. Rozłączam się.

Kiedy telefon milknie, popadam w smutną zadumę. Sama jak palec we wrogim otoczeniu. Łatwy cel dla każdego zabójcy. Za dnia na nabrzeżu kręciło się sporo ludzi, teraz robi się ciemno i pusto. Nie czuję się bezpiecznie, najchętniej wsiadłabym w najbliższy samolot do Vancouver. Nie mogę pójść do motelu, do domu Nate'a ani do Harveya.

Dostaję zdjęcie od Bonnie. Tym razem trzyma nogi na desce rozdzielczej samochodu. Przez przednią szybę widać wodę, chyba jezioro Ontario, a niebo ma niesamowicie cukierkowy kolor, coś między intensywnym różem a łososiem. Nie mam już żadnych zdjęć Sapki, które mogłabym wysłać, dlatego przez chwilę zastanawiam się, czy w ogóle odpowiadać Bonnie. Podchodzę do latarni ulicznej i robię sobie selfie. Widać na nim dokładnie moją twarz i ciało do pasa. Szkoda, że nie prezentuję się lepiej, ale niektórych rzeczy nie przeskoczysz. Wysyłam zdjęcie szybko, zanim się rozmyślę.

Każda dziewczyna powinna mieć zdjęcie matki, prawda?

Melduję się w tanim hotelu, przesuwam minilodówkę pod drzwi i padam w ubraniu i butach na łóżko.

Przesypiam kolejną porcję informacji od Simone.

Rozdział czterdziesty

Od wielu lat nikt w Bejrucie nie może czuć się bezpiecznie.

Wciskam recepcjoniście dwadzieścia dolarów, by pozwolił mi skorzystać z komputera na zapleczu. Dał mi tylko godzinę, więc muszę się sprężyć. Przeglądam trzecia porcję materiałów od Simone i wreszcie natrafiam na ślad rzekomego weterana, który nawet nie był żołnierzem.

To fotograf, który został ranny podczas zamachu bombowego w Bejrucie.

Na zdjęciu sanitariusze wnoszą Ryana Russo do karetki. Co prawda zasłania twarz pokrwawioną ręką, jednak ma szeroko otwarte oczy i intensywnie wpatruje się w osobę, która zrobiła to zdjęcie. Ryan miał pecha, po prostu przechodził ulicą akurat w chwili, gdy wybuchł samochód-pułapka.

Szybko przelatuję wzrokiem po akapitach rozwodzących się nad ciężką i niebezpieczną pracą korespondentów wojennych i uważnie czytam fragmenty o Russo. Pochodzi z Kalifornii, absolwent Uniwersytetu Stanforda. Zaczął pracować w lokalnej gazecie należącej do jego rodziny. Gdy dowiedział się, że jeden z wybitnych fotografów, jego idol, został zabity w Bejrucie, postanowił napisać o nim książkę.

Był młody, pełen zapału i nieodpowiedzialny. Tak opisał go facet, od którego Russo wynajmował w Bejrucie mieszkanie. Na początku korzystał z usług przewodnika, który pomagał mu bezpiecznie się poruszać po wrogim i niebezpiecznym mieście. Później, na własną zgubę, uznał, że sam sobie świetnie poradzi. Bomba umieszczona w samochodzie zraniła go w szyję, rękę i klatkę piersiową, złamała mu obojczyk i żebro. Po powrocie z Libanu Russo przez dziesięć lat robił zdjęcia dla należącej do rodziny gazety.

Gdy gazeta została sprzedana, nazwisko Russo przestało się pojawiać w przestrzeni publicznej.

- Tak, to on - potwierdza Dania Nasri, gdy ponownie ją odwiedzam. Zdjęcie zostało zrobione przed wyjazdem Russo do Bejrutu.

Russo patrzy prosto w obiektyw, na jego twarzy nie ma cienia uśmiechu, jednak emanuje z niego siła, czuje się jego charyzmę.

- Na pewno?

- Tak, ale czegoś nie rozumiem - mówi, przebiegając wzrokiem artykuł. - Nie powiedział, że był w Libanie i został tam ranny, a przecież rozmawiał ze mną kilka godzin. Twoja matka też była wtedy w Libanie. Ciekawy zbieg okoliczności.

Bardzo ciekawy, bo gdy zobaczył w gazecie jej zdjęcie, od razu zaczął jej szukać.

- Tak, warto się temu przyjrzeć - odpowiadam.

- Masz kłopoty? - Bierze mnie za rękę. Albo nie udało mi się ukryć strachu, albo jako babcia pięciu wnuczek jest szczególnie wyczulona na niuanse, zmiany zachowania i tonu głosu.

- Powiedziałaś, że gdy poznałaś moją matkę, nie angażowała się politycznie. A w Libanie? Wpakowała się w kłopoty?

- Nie sądzę.

Gdy oszukuje cię osoba, której zaufałaś, ból i rozżalenie są szczególnie dojmujące. Może dlatego ściskam dłoń Danii stanowczo za mocno, niż wypada. Nie chcę, by ją zabolalo, musi tylko zrozumieć, że oczekuję prawdy i nie ustąpię. Brylanty z jej pierścionka i obrączki ranią mi skórę, ale jestem zbyt zdesperowana, by się tym przejmować.

- Nie kłam - mówię cicho.

Zaszokowana Dnia próbuje wyrwać dłoń, oczywiście bezskutecznie.

- Nie chcesz poznać prawdy - odpowiada równie cicho.

- Nie ty powinnaś o tym decydować. I owszem, chcę, a nawet muszę poznać prawdę. - Rozluźniam uścisk.

Wyrywa dłoń i podchodzi do okna.

- Mój znajomy znał brata Sabriny. Został śmiertelnie postrzelony, gdy odmówił okazania dokumentów na punkcie granicznym. Podobno był związany z grupą palestyńskich lewaków odpowiedzialnych za liczne akty agresji. Włamania, porwania dla okupu. Po śmierci brata Sabrina przez jakiś czas utrzymywała z nimi kontakt, ale nie mam pojęcia, na czym te kontakty polegały. Nic więcej nie wiem.

Wiem, że coś ukrywa, dlatego spokojnie czekam na ciąg dalszy. Chcę, by zrozumiała, że nie pozwolę się zbyć.

Odwraca się od okna i patrzy na mnie. Szkoda, że nie jestem podobna do matki, może to rozwiązałoby jej język.

Pomogło coś innego - mój jawnie okazywany upór.

- Twoja matka mieszkała w Montrealu sama, nie u krewnej, która ją ściągnęła do Kanady. Właściwie nigdy o niej nie mówiła. Zawsze mi się wydawało, że Sabrina ukrywa jakiś mroczny sekret. Kochałam ją, ale nigdy nie umiałam jej bezgranicznie zaufać. Nie postrzegałam jej jako buntowniczkę, raczej jako kobietę zmęczoną życiem i światem. Czasami sprawiała wrażenie trochę obcej, zimnej i cynicznej osoby. Na przykład gdy pytałam ją o twoją malutką siostrę.

Jezu, nawet nie chcę dopuścić myśli, że matka mogła nie kochać Lorelei. Ja ją zawsze kochałam, nawet gdy byłam na nią wściekła.

- Nie radziła sobie z macierzyństwem?

- Gdy o to pytałam, zawsze zmieniała temat. Była w tym mistrzynią. Wydaje mi się, że kiedyś jakiś facet, jeszcze w Bejrucie, bardzo ją zranił, a ona nie umiała wybaczać.

Dania odwraca się do mnie plecami. Rozmowa ze mną musiała ją zdenerwować i zmęczyć, bo sprawia wrażenie, jakby nagle bardzo się postarzała.

- Dziękuję, że zechciałaś ze mną porozmawiać. - Wstaję, szykując się do wyjścia. - Jak to możliwe, że tak dużo pamiętasz?

- Moja rodzina dostała miesiąc na opuszczenie domu w Jaffie. Mieliśmy gaj oliwny i hodowaliśmy pomarańcze. Przeprowadziliśmy się do krewnych w Libanie. Świadomość, że w naszym domu mieszkają obcy ludzie i nigdy nie będziemy mogli tam wrócić, wciąż boli. Rodzice często o tym rozmawiali, kłócili się o to, co stało na półkach kuchennych albo jakiego koloru były zasłony. Moja matka wyrzuciła klucze od tego domu, nie mogła na nie patrzeć. Utraciliśmy bezpowrotnie coś więcej niż miejsce zamieszkania. Utraciliśmy część naszej historii. - Podchodzi do półki z książkami, wyjmuje i otwiera album. Pokazuje mi to samo zdjęcie z wesela, które zamieszczono w gazecie. - Ten artykuł zawiera wszystko, co przetrwało z naszej przeszłości.

- Ludzie zawsze będą pamiętali, jakiego koloru zasłony wisiały w ich salonie.

- Nie muszą pamiętać, ważne, by już nikt ich nie zmuszał do wyrzucania kluczy i utraty tożsamości. Wiesz, czasami przypominam sobie słowo po słowie ostatnią rozmowę z twoją matką. Musiałam powiedzieć coś, co popchnęło ją do ucieczki. Coś o tym mężczyźnie, który o nią wypytywał. Byłam wtedy w ciąży, miałam inne problemy, a jednak wciąż wracałam do tej rozmowy, słowo po słowie, nawet wszystko zapisałam, niestety potem wyrzuciłam notatki. Niepotrzebnie opowiadałam mu o Sabrinie, to była skrajna głupota, ale chciałam wreszcie żyć normalnie, bez wiecznego strachu i podejrzliwości. - Uśmiecha się smutno. - Dobrze wspominam studia i przyjaźń z twoją matką. Zakuwałyśmy całymi nocami do egzaminów, ale często się wygłupiałyśmy jak nastolatki. Dostawała napadów histerycznego śmiechu podczas lektury „Paragrafu 22”, jej ulubionej książki. Kiedy odeszła od twojego

ojca, zostawiła również mnie.

Nie podajemy sobie rąk na pożegnanie. Kiedy podchodzi, by mnie uściskać, cofam się szybko. Dobrze pamiętam, co przytrafiło się osobie, której ostatnio pozwoliłam wziąć się w ramiona.

- Nie wiedziałam, że ojciec zmarł, gdy byłyście dziećmi. Tak mi przykro. - Sięga do kieszeni i wyjmuje stary klucz, nagrany od ciepła jej dłoni.

- Powiedziałaś, że twoja matka wyrzuciła klucze.

- Ten należał do Sabriny. Pokazała mi go, kiedy spiłyśmy się tanim winem. Śmiała się jak szalona i wyrzuciła go przez okno. Znalazłam go na ziemi i schowałam, by jej oddać, gdy będzie na to gotowa. Tak się nie stało, dlatego przekazuję go tobie.

Patrzy na mnie intensywnie, najwyraźniej czegoś oczekując. Zrozumienia? Przebaczenia? Ja jednak odchodzę bez słowa, nadal przekonana, że ktoś mnie obserwuje. Nic nowego. Znów jestem zwierzyną łowną, jak moja zimna i obca matka, do której chyba rzeczywiście jestem podobna.

Ja też, tak jak Dania, wiem, co znaczy żyć w strachu i nikomu nie ufać. Jej opowieść jest jak zdarta od wiecznego grania płyta. Uchodźcy, emigranci, strach, desperacja, śmierć. Reakcje polityków jak świat światem uzależnione od interesów gospodarczych.

Tak było, jest i będzie.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Siedzę w pobliskiej kafejce, popijam aromatyczną arabicę i myślę o historii, którą opowiedziała mi Dania. Może wybrałam taki gatunek kawy, bo poczułam więź z moimi arabskimi korzeniami? Ależ skąd, ja nadal odczuwam brak przynależności do jakichkolwiek korzeni, żadne żałosne zabiegi tego nie zmieniają. W pomieszczeniu jest stanowczo za dużo okien, dlatego usiadłam z tyłu, naprzeciwko drzwi, by widzieć, kto wchodzi do środka. Zaanektowałam jedyne gniazdko, by doładować telefon, co nie wzbudziło entuzjazmu personelu. Najchętniej by mnie wyprosili, jednak w kafejce jest mało klientów, więc zostawiają mnie w spokoju, licząc zapewne na przyzwoity napiwek.

Najpierw otwieram mejla od Simone. To policyjny raport sprzed czterdziestu lat. Dziewczyna Ryana Russo wystąpiła o sądowy nakaz zbliżania się.

Chętnie zapytałabym Simone, jak dotarła do tych dokumentów, ale z zasady nie odpowiada na takie pytania. Zresztą to żadna nowina, że ma wielu przyjaciół wśród hackerów.

To jedyna informacja w tym mejlu, a podpis brzmiał: „Wkrótce więcej materiałów”. Wkrótce? To dla mnie stanowczo za późno. Zamawiam kolejną porcję baklawy i próbuję dodzwonić się do Seba, ale znów zgłasza się tylko poczta głosowa. Dociera do mnie, że podczas opowieści o mojej matce Dania zadała wiele retorycznych pytań. Jedno z nich nie daje mi spokoju. Dlaczego taka piękna kobieta nie chciała, by jej robiono zdjęcia?

To oczywiste, uciekała od przeszłości. Przed mężczyzną, który zobaczył jej fotkę i natychmiast rozpoczął poszukiwania.

Przed mężczyzną, który przez lata miał na oku jej córki i śledził mnie w Vancouver. Co znalazłam, próbując poznać historię rodziców? Faceta, który podawał się za żołnierza.

I który prawdopodobnie próbuje mnie zabić.

To nie przypadek, że matka zniknęła, gdy zaczął jej szukać. To nie przypadek, że pojawił się w barze Kovaksa tuż po śmierci mojego ojca i po raz kolejny próbował dowiedzieć się czegoś o mojej matce. Wysłałam zdjęcie Russo do Kovaksa, a on szybko odpowiada, że prawdopodobnie to właśnie ten mężczyzna poinformował go przed laty o śmierci mojego ojca.

Prawdopodobnie? To mi w zupełności wystarczy.

Wszystkie tropy prowadzą do Ryana Russo, a ja nadal nie wiem, czego on właściwie chce.

Przeglądając SMS-y, widzę mnóstwo od Brazuki, wszystkie z prośbą o szybki kontakt. Właśnie mam zadzwonić, gdy przychodzi wiadomość od Leo. Nie pisał, odkąd uznał moje odejście z pracy za zdradę. Nie mógł znieść, że wybrałam Seba.

To lakoniczna wiadomość:

Nie żyje. Sapka jest u mnie.

Nie odbiera, kiedy do niego dzwonię. Wiem, że siedzi w domu i gapi się na telefon, bo za chwilę dostaję od niego kolejną wiadomość:

Przeczytałem jego książkę.

Chociaż dzieli nas tak wiele kilometrów, niemal czuję jego ból i rozpacz. Skoro przeczytał wspomnienia Seba, nie ma nic więcej do dodania. Pozostaje mi tylko wierzyć, że Leo znajdzie w sobie dość siły, by przetrwać, by sobie wybaczyć.

Harvey Watts powiedział, że ciotka, która nas wychowywała, wcale nie była siostrą mojego ojca, jednak to dla mnie żadna rewelacja. Dowiedziałam się, gdy uciekłam od pierwszej rodziny zastępczej. Była zbyt chora, by zająć się mną i Lorelei, ale kochała mojego ojca, chociaż nie łączyły ich więzy krwi. Te

są najważniejsze tylko w ckliwych filmikach, którymi nas katują w każde święta Bożego Narodzenia. Istnieją więzy o wiele ważniejsze i o wiele mocniejsze.

Dawno temu Sebastian Crow potrzebował pomocy przy zbieraniu materiałów, a ja chętnie przyjąłam to zlecenie.

A potem mnie zatrudnił, zaufał mi i nigdy nie pytał o przeszłość.

Moje życie to pustka. Mieszkam w mieście, gdzie wszystko jest dla mnie za drogie. Mam siostrę, która się mnie wstydzi i nie chce ze mną rozmawiać. Sponsora z AA, który mnie zdradził. Mój mentor właśnie przekroczył próg śmierci, a jego partner zapewne nigdy mi nie wybaczy, że nie powiedziałam mu o chorobie kochanka. Jest jeszcze przytulny dom Seba, w którym nigdy nie będę mogła zamieszkać, no i pies, który wymierzy mi srogą karę za tak długą nieobecność.

Niewiele osiągnęłam, ale wszystko, co mam, zawdzięczam Mike'owi Starlingowi i Sebowi Crowowi, a obaj już nie żyją.

Tak wiele rozstań, tak wiele duchów.

Nie ma sensu dzwonić do Brazuki, skoro już wiem, co chciał mi powiedzieć. Poza tym nie zamierzam go wtajemniczać w moje sprawy. Ludzie wokół mnie umierają, a chociaż wciąż nie wybaczyłam Brazuce zdrady, zasłużył na długie i spokojne życie. Niech popija te swoje koktajle z jarmużem i szpinakiem, nie jestem aż taka mściwa. Lepiej mu nie mówić o tajemniczym mężczyźnie, który przez lata tropił moją matkę. Cokolwiek mu zrobiła, upływ czasu nie uleczył rany, nienawiść okazała się silniejsza.

Pewien mężczyzna z Detroit kupił dom tuż obok domu byłej żony, a na podwórku postawił olbrzymi pomnik w kształcie wyciągniętego środkowego palca. Chciał, by żona cały czas go widziała, dlatego nocą pomnik o wątpliwej wartości artystycznej oświetlały mocne reflektory. Bardzo kosztowny sposób wyładowania złości i frustracji.

Podobno niebo nie zna takiej furii jak wzgardzona kobieta.
Doprawdy? A do czego jest zdolny wzgardzony mężczyzna?

CZEŚĆ PIĄTA

Rozdział czterdziesty drugi

- Podobno chcesz posłuchać o starych czasach - zaczęła rozmowę kobieta usadowiona wygodnie na ławce.

Jeszcze leżałam w łóżku, kiedy Jules Dubois zadzwoniła z wiadomością, że Mark Kovaks poprosił, by pogadała ze mną o Libanie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Zgodziła się pod warunkiem, że natychmiast przyjadę do Forest Park, gdzie zwykła spędzać poranki. Założyłam, że lubi to miejsce, bo zbiera się tam grupka pań w jej wieku, z którymi można poplotkować.

Nic bardziej mylnego. Przychodzi tam, szukając odosobnienia, by w spokoju wypalić kilka jointów. Kiedy podaje mi pierwszego, przez grzeczność się zaciągam, ale na tym koniec, bo muszę być w pełni ogarnięta.

- Mam raka - wyjaśnia, obserwując, jak sobie radzę z trawką. - Kiedy ostatnio paliłaś zioło?

- Ze dwadzieścia lat temu. - Spędziłam kolejną noc w tanim motelu, oczywiście innym niż ostatnio. I chociaż spałam osiem godzin, nadal czuję się znużona.

- Dobrze zachorować, nie? Dają ci receptę i możesz legalnie jarać. Mam to cholerstwo w cyckach.

- Co takiego? - pytam zaszokowana.

- Tam mam raka - wyjaśnia cierpliwie, jakbym była lekko upośledzona umysłowo. Rozpina bluzkę i zsuwa ramiączka stanika. - Szkoda, że mnie nie widziałaś w latach mojej świetności. Miałam małe cycuszki, ale bardzo jędrne. Wygrałam los na loterii, tak mi się przynajmniej wydawało. Oczywiście do czasu.

- Nadal wyglądasz dobrze - mówię i postanawiam nie zrobić tego, do czego próbuje mnie zmusić. Nie będę oglądała jej

biustu. Zbyt długo patrzyłam na agonię Seba. Wiem, jak drastycznie zmieniają się ciała chorych na raka. Oczekują od otoczenia pochwał i akceptacji, wiedząc równocześnie, że usłyszą kłamstwa. W ten sposób zamiast ukojenia pojawia się złość, wrogość, a czasami, co jeszcze gorsze, smutek i rezygnacja.

- Bo mam protezy. Widziałaś już jakieś? - Uderza się w klatkę piersiową i śmieje chrapliwie. Oprócz bluzki w kwiatki, wymiętych i bezkształtnych spodni jest ubrana w długi różowy płaszcz. Wygląda, jakby włożyła przed wyjściem to, co akurat znalazła na podłodze. Pewnie dlatego od razu wydała mi się sympatyczna. Po prostu bratnia dusza.

- Nie, ale nie muszę ich oglądać. Serio.

- Jak chcesz. Też powinnaś sobie załatwić receptę. Ten towar działa cuda. Szkoda, że odkryłam to dopiero przy raku. Ty możesz uniknąć tego błędu.

Ponownie proponuje mi jointa, ale zdecydowanie odmawiam. Już po pierwszym dymku zaczęłam kwestionować sens mojego istnienia i kto wie, co byłoby przy następnym.

- Mieszkam w Vancouver, tam nietrudno o receptę - wyjaśniam. - Wchodzisz do kliniki, wypełniasz papiery i oświadczasz, że masz częste napady paniki. I bum, dostajesz świstek, który upoważnia cię do zakupu leczniczej marihuany po bardzo rozsądnej cenie.

- Szczęściara. To co chcesz wiedzieć? Mam mało czasu, zabrali mi cycki, ale rak został i atakuje inne organy

- Czy podczas pobytu w Bejrucie poznałaś amerykańskiego fotografa Ryana Russo?

- Nigdy o nim nie słyszałam. Kiedy dokładnie był w Bejrucie?

- W latach siedemdziesiątych. Zbierał materiały do książki.

- Ja tam byłam w osiemdziesiątym drugim, przyjechałam tuż przed masakrą w obozach palestyńskich uchodźców. Widziałam tyle trupów... Nigdy tego nie zapomnę. Straszne, że

problem uchodźców znów jest aktualny. Ludzie uciekają z Syrii, Somalii, Jordanii. – Zaciąga się jointem i patrzy ironicznie na mijającą nas parę w średnim wieku. Kiedy ostentacyjnie marszczy nosy, pokazuje im środkowy palec.

Tak, właśnie to jest zaletą starości: wolno ci więcej, a właściwie prawie wszystko. Mogą ci naskoczyć.

– Szczerze mówiąc, wyjeżdżałam z Bejrutu jeszcze głupsza, niż byłam przed przyjazdem – podejmuje opowieść. – Miałam napisać cykl reportaży o uchodźcach, ale szczerze mówiąc, nie mogłam pisać bez emocji o takim bezmiarze cierpienia. Gdybym postanowiła tam zostać, musiałabym przyjąć postawę Libańczyków. Wmówić sobie, że cierpienie i śmierć są częścią istnienia. Że trzeba iść naprzód, nie oglądać się za siebie ani wokół siebie. Ja tak nie umiałam, być może Ryan Russo też nie dał rady. Naprawdę nigdy o nim nie słyszałam, a dwa lata omieszkałam w zachodnim Bejrucie i poznałam wszystkich zagranicznych korespondentów. Siedzieliśmy na kupie w hotelu Commodore. Słyszałaś o nim?

– Nie.

– No co ty? To znane miejsce spotkań wszystkich dziennikarzy i szpiegów.

– Szpiegów? – Zaraz, czy Kovaks nie wspominał, że w Bejrucie aż roiło się od szpiegów?

– No tak, trwała zimna wojna, ścierały się interesy, rozpuszczano mnóstwo fałszywych informacji. Nikt nikomu nie ufał, należało podchodzić z dystansem do każdej opowieści i raczej zastanowić się, czyj punkt widzenia reprezentuje opowiadający. Tak właśnie wyglądał wtedy Bejrut.

– Rozumiem. – W sumie Kovaks powiedział to samo, jednak ciekawe, dlaczego nie wspomniała o tym Dania.

– Przepraszam, chyba nie okazałam się zbyt pomocna. Powodzenia. – Uśmiecha się i daje do zrozumienia, że to koniec rozmowy. Kiedy odchodzę, cieszę się, że przynajmniej nie

pokazała mi środkowego palca.

Jej opowieść o szpiegach i intrygach rozbudziła moją wyobraźnię. Może to nierozsądne, ale pragnę odkryć wszystkie tajemnice, jestem jak ćma, która leci prosto w ogień. Nic dziwnego, bo jak się okazało, mam to po prostu w genach.

Rozdział czterdziesty trzeci

Autobus do Chicago jechał cztery godziny, może pięć. Powinnam pamiętać, ale działałam jak na autopilocie. Próbowałam czytać kupiony w antykwariacie „Paragraf 22”, ale nie umiałam dopatrzeć się sensu w żadnym zdaniu.

Zadzwoiłam do Lorelei i opowiedziałam wszystko, czego dowiedziałam się o matce. Nie uwierzyła, po prostu przerwała połączenie.

Zadzwoiłam ponownie, ale nie odebrała. Po dziesięciu minutach spróbowałam ponownie. Tym razem odebrała, być może nie wpadła na to, że zawsze można wyłączyć telefon.

- Była Arabką - mówię szybko. - Musiała uciekać z Palestyny, przed przyjazdem do Kanady mieszkała w Libanie. Powinnaś dodać tę informację do swojego profilu na stronie internetowej. Przecież jesteś cholernie dumna ze swojego wielokulturowego dziedzictwa.

- Ale z ciebie suka - komentuje, by ukryć zaskoczenie, że w ogóle wchodziłam na stronę, którą administruje. Pewnie, nie obeszły mnie nadęte gadki o ratowaniu planety ani protesty przeciwko budowie kolejnego rurociągu. Wzmianka o korzeniach to nowość, Lorelei przez wiele lat unikała tego tematu jak ognia. W prywatnych rozmowach często fantazjowała na temat ojca, ale nigdy nie wypowiadała się na jego temat publicznie.

Nie mogę jej podarować fantastycznych opowieści o fantastycznym ojcu, ale przynajmniej ustaliłam, kim była nasza matka.

- Nazywała się Sabrina Awad. Jeszcze przed ślubem przyjęła nazwisko taty, dlatego w naszych metrykach nie ma jej panińskiego nazwiska. Była Palestynką.

- Palestynką - powtarza Lorelei z namysłem.
- Przed przyjazdem do Kanady mieszkała w Libanie.
- Dlaczego przyjęła nazwisko taty jeszcze przed ślubem?

Mam ochotę powiedzieć, że prawdopodobnie przed kimś uciekała, ale Lorelei jest nadzwyczaj sceptycznie nastawiona do moich informacji i z miejsca by mnie uznała za zwolenniczkę teorii spiskowych.

- Może chciała sprawdzić, jak działają kanadyjskie urzędy albo po prostu dla draki.

- Hm...

- Lubiła się wygłupiać - odpowiadam spokojnie. Nie kłamię, właśnie tak opisała matkę Dania Nasri. - Miała...

- Muszę kończyć - przerywa mi Lorelei. Dawno nie słyszałam w jej głosie takiego zagubienia. - Teraz nie mam na to czasu.

- Chwila. Pamiętasz tego weterana wojennego, który wypytywał cię o rodziców? Jest niebezpieczny. Jeśli znów skontaktuje się z tobą...

Lorelei przerywa połączenie.

Przez chwilę zastanawiam się, co mnie popchnęło do tej rozmowy. Może wcale nie chodziło o matkę, może chciałam tylko dać znak życia. Cóż, jeśli pewnego dnia postanowi o mnie wspomnieć w swoim profilu internetowym, warto, by podała prawdziwe informacje.

Zrządę w duchu jak stara jędza, jestem tego świadoma, ale nic na to nie poradzę. Już na samą myśl o Lorelei budzą się najgorsze strony mojej osobowości. Może nadal mnie drażni jej pęd do przynależności, bezwstydnie jawne pragnienie, by odkryć, kim byli jej przodkowie. Powinnam podzielać to pragnienie, ale jest inaczej. Wiedza o pochodzeniu nie czyni cię słabym, tylko bezradnym i bezbronnym. Zacziesz szukać odpowiedzi na pytania, których nie masz odwagi zadać.

Starannie ukrywam ten pęd do odkrycia korzeni, wychodzi na jaw tylko wtedy, gdy śpiewam. Jak teraz, gdy nucę cichutko

w prawie pustym autobusie, jadąc do kobiety, która się mnie nie spodziewa. Mam złe przeczucia, a wtedy najlepsze do śpiewania i słuchania są piosenki Amy Winehouse.

Ze stacji autobusowej jadę na zamożne przedmieścia. Wzdłuż ocienionej drzewami ulicy stoją ładne i zadbane domy. Mieszkający tu ludzie najwidoczniej nic sobie nie robią z globalnego kryzysu, skoro wydali kupę kasy na dekoracje na Halloween. Pukam do domu na rogu, stojąc pod olbrzymimi czarnymi lampionami z diabelskimi rogami.

Otwiera mi przystojna siwowłosa kobieta. Ogląda mnie, zatrzymując dłużej wzrok na ciuchach i butach. Ani jedno, ani drugie nie spełnia jej wymogów estetycznych, ale jest zbyt dobrze wychowana, by pozwolić sobie na komentarz. To kobieta z klasą, tak samo jak Dania Nasri, zawsze przygotowana na niespodziewaną wizytę.

- O co chodzi? - pyta. - Przyszła pani po słodycze? Już wystawiłam torbę i ktoś ją zabrał.

- Glorio, przyszłam porozmawiać o Ryanie Russo.

Gloria Tate opiera się ciężko o framugę. Jest przerażona. Chociaż wystąpiła o zakaz zbliżania się prawie czterdzieści lat temu, nadal reaguje bardzo emocjonalnie.

- Co zrobił tym razem? Wrócił do Chicago?

- Mogę wejść?

- Tak, oczywiście. - Otwiera szerzej drzwi i prowadzi mnie do pokoju. Na stoliku do kawy stoi kilkanaście torebek ze słodyczami. - Przepraszam za bałagan, to na Halloween.

Siadam na brzegu kremowego fotela naprzeciwko kremowej sofy ustawionej na kremowym dywanie.

- To pani azyl? - pytam.

- Słucham? - Podchodzi do okna i zaciąga ciężkie białe zasłony.

Uświadamiam sobie, że mój żarcik był nie na miejscu. Gloria bardzo starannie ukrywa przed światem swoje sekrety

i zapewne tylko w tym domu czuje się bezpieczna.

- Czy Ryan... kogoś skrzywdził? - pyta cicho.

Nie dziwi mnie, że pyta właśnie o to. Musiał być brutalny, skoro postanowiła zgłosić sprawę na policję.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Jest w Chicago?

- Nie sądzę. Interesuje mnie, bo prawdopodobnie znał moją matkę, Sabrinę Awad. Spotkali się w Libanie. Chyba się go bała, ale nie wiem dlaczego.

Gloria nie potrafi opanować drżenia rąk. Znika w kuchni i po chwili wraca z dwoma kieliszkami białego wina. Ten, który mi podaje, odstawiam ostrożnie na stolik. Kieliszek wina jest dla mnie o wiele groźniejszy niż joint. Gloria opróżnia swój kilkoma długimi łykami. Podsuwam jej mój, który też szybko opróżnia. Jako była alkoholiczka od razu rozpoznaję u niej oznaki choroby alkoholowej. Bawi się pustym kieliszkiem i zastanawia, czy powinna mi zaufać. Dostrzegam moment, w którym strach wygrywa. Gloria odstawia kieliszek i wstaje.

- Przepraszam, muszę przygotować kolację. Mój mąż niedługo wróci z pracy.

- Przyjdę kiedy indziej.

- Nie mam czasu na rozmowy.

- Prędzej czy później znów się spotkamy. Mogę cię przecież śledzić. Tak jak robił Ryan Russo.

Zaczyna szarpać kołnierzyk bluzki, a potem drżącymi palcami zapina guziczki przy szyi. Jej reakcja świadczy, że wielokrotnie doświadczyła przemocy.

- To nie jest śmieszne - szepcze. - Ryan zamienił moje życie w piekło. Miał zakaz zbliżania się do mnie, ale wcale nie przestałam się bać. I wciąż miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi.

- Opowiedz mi o nim - proszę cicho i podchodzę bliżej. Nie dotykam jej, w takich sytuacjach należy unikać bezpośredniego

kontakty. Powinnam ją teraz zostawić samą, ale dotarłam za daleko, by zrezygnować, no i może wreszcie uda mi się zyskać cenne informacje. – Potem zostawię cię w spokoju – obiecuję.

– Miał na moim punkcie obsesję – szepcze. – Spotykaliśmy się ponad dwa lata. Byłam jego fizjoterapeutką.

– Po co pojechał do Libanu?

– Chciał napisać książkę o francuskim fotoreporterze, który tam zginął. Ryan bardzo go podziwiał. Podróż do Libanu sfinansował jego ojciec, który obiecał też pomoc przy publikacji książki. Gdy pewnego dnia Ryan wyszedł z wynajmowanego mieszkania w zachodnim Bejrucie, został porwany. Napastnicy go pobili, okradli i zostawili na ulicy. W drodze do domu przechodził obok samochodu-pułapki, to był mercedes. W wyniku wybuchu doznał poważnych obrażeń, miał oparzenia drugiego i trzeciego stopnia po prawej części ciała. Czekala go długa rehabilitacja.

– Został porwany i okradziony? Na pewno? – dopytuję się, bo tych faktów nie znalazłam w żadnym artykule.

– Tak, wiele razy mi o tym opowiadał.

– Czy wspominał o jakiejś kobiecie, którą poznał w Libanie?

– Tak. Spotykali się, ale podobno źle go oceniła i uciekła od niego.

– A konkretnie?

– Nie mam pojęcia, może myślała, że ją zdradził. Twierdził, że chciał tylko jej dobra. Była Palestynką, zamierzał jej pomóc w wyjeździe do Stanów. Sama nie wiem... Pewnie też się nabrała na jego gadki, bo Ryan potrafił być czarujący. Słuchałam jego opowieści z zapartym tchem, to był gotowy scenariusz filmowy. Nic więcej nie wiem. Idź już, proszę.

Byłoby mi przykro, że przestraszyłam i zdenerwowałam kobietę, która tak wiele przysła, ale grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo, a Nate, który zainkasował kulę przeznaczoną dla mnie, wciąż walczy o życie. Właśnie zbieram

się, by podziękować Glorii za poświęcony mi i czas, nawet przeprosić, gdy do pokoju wchodzi mężczyzna. Musi być po siedemdziesiątce, jednak emanuje nadzwyczajną witalnością i jeszcze czymś, czego nie umiem zdefiniować.

- Kochanie, wszystko w porządku? - zwraca się do Glorii.

Energicznie kiwam głową i przesuwam się w stronę drzwi.

- Przepraszam, że zakłóciłam państwu spokój. Pana żona przygotowała wspaniałe paczki ze słodyczami dla naszej organizacji dobroczynnej. Wpadłam, by jej osobiście podziękować - zmyślam na poczekaniu.

- Jest cudowna, zawsze myśli o innych. Frederick Halpern. - Energicznie ściska moją dłoń. - Proszę dać znać, gdyby państwo potrzebowali dodatkowego wsparcia. Coś zorganizuję.

- Uśmiech zamiera na jego twarzy, gdy zauważa dwa puste kieliszki po winie.

- Miłego wieczoru - żegnam się szybko.

W holu zerkam przelotnie na zdobiące ściany fotografie. Gloria i Frederick na wakacyjnych wypadach, zawsze uśmiechnięci, zawsze blisko siebie. Na jednym zdjęciu Frederick w miejscu pracy. Patrząc na nie i wreszcie potrafię zdefiniować, czym jeszcze emanuje ten mężczyzna. Kiedy mijam powiewające na werandzie czarne lampiony, odnoszę wrażenie, że szczerzą się wściekle, bo naruszyłam spokój pani tego domu. Cóż, to zapewne nie jest powód do dumy.

Powoli porządkuję w głowie wszystko, czego się dzisiaj dowiedziałam. Gloria zachowała panińskie nazwisko, a przecież dzięki temu było ją znacznie łatwiej namierzyć. Niesłusznie uznałam to za lekkomyślność. Ta kobieta znalazła sposób, by Russo już nigdy nie odważył się jej skrzywdzić.

Poślubiła sędziego.

Rozdział czterdziesty czwarty

Widzę jadący za mną samochód.

Kiedy skręcam, on również skręca.

Zatrzymuję się i zawiązuję sznurowadła.

Samochód zwalnia, a potem też się zatrzymuje.

Zaczynam biec, ale to ślepa uliczka zakończona niegustownym domem z lat pięćdziesiątych.

Samochód podjeżdża do krawężnika, Frederick Halpern opuszcza szybę i mówi:

- Wsiadaj.

Zastanawiam się, jak zareagować. Kiedy zatrzymuje się przy nas samochód lokalnego biura ochrony, Halpern macha do kierowcy i krzyczy:

- Cześć, Joe! Wszystko w porządku, to moja znajoma.

Kiedy wsiadam do samochodu Halperna, ochroniarz odjeżdża.

- Gloria ma problemy, przyznaję, ale nigdy mnie nie okłamuje - mówi Frederick i uśmiecha się do mnie. - Szukasz informacji o Rynie Russo? Dobrze trafiłaś. Chciałbym ci coś pokazać.

Jedziemy około dwudziestu minut. Nie znam Chicago, nie mam pojęcia, dokąd zmierzamy. Na razie musi mi wystarczyć, że siedzę na wygodnym fotelu w klimatyzowanym bmw. Zatrzymujemy się przed szeregowymi domkami w pobliżu niewielkiego centrum handlowego. Typowe przedmieścia wielkiego miasta. Halpern podaje mi komplet kluczy.

- Największy jest od wejścia do domu, mniejszy od mieszkania 309. Poczekam na ciebie na parkingu.

- Czyje to mieszkanie?

- Należy do Russo. Mniej więcej dziesięć lat temu Gloria

zobaczyła go w pobliskiej kawiarni, ale potem uznała, że coś jej się przywidziało. Na wszelki wypadek wynajęłam prywatnego detektywa. Russo sprzedał rodzinny biznes i zaczął inwestować na rynku nieruchomości. Głównie w Kalifornii, gdzie mieszka na stałe, ale czasami wpada do Chicago. Kazałam dorobić klucze do jego mieszkania. Wiem, że od czasu do czasu śledzi Glorię, ale nigdy nie złapałam go za rękę, nie mam żadnych dowodów. Uprzedziłam detektywa, że się zjawisz. Udanych łowów.

Bez słowa, wciąż oszołomiona, wysiadam z samochodu i wchodzę bez przeszkód do niewielkiego budynku. Niestety winda jest zepsuta, więc muszę skorzystać ze schodów.

Przed drzwiami z numerem 309 na chwilę zamieram.

A co, jeśli Russo jest akurat w domu? Ale jeśli nie wejdem do środka, będę musiała powiedzieć Frederickowi Halpernowi, że stchórzyłam, a takiej opcji nie ma. Tyle że może to być pułapka... Bzdura! Halpern nie miał pojęcia, że złożę wizytę jego żonie, więc nie miał czasu, by coś takiego zorganizować.

Na palcach wchodzę do mieszkania i przez chwilę nasłuchuję w ciemności. Cisza. Ośmielam się zapalić światło i nadal bardzo czujna, zwiedzam tę niezbyt przytulną klitkę. Jest prawie pusta, niewiele naczyń w kuchni, łóżko i szafka w pokoju. W szufladzie szafki nic nie ma, nie znajduję też żadnej skrytki. Robię kolejną rundkę po mieszkaniu. Chociaż tak skąpo umeblowane, wcale nie sprawia wrażenia opuszczonego. Ciekawe, kiedy Russo był tu ostatnio? Skoro wpada czasami do Chicago, wydaje się logiczne, że ma jakieś znajomości również w niezbyt odległym Detroit.

W szafce pod zlewem kuchennym stoi wiadro ze środkami czyszczącymi, foliowa torba pełna zużytych papierowych ręczników, pusta butelka po whisky i duża koperta. Jak dobrze, że przypomniałam sobie i zastosowałam naczelną zasadę Steviego Warsame'a: zawsze przeglądaj śmieci. Niezbyt

elegancka metoda, ale jakże skuteczna.

Korzystając z łazienki, odruchowo zamykam drzwi. Kiedy wychodzę, na łóżku w pokoju leży jakiś mężczyzna.

- Nie krzycz. - Powoli siada, trzymając kopertę, którą znalazłam w kuchni. - Jestem prywatnym detektywem, pracuję dla Freda Halperna. Poprosił, żebym się z tobą spotkał, bo szukasz informacji o Rynie Russo. Od lat próbujemy dopaść tego drania i wsadzić go za kratki.

- By Gloria wreszcie odzyskała spokój.

- Tak, Fred bardzo kocha żonę. Jestem Jeff Samson.

- Nora. - Nie wymieniamy uścisku dłoni. Szanuję mężczyzn, którzy nie naruszają prywatnej przestrzeni kobiet. Opieram się ciężko o ścianę, która niestety nie udziela mi emocjonalnego wsparcia. Przez chwilę mierzymy się z Samsonem wzrokiem. Wygląda jak żywcem wyjęty z hollywoodzkiej produkcji, jest zmęczony, a mimo to ma równie dużo wdzięku jak Sidney Poitier.

- Co masz na Russo, Nora? - pyta.

- O wiele za mało. - Opowiadam, czego dotąd się dowiedziałam. Samson wzbudza zaufanie, a skoro ściana nie udzieliła mi należytego wsparcia, muszę go szukać gdzie indziej.

- Tak, wszystko pasuje. Mam dług wdzięczności wobec Halperna, a jedyne, o co poprosił, to żebym miał oko na Russo. Śledzę tego gnoja od wielu lat. Jest ostrożny, ale ma dwie słabości. Hazard i morfinę. Kiedy dostaje mocno w dupę, wchodzi do nory i liże rany, a po jakimś czasie znów wychodzi na powierzchnię. Bezustannie powtarza ten cykl życiowy. Nie mam przy sobie notatek dotyczących jego pobytu w Bejrucie, ale mogę ci je przekazać.

- Nie trzeba. Powiedz, co z nich pamiętasz.

- Nie planujesz długiego pobytu w naszym pięknym mieście, co? Rozumiem. Siedziałem z nim kiedyś przy blackjacku

i obserwowałem, jak przegrywa fortunę. Przedstawiłem się jako weteran z Wietnamu, co zresztą jest prawdą. Zaczął opowiadać o Bejrucie, o bajzlu, w który pogrążało się to miasto. O tym, jak można było na boku zgarnąć sporą forszę, o ile miało się dostęp do cennych informacji.

- Był szpiegiem?

- Żaden wywiad nie zatrudniłby takiego dupka. Według mnie wpakował się w jakieś kłopoty i ktoś go szantażował. Wiem, że Sowieci rekrutowali takich żądnych przygód idiotów, podając się za pracowników innych wywiadów.

- Mogło chodzić o długi hazardowe?

- To najbardziej prawdopodobna wersja. Nawet nie pamiętam, od jak dawna śledzę facetów na polecenie ich żon. Jeżeli mąż nie zdradza, nie oszukuje ani nie ćpa, to na pewno jest hazardzistą.

- Seksistowskie uogólnienie.

- Szczera prawda. A Russo w dodatku jest głupi, chociaż uważa się za mistrza intelektu. Cokolwiek robił w Bejrucie, nie wyszło mu to na dobre. Wiem, że został tam ranny, ale nie dlatego nienawidził Arabów, według mnie chodziło o osobiste sprawy.

Jasne, ja też to wiem. W przeciwnym wypadku nie szukałby tak zajadle mojej matki.

- Nie zorientował się, kim naprawdę jesteś? - pytam.

- W życiu. - Samson wybucha śmiechem. - To zadufany kretyn. Lubi znęcać się nad kobietami i udawać ważnego twardziela.

- Ostro.

- Ale znów zgodnie z prawdą. Tacy ludzie nigdy się nie zmieniają. - Wstaje i podaje mi kopertę. - Widziałem setki takich niebezpiecznych gnojników.

Ja też. Dobrze wiem, jak mało niektórym wystarczy, by na zawsze utknąć w szambie.

- Kiedy siedziałem z nim przy stoliku do blackjacka, zachowywał się jak wariat. Gloria powiedziała, że próbował odstawić morfinę. Może i na jakiś czas mu się udało, ale gdy zaczął przegrywać, na pewno żałował, że nie ma przy sobie działki. Zaliczył prawdziwy odlot, gadał o współpracy z CIA, coraz bardziej się nakręcał. Aż strach pomyśleć, jak się zachowywał przy znajomych. Chociaż właściwie wiem, bo Freddie opowiedział mi o związku Russo i Glorii. Rozumiem, że czeka na najmniejszy pretekst, by wsadzić Russo za kratki, ale ty nie powinnaś się do tego mieszać. Po co ci to?

Już jestem zamieszana, myślę, ale na głos pytam:

- Doceniam twoją troskę. Czy to możliwe, że naprawdę pracował dla CIA?

- Bzdura, nawet on w to nie wierzył, ale, jak powiedziałem wcześniej, ktoś mógł go szantażować i żądać różnych przysług. Uważaj na siebie, Nora. - Podchodzi do drzwi i wychodzi, a raczej bezszelestnie znika. Porusza się jak kot albo wytrawny włamywacz, którym może kiedyś był. To dlatego nie słyszałam, jak wszedł.

Po powrocie na parking zastaję Halperna w samochodzie. Z zamkniętymi oczami słucha muzyki klasycznej. Od czasu do czasu bębni do taktu po desce rozdzielczej. Zastanawiam się, po co właściwie mnie tu przywiózł. Nie zamierzam pytać, nie ufam jego uśmiechom, tak jak nie ufam uśmiechom detektywa Sancheza i Brazuki. To tacy faceci, którzy dobrze wiedzą, jak korzystać z władzy.

Ja tego nie umiem, bo niby gdzie i jak miałam się nauczyć.

Prawie nie rozmawiamy w drodze na dworzec autobusowy. Wiem, że słuchamy Chopina, bo Seb też często słuchał jego muzyki, gdy myślał, że śpię. Chopin to ulubiony kompozytor Leo.

Zatrzymujemy się przed dworcem. Halpern wskazuje kopertę

i pyta:

- Wiesz, co tam jest?

- Wyniki morfologii. - Zdążyłam zerknąć do środka przed wizytą w łazience.

- Tak, pokazałem je zaprzyjaźnionemu lekarzowi.

- I co?

- Russo ma bardzo wysoki poziom kreatyniny i potasu.

Uśmiecha się jak drapieżnik, który złowił szczególnie smakowity kąsek. Muzyka ucichła, Halpern najwyraźniej czeka, aż skomentuję te rewelacje, ale nie jestem w nastroju na takie gierki.

- To znaczy, że wysiadają mu nerki i do końca swych dni powinien trzy razy w tygodniu chodzić na dializy. Myśli, że może bezkarnie terroryzować moją żonę? Nie, będzie umierał długo i boleśnie.

Halpern wciąż się uśmiecha, zachwycony wizją, jaką przed chwilą roztoczył.

Kiwam głową, by dać do zrozumienia, że wszystko zrozumiałam.

Wysiadając z samochodu, zostawiam kopertę na siedzeniu. Już jej nie potrzebuję.

Kupuję bilet na autobus do Detroit i siadam na twardej, niewygodnej ławce.

To była naprawdę dziwna i wyczerpująca noc.

Russo, tak samo jak Seb, pragnie przed śmiercią uporządkować wszystkie sprawy. Znaleźć kobietę, która najpewniej zniszczyła mu życie. Usunąć ludzi, którzy, tak jak ja, zbyt blisko się do niego brudnych sekretów.

Nic nowego pod słońcem.

Rozdział czterdziesty piąty

Wielu ludzi nie lubi szpitali z powodu charakterystycznego zapachu. Inni mdleją na widok krwi lub nie mogą patrzeć na schorowanych i umierających pacjentów. Ja trzymam się od tych placówek zdrowia na dystans, ponieważ nienawidzę czekać. Teraz właśnie siedzę przy łóżku Nate'a i marzę, by się wreszcie obudził. Chcę się z nim pożegnać, ale od kiedy tu przyszedłam, śpi jak suseł. Mam nadzieję, że dzięki temu szybciej wróci do zdrowia. Życzę mu tego z całego serca, bo ten mężczyzna nigdy mnie nie okłamał.

W sali jest mnóstwo kwiatów, do wielu wiązanek dołączono liściki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Nazwiska na bilecikach robią wrażenie i dowodzą, że Nate ma naprawdę imponujące kontakty w branży muzycznej. Takie, o jakich ja swego czasu mogłam tylko pomarzyć.

Opowiadam mu szeptem, czego się dowiedziałam o rodzicach i jak trudno będzie udowodnić, że ojciec nie popełnił samobójstwa. Zbliżam się do końca historii, gdy do sali wchodzi lekarz.

- Rodzina? - Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

- Tak. - W razie czego powiem, że jestem narzeczoną albo daleką kuzynką. - Wyjdzie z tego?

Waha się, rozważa, czy zniosę prawdę.

- Za wcześnie, by to stwierdzić. Jest bardzo osłabiony, stracił dużo krwi. Nie udało się zatrzymać krwotoku wewnętrznego i istnieje ryzyko zakażenia.

- Chwileczkę! - wołam, gdy zbiera się do wyjścia. - Mam jeszcze jedno pytanie. Mój przyjaciel został ranny w Afganistanie, poparzenia drugiego i trzeciego stopnia prawej części ciała. Jakie są rokowania?

- Tego typu obrażenia powodują poważną traumę i są bardzo bolesne. Pani przyjaciela czeka długa i mozolna rehabilitacja. Będzie również potrzebował fachowego wsparcia psychologicznego. Jeżeli ucierpiał w wybuchu, może źle reagować na ogień i głośne dźwięki.

- A czy myśli pan, że będzie w stanie normalnie funkcjonować? To znaczy płacić podatki, wyprowadzać psa, bawić się z dziećmi?

- Oczywiście - kłamie, uśmiechając się łagodnie.

- A jeśli już wcześniej, zanim został ranny, był niestabilny psychicznie? Na przykład śledził kobietę, na punkcie której miał obsesję?

Lekarz przestaje się uśmiechać, zasłania się kartą choroby Nate'a, bym nie widziała jego twarzy.

- W takim wypadku powinna pani sobie znaleźć innego przyjaciela. Do widzenia. - Wyślizguje się z pokoju.

Po raz kolejny przeglądam w telefonie artykuł o Rynie Russo. Wolę to niż patrzenie na Nate'a, bo jest mniej bolesne. Czytając kolejne akapity, przypominam sobie, czego nauczył mnie Seb. Jeżeli chcesz poznać prawdę, szukaj tego, czego nie napisali wprost, ale wokół czego krążą.

Muskam wargami policzek Nate'a. Tak bardzo chciałabym mu powiedzieć, ile dla mnie znaczyło wspólne śpiewanie. Chętnie bym z nim jeszcze posiedziała, ale moja obecność niewiele mu pomoże, a w szpitalu nie jestem bezpieczna. Zastanawiam się, czy zadzwonić do detektywa Sancheza i wszystko mu opowiedzieć, uwolnić się od tajemnic i grzechów, zwalić to na jego barki.

Po wyjściu ze szpitala wsiałam do taksówki. Kierowca od razu włącza muzykę, co trochę poprawia mi nastrój. Jadę do kasyna w Greektown. Przy wejściu ochroniarz patrzy na mnie sceptycznie, ale wpuszcza do środka. Jasne, nawet takim biedakom jak ja wolno przegrywać pieniądze. Krążę między

stolikami, obserwuję ludzi tracących sumy, jakich nigdy nie miałam na koncie. W pomieszczeniu brakuje okien, dzięki czemu gracze łatwiej tracą poczucie czasu.

Za mną energicznie maszeruje kobieta w czerwonej sukience. Idzie prosto do stolika dla graczy w blackjacka i z całej siły policzkuje jednego z siedzących tam mężczyzn. Facet mocno pociera czerwone policzki, ale próbuje ignorować rozwścieczoną kobietę. Jest zły, bo ona go rozprasza, a kiedy zaczyna płakać, odpycha ją brutalnie. Ochroniarz wyprowadza ją z kasyna, gracze udają, że nic się nie stało.

Ot, taka mała lekcja człowieczeństwa.

Wciąż zachodzę w głowę, dlaczego w artykule o Russo nie wspomniano, że został porwany i okradziony. Żaden dziennikarz nie pominąłby takiego smakowitego newsa, a zatem Russo nikomu nie opowiedział o tym nikomu z prasy.

Bomby wybuchwały wtedy w Bejrucie niemal codziennie, ale porwanie to co innego, tu nie ma przypadkowych ofiar, tylko wcześniej wybrane cele. Kto i w jakim celu to zlecił? Dlaczego Russo wolał zachować zdarzenie w tajemnicy?

Rozwiązanie tej zagadki przybliży mnie do prawdy.

Rozdział czterdziesty szósty

Brazuka niecierpliwie czeka, aż Lam skończy konferencję telefoniczną. Rozmówca Lama mówi w języku kantońskim, wyrzuca słowa szybko jak serie z karabinu maszynowego.

Coraz bardziej zniecierpliwiony Brazuka z udawanym zainteresowaniem ogląda meble w gabinecie przyjaciela. Dopiero dwa dni temu ustalił, że znów ktoś poluje na Norę. Obdzwonił wszystkie hotele w Detroit, ale bez skutku. Nora oczywiście nie odpowiada na jego wiadomości, zresztą na ogół ma wyłączony telefon. Zawsze trudno się z nią skontaktować, dlatego nie wiadomo, czy tylko go unika, czy wpadła w poważne kłopoty.

- Przepraszam - mówi Lam, gdy kończy rozmowę. - Mój ojciec znów wkroczył na wojenną ścieżkę.

- Czym go tym razem wkurzyłeś?

Lam przeczesuje gęste ciemne włosy, potem pociera kark. Na jego przegubie błyszczą platynowy zegarek.

- Chwała Bogu nie chodzi o mnie. Od kiedy poślubiłem kobietę, którą dla mnie wybrał, przestał się czepiać. Teraz czeka na wnuki.

- Twoja żona jest w ciąży? - Brazuka nawet nie zna jej imienia. Nigdy jej nie poznał, a Lam rzadko o niej wspomina. Istna żona widmo.

Lam krzywi się nieprzyjemnie i potrząsa głową.

- Jego jedyny wnuk umarł wraz z Clem - odpowiada twardo.

Brazuka rozsądnie nie ciągnie tematu. Lam jest wciąż zbyt rozgoryczony i zły, postrzega wszystko w ciemnych barwach. Nagle Brazukę dopada znużenie, ma dość życia i pracy. Gdyby nie obiecana okrągła sumka, zrezygnowałby z tego zlecenia. Chociaż akurat teraz nawet pieniądze nie wydają mu się warte

takiego wysiłku. Podaje Lamowi pendrive'a i mówi:

- Proszę, to mój raport. - Zamieścił tam najważniejsze informacje i zdjęcia, odtworzył łańcuch dostawców. Klub Lala Lair, Curtis Parnell w porcie, Hongkong i chiński gang Trzy Feniksy, który odegrał swoją rolę również przy sprawie Nory.

Lam uważnie czyta raport. Potem nalewa sobie drinka i duszkiem wypija. Przy drugim kieliszku przypomina sobie co prawda o Brazuce, ale zapomina, że przyjaciel jest alkoholikiem.

- W zeszłym roku, kiedy spotkaliśmy się z twoją przyjaciółką w tym górskim hotelu, pytała o Raya Zhanga, z którym mój ojciec robi interesy. Szukała wtedy zaginionej nastolatki.

Brazukę zdumiewa dobra pamięć Lama. Zapewne zapamiętał Norę również dlatego, że jego bogactwo nie wywarło na niej wrażenia.

- Tak. - Brazuka wpatruje się w stojący przed nim kieliszek, ale po niego nie sięga.

- Powiedziałem jej, że ochroniarz pracujący dla Zhangów ma powiązania z triadą.

- Tak, niejaki Dao. Pracował dla nich od lat.

Ray Zhang stał na czele bogatej i wpływowej chińskiej rodziny. To na ich polecenie porwano Bonnie, córkę Nory. Nora ją odnalazła, ale nikt nie wiedział, w jakich okolicznościach. Nikt oprócz Nory, Raya Zhanga i Dao, z tym że ci dwaj ostatni zniknęli. Brazuka nigdy nie wtajemniczał Lama w szczegóły tej historii, nigdy nie zdradził, że Kai Zhang był biologicznym ojcem Bonnie.

- Nikt nigdy nie pytał Raya Zhanga, co ma na sumieniu jego ochroniarz. A teraz już na to za późno, bo Ray nie żyje.

- Skąd wiesz, że nie żyje? Nikt go od roku nie widział, ale to jeszcze nie dowód.

Lam, zawsze do bólu szczery i prostoduszny, nagle waży słowa. Patrzy na zegarek, popija drinka i uśmiecha się bez

cienia wesołości.

- Słyszałem takie plotki. - Lam odwraca monitor laptopa w stronę Brazuki. Na zdjęciu widać rozebranego do pasa Chińczyka, który dumnie prezentuje tatuaże. - To Jimmy Fang, z Trzech Feniksów, powiązany licznymi interesami z Dao.

Brazuka znów czuje pulsowanie w skroniach. Nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Kiedy Nora przed rokiem szukała córki, naraziła się wpływowej rodzinie Zhang, a Dao, ich ochroniarz to bezwzględny zabójca z cennymi kontaktami w świecie przestępczym.

- Jesteśmy kwita? - Brazuka chce jak najszybciej zakończyć rozmowę.

- Tak, wielkie dzięki. Teraz sam się tym zajmę.

Brazuka już otwiera usta, by zapytać, co przyjaciel ma na myśli, ale dochodzi do wniosku, że wcale nie chce wiedzieć. Tak naprawdę ich przyjaźń przypomina raczej stosunek pracodawcy do zaufanego pracownika.

- Rano przeleję resztę pieniędzy - obiecuje Lam i zaczyna opowiadać o planowanej zemście na ojcu i narkotykowych dilerach, ale Brazuka go nie słucha. Bogaci i wpływowi ludzie mogą więcej, to oczywiste. Nie muszą walczyć o przetrwanie.

Co innego Nora. Jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, bo naraziła się ludziom powiązanych z triadą.

Brazuka bez słowa wychodzi, nie ma nic więcej do dodania. Noga za nogą człapie do samochodu. Jest nieludzko zmęczony i obolały po starciu z Parnellem, a także przygnębiony śmiercią Seba.

Tak bardzo chciałby zapomnieć o przeszłości. Wynająć domek w lesie, odciąć się od świata, nie spoglądać wciąż przez ramię. Porządnie się wyspać, wypróbować nowy teleskop. Tylko dlaczego mu się wydaje, że jeszcze długo nie zrealizuje tych marzeń?

Rozdział czterdziesty siódmy

Jeśli zamierzasz szybko wyjechać z kraju, musisz mieć paszport. To zasada numer jeden. Zapewne jest jeszcze kilka, ale ja ich nie znam, a niestety nie mogę zapytać matki. Musiała być mistrzynią, skoro tak skutecznie ukryła się przed Russo.

Przed domem Nate'a zastaję sporą grupę ludzi w odblaskowych pomarańczowych koszulkach. No jasne, jak mogłam zapomnieć, że jutro jest Halloween, a dzisiaj w mieście trwają przygotowania do Nocy Anioła.

Kilkoro nastolatków obserwuje, jak kręcę się wokół i rozważam, czy jeśli ukradnę pomarańczową koszulkę, uda mi się wejść do domu bez zwracania na siebie uwagi.

- Hej - mówi jedna z dziewczyn i podaje mi koszulkę. - Możesz się przyłączyć do naszej grupy.

- Dzięki, czekam na przyjaciela - odpowiadam, ale wkładam koszulkę.

- Dobra, no to powodzenia. Uważaj na siebie, w mieście już doszło do kilku poważnych incydentów - żegna mnie z uśmiechem.

Czekam około dwudziestu minut. Kolejne grupki ruszają sprzed domu, obok przejeżdża rowerzysta, a z zamocowanych na rowerze głośników płynie muzyka. Dopiero po chwili do mnie dociera, że to piosenka, którą nagrałam z Nate'em. Ostatnio słuchałam jej w piwnicy tego domu, a mężczyzna, którego głos porusza mnie do głębi, trzymał mnie w ramionach.

Trochę roztrzęsiona wchodzę niepostrzeżenie do domu.

Drzwi do piwnicy zostały usunięte. Nie ma tu mojego plecaka, nie ma też gitar i sprzętu nagraniowego Nate'a, na szczęście został jeden fotel.

Czekam kolejne godziny, aż dom się wyludni i będę się mogła spokojnie rozejrzeć.

Tylnym wejściem, które sforsowałby nawet amator, wchodzę na piętro, do sypialni. To musi być pokój Kevina, bo na ścianach wiszą zdjęcia Malcolma X i Assaty Shakur. Trochę groteskowe w tym kontekście wydają mi się książki, które leżą na biurku. „Władca Pierścieni” i „Gra o tron”. Nigdy nie byłam fanką fantastyki, według mnie rzeczywistość jest wystarczająco straszna.

Odnajduję plecak w szafie. Na szczęście ludzie, którzy nie ufają policji, są bardzo przewidywalni. Wiem, bo też do nich należę.

Wyjmuję paszport i chowam portfel. Gdy szykuję się do wyjścia, z głębi domu dobiega jakiś hałas. Cholera, nie bardzo jest się gdzie ukryć, szafa odpada, to pułapka. Słyszę kroki na schodach, potem zapada cisza. Wybieram numer detektywa Sancheza, wyciszam głos i wsuwam komórkę do kieszeni.

Do pokoju wchodzi uzbrojony mężczyzna w bluzie z kapturem. Energicznie otwieram drzwi do pokoju, uderzając mocno napastnika. Krzyczy, odruchowa łapiąc za framugę. Ściskam drzwiami jego palce tak długo, aż upada na plecy, wciąż wyjąc z bólu. Zabieram pistolet i z całej siły kopię faceta w klatkę piersiową. Z następnego pokoju wybiega drugi uzbrojony mężczyzna. Szarpię go za rękę i mocno kopię w krocze. Spada ze schodów, a za nim pistolet. Na dole szybko podnoszę broń, niestety facet łapie mnie za kostkę. Tracę równowagę i upadam.

Obracam się i celuję w faceta na szczycie schodów. Wciąż leżę na podłodze, ale przynajmniej jestem uzbrojona. Drugim pistoletem celuję w faceta na schodach. Na nosie wciąż ma opatrunek, to mój dobry znajomy z motelu. Ten sam, który postrzelił Nate'a. Chętnie bym go zabiła, ale najpierw muszę poznać odpowiedzi na kilka ważnych pytań.

- Czy to Ryan Russo? - pytam.
- Kto taki? - Chyba jest zbyt obolały, by kłamać.
- Kto cię wynajął?
- Ja nie słucham niczyich rozkazów, suko.
- Czyżby?

Podnoszę się, klękam przy nim i przystawiam mu lufę do głowy. Jestem spokojna, jak zawsze, gdy trzymam broń. Cóż, kiedyś byłam z nią bardzo zaprzyjaźniona.

Przez jakiś czas po ukończeniu szkoły średniej mieszkałam u Wallace'ów. Pan domu był wielbicielem whisky z Tennessee, westernów i broni palnej. Miał naprawdę niezłą kolekcję. Dużo wtedy strzelałam, naprawdę byłam w tym dobra, bo przecież praktyka czyni mistrza.

- I co? - śmieje się facet, którego trzymam na muszce. - Strzelaj, no już, to nie może być gorsze niż życie w tym pieprzonym mieście. - Mówi serio, widzę to w jego oczach. Ten dzieciak ze złamanym nosem i złamaną nogą wcale nie boi się śmierci. Jego przyjaciel na górze powoli gramoli się z podłogi.

Pragnienie zemsty jest przez moment silniejsze niż zdrowy rozsądek. To przez tych przegranych gnojków Nate walczy o życie.

Nagle przypominam sobie twarz ojca. Jego spokojny uśmiech.

Nie mogę pociągnąć za spust.

- Mam nadzieję, dupku, że warto było tak cierpieć za piętnaście kawałków.

Szybko wybiegam z domu. Pamiętam, jak się obruszyłam, kiedy Sanchez wspomniał, że właśnie za tyle można w Detroit wynająć cyngla.

Piętnaście tysięcy dolarów to naprawdę niezbyt imponująca suma.

Rozdział czterdziesty ósmy

Moja komórka znowu padła. Nie wiem, czy detektyw Sanchez usłyszał przynajmniej fragment mojej rozmowy z zakapturzonym młodzieńcem, ale to właściwie bez znaczenia. Najważniejsze, by jak najszybciej stąd zniknąć.

- Na sąsiedniej ulicy wybuchł pożar! - krzyczy ktoś za mną, gdy biegiem mijam kolejną grupkę nastolatków w neonowych koszulkach.

Czuję swąd i przez chwilę mi się wydaje, że jestem w Vancouver. Księżyc w pełni oświetla mi drogę lepiej niż uliczne latarnie. Słyszę zawodzenie wozów straży pożarnej i karetok pogotowia. Najsensowniej byłoby pobiec w stronę dużego skupiska ludzi, więc oczywiście tego nie robię. Nie bardzo wiem, co zrobić z bronią, którą zabrałam napastnikom.

Żałuję, że nie ma przy mnie Sapki. Ludzkie towarzystwo chwilowo mi obrzydło. Ale suczka pociesza teraz Leo, o którym wolę nie myśleć. Będzie chciał porozmawiać ze mną o Sebie, nie uniknę tego.

Ilekróć zauważam kłęby dymu i ludzi w neonowych koszulkach, ruszam w przeciwną stronę. Kiepski plan, ale trudno mnie za to winić, przecież nie znam miasta. Zatem jedyną strategią jest ucieczka, a ja właśnie tak postępuję, odkąd tu przyjechałam. Albo biegam w kółku, albo kończę w ślepej uliczce.

Wkrótce nie mam dokąd uciekać.

Po lewej stronie chodnika rozciąga się połać dawno niekoszonego zielska. Po prawej stoi jakiś niszczący niski budynek. To koniec ulicy, a ja zaczynam żałować, że tak bardzo oddaliłam się od cywilizacji. Jestem wyczerpana, adrenalina już mnie nie pobudza do działania, zaczynam drżeć.

Pod najbliższą latarnią dostrzegam jakąś postać. Zatrzymuje się, patrzy prosto na mnie. To może bez znaczenia, ale lepiej nie sprawdzać. Marzę, by wejść do jakiegoś pomieszczenia, poczuć pod plecami twardą ścianę. Budynek po prawej nie wydaje się bardzo stary. Muszę się na chwilę gdzieś schować, uspokoić i zebrać myśli.

Drzwi stoją otworem. Wślizguję się do środka i szybko je zamykam. Zatrzymuję się w przestronnym holu, z którego prowadzi dwa korytarze.

Po kilku sekundach błogosławionej ciszy w bardziej oddalonym korytarzu rozlegają się kroki. Zatem budynek wcale nie jest opuszczony.

- Kto do cholery zamknął drzwi? - krzyczy ktoś ze złością.

To młody i sfrustrowany facet. To zadziwiająco, ile można wychwycić z ludzkiego głosu, nasłuchując w kompletnych ciemnościach i z duszą na ramieniu. Ktoś mu mrukliwie odpowiada, że przecież tylne drzwi są nadal otwarte. Biegnę do wyjścia, modląc się, bym okazała się szybsza od tych facetów, by udało mi się dotrzeć do tylnych drzwi przed nimi. Jeszcze przed chwilą marzyłam o czterech ścianach, teraz pragnę wydostać się z pułapki. Nie zamierzam bawić rozmową gnojków, którzy przygotowują się do Nocy Diabła.

Tę przerażającą tradycję zapoczątkowały rasistowskie ataki, tak groźne i brutalne, że w trzech przypadkach wysłano na ulice wojsko. Najgorsze pod tym względem były lata osiemdziesiąte. Władze miasta zainicjowały akcję nazwaną Noc Anioła, która miała zapobiec licznym podpaleniom, kradzieżom i aktom wandalizmu. Jednak instynktownie czuję, że młodzieńcy w tym domu szykują się do mniej pokojowych działań.

W drodze do tylnych drzwi uderza mnie w nozdrza jakiś intensywny zapach. Dziwne, że nie od razu rozpoznałam smród benzyny. Odwracam się, zdecydowana wyjść drzwiami, którymi

tu weszłam. Są zamknięte. Walę w nie pięściami i wrzeszczę, co sił w płucach:

- Pomocy! Pali się!

Trochę to pozbawione sensu, bo przecież właśnie o to im chodzi, prawda? To ma być kolejny pożar na cześć Nocy Diabła.

Nikt nie przybiega na ratunek. Przestaję walić w drzwi i właśnie zamierzam się wycofać w głąb korytarza, gdy słyszę, jak Ryan Russo mówi:

- Siemanko, Nora.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

W korytarzu nic nie widać, panuje absolutna ciemność. Właśnie tak wygląda moje życie, mogłabym pomyśleć, gdybym co tydzień czytała horoskopy i lubiła tanie metafory. Potykam się o coś, chyba o kanister z benzyną.

Wiem, że Russo też mnie nie widzi, przecież nie jest sową. Mimo to czuję na sobie jego wzrok. Odbezpieczam broń, co oczywiście musiał usłyszeć.

- Chyba nie zamierzasz strzelać? - mówi Russo. - Te dzieciaki nie tylko wylały tu morze benzyny, ale też podpaliły piwnicę. Wystarczy iskra, a wylecimy w powietrze. Może lepiej odłóż broń i pogadajmy.

- A może stąd wyjdziemy? - proponuję. - Umówimy się na kawę? Masz czas w przyszłym tygodniu?

- Jasne, jestem wolny jak ptak.

- Dużo czasu pochłania ci śledzenie kobiet?

- Zabawne, że o tym wspominasz. Ostatnio dużo myślałem o twojej matce. - Słyszę, że podchodzi bliżej, ale nadal go nie widzę. - Kobietom bardzo trudno rozpocząć nowe życie. Są takie emocjonalne.

- Ale niektóre wściekłe suki mogą być niebezpieczne.

- Żebyś wiedziała. Widziałem, jak odwiedzasz Danię Nasri. Dowiedziałaś się o matce ciekawych rzeczy, co? O tym, kim była. Masz może pojęcie, gdzie jest teraz? - pyta słodko.

Mówi jakoś inaczej niż w Vancouver. Wtedy wydawał się zagubiony, niepewny siebie. Jednak gdy teraz wspomniał moją matkę, słyszę czystą nienawiść.

- Moja matka? Która porzuciła dwie malutkie córki?

Nagle doznaję olśnienia. Zupełnie jakby ktoś walnął mnie z całej siły w żołądek.

Kiedy Russo wypytywał mnie w Vancouver o ojca, sprowadził mnie na fałszywy trop. Zbierałam informacje o przebiegu wojskowej służby ojca. Rozważałam różne teorie spiskowe, a tymczasem to o wiele prostsza historia. Sam Watts pokochał niewłaściwą kobietę. W jego życiu nie było żadnych tajemnic. Służył w wojsku, a potem próbował sobie ułożyć życie w cywilu. Kochał żonę, był dobrym ojcem i człowiekiem. Przeprowadzał staruszki przez jezdnię i pomagał sąsiadom remontować domy.

To nie jego przeszłość powinnam oglądać przez lupę. Chodziło o matkę.

- Skontaktowałeś się ze mną w Vancouver, bo wiedziałeś, że zacznę grzebać w życiorysie ojca. - W prawej ręce trzymam broń, lewą sunę po ścianie, wzdłuż której powoli, na palcach, przesuwam się w stronę niestety nadal niewidzialnych drzwi.

- Skądże. Chciałem sprawdzić, czy mamusia utrzymuje kontakt z kochanymi córeczkami. Wtedy w parku improwizowałem i szybko zrozumiałem, jak łatwo cię sprowokować do działania. Zaczęłaś zadawać różnym ludziom mnóstwo pytań. To woda na mój młyn. Pomyślałem, że może przy okazji dowiem się czegoś nowego o tej dziwce, o ile jeszcze żyje.

Ilekcroć słyszę słowo „dziwka”, odczuwam to jak siarczysty policzek. Teraz jednak skupiam się na gadce Russo, w której coś mi nie pasuje.

- Skoro nie miałeś nic do ukrycia w związku z samobójstwem mojego ojca, to po co wynajmowałeś tych zbirów?

- O czym ty do diabła mówisz?

Nie odpowiadam. Russo wydaje się naprawdę zdziwiony. Skoro tak, to kto próbuje mnie zabić?

Zastanowię się nad tym później, bo swąd zaczyna mnie drapać w gardło. Russo mnie nie okłamał, w tym budynku podłożono ogień. Te młode dupki pewnie będą oglądać swe

dzieło, oczywiście z bezpiecznej odległości. Nie ma szans, by usłyszeli moje wołanie o pomoc, zresztą i tak najpewniej by je zignorowali.

A może Ryan Russo, po traumatycznych przeżyciach w Bejrucie, wciąż boi się płomieni?

Wykorzystuje moje milczenie, by podejść bliżej. Jeżeli chcę przeżyć, powinnam trzymać język za zębami, ale nie potrafię się powstrzymać. Zaszłam za daleko, by teraz zrezygnować. Właśnie gdy postanowiłam opuścić to zapomniane przez Boga i ludzi miasto, odnalazł mnie facet, który znał odpowiedzi na interesujące mnie pytania.

- Zacząłeś szukać mojej matki, kiedy byłam dzieckiem. Zobaczyłeś ją na zdjęciu z wesela Danii Nasri, a potem pojechałeś za nią do Winnipeg. Dlaczego tak późno? - To prawda, pojechał do Kanady mniej więcej rok po rozmowie z Danią - No jasne, jako ćpun nie byłeś w stanie tego szybciej ogarnąć.

- Byłem w rozsypce. Wiesz., jak leczy się ciężkie poparzenia? - pyta ze złością. - Wsadzają cię do wanny, czyszczą rany i na żywca usuwają spaloną skórę. To największy ból, jakiego kiedykolwiek doznałem. Owszem, nie miałem dość sił, by rozprawić się z suką, chociaż wiedziałem, gdzie jej szukać. Mój błąd. Założyłem, że będzie spokojnie siedzieć na dupie.

- A podobno świetnie ją znałeś?

- Nie sposób dobrze poznać żadnej kobiety.

- Ciekawe spostrzeżenie. Dlaczego tak bardzo nienawidzisz mojej matki? Bo wiedziała, że przez długi hazardowe wpakowałeś się w kłopoty? Może byłeś winny pieniądze ludziom, którzy w zamian poprosili cię o kilka przysług. Dla kogo pracowałeś w Libanie? Dla Sowietów? Trwała zimna wojna. - Mówię z coraz większym trudem. Gardło tak mnie boli, jakby ktoś szorował je papierem ściernym. Russo swąd tak bardzo nie przeszkadza, może po prostu lepiej znosi ból.

- Zimna wojna nigdy się nie skończyła, zmieniło się tylko pole bitwy - mówi na pozór spokojnie, ale wiem, że wytrąciłam go z równowagi. Wydaje się mniej pewny siebie i znów trochę zagubiony.

Dociera do mnie, że jego nienawiść do mojej matki ma znacznie głębsze podłoże, niż założyłam. Nie chodziło o kolejną sprzeczkę kochanków.

- Zobaczyła coś, czego nie powinna widzieć - zgaduję.

Nie zwleka z odpowiedzią, oboje mamy świadomość, że nie zostało nam dużo czasu. Mój być może dobiegnie końca w tym domu, jego los jest zapisany w wynikach badań, które podał mi na tacy mąż Glorii.

Przez chwilę odnoszę wrażenie, że mnie wyśmieję, ale zaczyna mówić tak szybko, jakby czekał na taką okazję całe życie. Sekrety wywołują u każdego wewnętrzny konflikt. Jakaś część osobowości nieustannie popycha nas do ich ujawnienia.

- Była pokojówką i sprzątaczką, wiedziałaś? Co tydzień sprzątała mieszkanie wynajmowane przez pewnego Amerykanina, którym interesowali się Rosjanie. To był taki azyl CIA. Rosjanie chcieli mieć dostęp do lokalu, uważali, że sprzątaczką prędzej wpuści do mieszkania Amerykanina niż Rosjanina. Nasze spotkanie miało wyglądać na przypadkowe. Sabrina mi się spodobała, ja jej chyba też. Chciała podszkolić angielski, więc zaczęliśmy się spotykać, czasami w tym mieszkaniu. Tak, mieliśmy romans, jeśli jesteś ciekawa. Pewnego dnia zauważyła, że... coś tam zostawiam.

Tak, to wtedy matka poznała drugą twarz tego mężczyzny i zrozumiała, jak bardzo ją oszukał i wykorzystał.

- Coś? Pluskwę?

- Nie wiem, jak się tego wszystkiego domyśliła. Również tego, że nasze pierwsze spotkanie wcale nie było przypadkowe. Tydzień później zostałem porwany.

- W drodze do kasyna? - Samson powiedział, że hazardziści

są przewidywalni. Moja matka też o tym wiedziała.

- To nie przypadek, że mnie porwali. Musieli mnie śledzić. A kto im nagrał sprawę? Twoja mamusia. Okradli mnie i wyrzucili Bóg wie gdzie z jadącego samochodu.

- I właśnie na tej ulicy wybuchła bomba.

W korytarzu coraz trudniej wytrzymać. Jest tak gorąco, że najchętniej zrzuciłabym ciuchy i na golasa pobiegła do wyjścia. Może uda się wybić któreś okno? Jednak chęć poznania całej prawdy okazuje się silniejsza.

- Nie doceniłem twojej matki. Okazała się sprytniejsza, niż zakładałem. Nie wiem, kim byli napastnicy, ale też niespecjalnie mnie to obchodziło. Nocą wszystkie smoluchy są takie same. Nie wolno im ufać. - Oddycha coraz ciężiej. Może brakuje mu tlenu, a może coś go boli.

Nie po raz pierwszy ktoś mnie jawnie obraża, ale po raz pierwszy ktoś wyraża się pogardliwie o pochodzeniu mojej matki. Nie jestem zdziwiona, daleko mi do pierwszej naiwnej.

- Przechytryła cię. Byłeś na nią wściekły, więc zabiłeś mojego ojca.

Russo przez chwilę milczy. Chyba próbuje się uspokoić. Słyszę, jak się przesuwają, ale tym razem dalej ode mnie.

- Posłuchaj, to był wypadek. Przyszedłem pogadać o twojej matce. Była mi winna pieniądze, prawda? Chciałem odebrać to, co ukradła. Miał strzelbę. Kiedy zaczęliśmy się szarpać, wypaliła.

Już się nie boję, jestem coraz bardziej wściekła, bo wiem, że mnie okłamał.

- Zastrześliś go ze swojej broni i upozorowałeś samobójstwo.

Rozmawiając z nim, trochę zmyślałam, tworzyłam teorie, których nie mogłam udowodnić. A jednak okazały się prawdziwe.

Nie mam ochoty słuchać dłużej o zimnej wojnie, bombach

w Bejrucie, szpiegowskich aferach i podobnych bzdetach. Czy matka miała wystarczający powód, by opuścić rodzinę? Nagle przestaje mnie to obchodzić.

Ojciec to co innego. Zginął, bo jego żona zadała się w Libanie z niewłaściwym facetem. Z facetem, który pozbawił mnie i siostrę domu rodzinnego, co na zawsze odcisnęło na nas piętno. Nie, tylko na mnie. Lorelei się pozbiierała i zaczęła normalnie żyć. Unika kontaktu ze mną, bo jestem duchem z przeszłości, o której postanowiła raz na zawsze zapomnieć. Ja nie potrafię.

- Skąd miałem wiedzieć, że porzuci rodzinę? Sama widzisz, jaką suką była twoja matka. Wiesz, czego się kiedyś najbardziej bałem?

Próbuję oddychać przez rękaw koszuli. Dym tak szczypie w oczy, że najchętniej bym je zamknęła.

- No więc kiedyś najbardziej bałem się ognia. Nawet zimą nie stawałem blisko ogniska - mówi tak spokojnie, jakbyśmy siedzieli przy herbatce. Matko, jak to możliwe, przecież zaraz żywcem się usmażymy. - Ale teraz odczuwam tylko ulgę. Może to wszystko powinno się skończyć już w Bejrucie.

Moje obawy przybierają realny kształt, to już panika. On nie zamierza wyjść z płonącego domu, spędzić reszty życia na dializach, cierpiąc potworny ból. To jego ostatni przystanek. Może gdybym mu powiedziała, gdzie teraz przebywa moja matka, pozwoliliby nam wyjść. Nadal miałyby coś do zrobienia.

Słyszę, że znów się do mnie zbliża. Odwracam się plecami, ale wtedy łapie mnie za poję kurtki. Jest o wiele silniejszy, niż przypuszczałam. Upadam, pistolet, który trzymałam w ręku, toczy się po podłodze. Czuję, jak w ramię wbijają mi się palce Russo.

Ma broń, którą przystawia mi do głowy. Tak jak przed laty mojemu ojcu.

- Powiedziałaś, że dom wyleci w powietrze - chrypię

i zanoszę się kaszlem. Zimna stal przy skroni przyjemnie chłodzi twarz.

- Kłamałem - szepcze wprost do mojego ucha. - Miałem nadzieję, że matka spróbuje cię uratować. Niestety twój los najwidoczniej jej nie obchodzi.

Wybucham śmiechem. Wyciągam z kieszeni spodni drugi pistolet.

- Wieczny przegrany, co? Zupełnie jak ja. - Mogę już tylko szeptać, ale wiem, że usłyszał i nie zdobędzie się na zaprzeczenie. Myśli o sobie tak samo.

Kopie mnie w rękę dokładnie w momencie, gdy pociągam za spust.

Rozlega się ogłuszający huk, na ramiona opadają mi kawałki walącego się sufitu. Próbuję się odczołgać, ale brakuje mi powietrza. Nie widzę Russo, ale to już nieważne. Muszę się stąd wydostać.

W momencie, gdy przed oczami staje mi uśmiechnięta twarz ojca, słyszę nad głową kolejny huk.

A potem wszystko się wali.

Rozdział pięćdziesiąty

Brazukę martwi ilość wypitej kawy. Powiniennem pozostać przy kombuczy, myśli smutno. Z drugiej strony trochę mu szkoda wydawać tyle kasy na sfermentowany napój, chociaż teraz jest przecież bogaty i stać go na każdą fanaberię. W drodze na lotnisko po raz kolejny próbuje dodzwonić się do Nory. Nie udaje mu się zostawić wiadomości, jej skrzynka pocztowa jest przepełniona. Pisze więc SMS-a, ale i tym razem nie otrzymuje żadnej odpowiedzi.

Pod wpływem nagłego impulsu skręca do Richmond i zatrzymuje się przed okazałym domem. W środku pali się światło, przez zasłony widać jakieś sylwetki. Otwiera mu facet w eleganckiej koszuli i spodniach. Gęste ciemne włosy opadają mu na brwi.

- O co znów chodzi? - pyta ze złością.

- Przyjechałem do Grace. Jesteśmy przyjaciółmi - wyjaśnia zdziwiony Brazuka.

- Przepraszam, myślałem, że pan jest gliniarzem. Czasami pozory mylą. - Otwiera szerzej drzwi. - Grace nie wspomniała, że zaprosi również przyjaciół, ale proszę wejść.

Grace obserwuje ich z kanapy w salonie. Otacza ją grupka ludzi, prawdopodobnie krewnych. Uśmiech na jej twarzy powoli zamiera. Przeprasza wszystkich, podchodzi do Brazuki i bezceremonialnie wypycha za drzwi.

- Miło było poznać - krzyczy mężczyzna, który wpuścił go do środka.

- To twój chłopak? - pyta Brazuka, kiedy zostają sami.

Grace mruży oczy i opiera dłonie na biodrach. Dzisiaj jest ubrana w sukienkę, która leży na niej jak ulał. Żadna tam seksowna szmatka z garderoby siostry.

- Śledzisz mnie? - pyta.

- A skąd. Wyjeżdżam na trochę i chciałem, żebyś to dla mnie przechowała. - Oddaje jej pendrive'a, którego mu kiedyś wcisnęła.

- To moje badania?

- I mój raport na temat śmierci twojej siostry. Chciałaś poznać prawdę.

- Tak. Chyba... Okropnie wyglądasz.

- Miałem kilka ciężkich dni.

- Ja też byłam zajęta. Wreszcie udało mi się posegregować rzeczy siostry. Dzisiaj świętujemy nową posadę mojego chłopaka. Jest prawnikiem.

- Aha. - Brazuka z zainteresowaniem ogląda jej pierścionełk zaręczynowy. - Nie widziałem go wcześniej, a szkoda.

- Bo go nie miałam. Po śmierci siostry nie zerwaliśmy ze sobą, ale przestaliśmy się spotykać. Potrzebowałam czasu, by zostawić za sobą przeszłość, ale on nie chciał dłużej czekać. Wczoraj się oświadczył.

- Gratuluję.

- Szczerze?

- Jak najbardziej.

- Zadałeś sobie wiele trudu, by ustalić, kto zaopatrywał moją siostrę w narkotyki. - Grace wzdycha i oddaje Brazuce pendrive'a. - Tylko tak naprawdę po co? Nic nie zwróci jej życia. Brała narkotyki, by poprawić sobie nastrój. To nie wyjaśnia, dlaczego w ogóle ich potrzebowała i dlaczego nie poprosiła nikogo o pomoc.

- A wysłuchałabyś jej?

- Może tak, może nie. Już nigdy się nie dowiemy. Jon, muszę już iść. Dzięki za... - Nagle traci wątek i milknie, jakby nie była w stanie sobie przypomnieć, za co powinna mu podziękować.

- Uważaj na siebie.

- Ty też. - Muska wargami jego policzek i znika w środku.

Brazuka jeszcze przez chwilę patrzy na oświetlone okna, potem jedzie na parking przy lotnisku. Dzisiaj chmury zasłaniają i księżyc, i gwiazdy, więc nie ma na co popatrzeć. Może to i lepiej. Niedługo ma lot do Detroit z przesiadką w Atlancie, ale nie rusza się z samochodu.

Zerka na wyświetlacz dzwoniącej komórki. Kierunkowy Toronto, a to przecież blisko Detroit. Czyżby Nora postanowiła oddzwonić?

- Halo? - prawie szepcze młoda kobieta,

- Tu Brazuka.

- Hm, nie wiem, czy pan mnie pamięta. Spotkaliśmy się w szpitalu, w którym leżała moja mama... to znaczy Nora. Dał mi pan wizytówkę. Miałam zadzwonić, gdybym sobie coś przypomniała, no wie pan...

- Tak, o ludziach, którzy cię porwali.

- No i właśnie sobie przypomniałam. Tatuaż. Widziałam na jego ramieniu. Na ramieniu mojego...

- Rozumiem. Chodzi o Zhanga. - Brazuka wcale się nie dziwi, że Bonnie ma opory, by nazywać tego człowieka ojcem. - Co to był za tatuaż?

- Szpon. Mogę panu przesłać rysunek.

- Poproszę.

- I jeszcze coś. Ten drugi facet, łysy, który mnie czasami pilnował...

- Dao.

- Tak, Dao. Kiedy zobaczył ten tatuaż, wpadł we wściekłość. Strasznie krzyczał. Tak jakby Kai nie miał prawa nosić takich tatuży.

- Dobrze, że sobie przypomniałaś.

- I jeszcze coś. Martwię się o Norę. Zawsze przesyła mi zdjęcia Sapki, a tym razem zrobiła selfie. To trochę dziwne. Mam złe przeczucia.

- Na pewno nic jej nie jest.

- Skoro jest pan detektywem, mógłby pan ją odszukać? Nie odpowiada na moje telefony.

- Jestem już na zasłużonej emeryturze, kochanie.

- Proszę mnie tak nie nazywać. Zapłacę.

W ubiegłym roku Bonnie długo dochodziła do siebie. Porwał ją ojciec, którego nigdy wcześniej nie widziała. A gdy już była wolna, poszła odwiedzić Norę, która odzyskiwała i traciła przytomność i na ogół gadała od rzeczy. Kiedy zrozpaczona Bonnie wyszła z pokoju, Lynn i Everett, jej przybrani rodzice, otoczyli ją ramiona i płakali razem z nią. Nora jej nie poznała. To właśnie wtedy Brazuka dał jej swoją wizytówkę.

- Nieważne, znajdę kogoś innego - mówi Bonnie buńczucznie.

Kiedy przerywa połączenie, Brazuka wpatruje się w przesłany przez nią rysunek. Szpon, z którego skapują krople, zapewne krwi.

To mogłoby być ogniwo łączące Triple 9 z Parnellem i jego kolesiami z klubu motocyklowego, a także z zaginionym Jimmym Fangiem. Jimmy miał tatuaż w kształcie trzech ociekających krwią szponów. Brazuka to wiedział, bo zapamiętał zdjęcie z laptopa Lama. Z kolei Jimmy Fang miał ściśle powiązania z grupą Trzy Feniksy. Trzy szpony to Trzy Feniksy? Bonnie pewnie zobaczyła tylko fragment tatuażu, na widok którego Dao wpadł w furję. Dao, mężczyzna tak wpływowy, że łatwo mógł zniknąć bez śladu. Tak niebezpieczny, że nawet Bernard Lam niechętnie o nim wspominał.

To pewne, że Dao nadal żyje i próbuje zemścić się na Norze. To ona zabiła syna jego pracodawcy, Kaia, i jego żonę. Być może przyczyniła się też do śmierci Raya Zhanga, patriarchy rodu.

To bardzo prawdopodobne, że Dao postanowił ostatecznie

rozprawić się z Norą właśnie w Detroit, bo wiedział, jak łatwo w tym mieście wynająć ludzi do mokrej roboty. Tam nikt by się zbytnio nie przejął martwą Kanadyjką.

Jednak im dłużej rozważa ten scenariusz, tym bardziej wydaje mu się pozbawiony sensu.

Dostaje na komórkę kolejne zdjęcie od Bonnie. Twarz Nory. Zmęczona i smutna. Zmierzwiłone włosy opadają na oczy, kąciaki warg są lekko uniesione w żalostnej imitacji uśmiechu.

Patrząc na zdjęcie, zastanawia się, co go tak bardzo niepokoi. Kiedy przychodzi olśnienie, pędzi do terminalu, by nie przegapić lotu. Właśnie ta próba uśmiechu zaniepokoiła go najbardziej.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

- Czy ona żyje? - dobiega mnie kobiecy głos.

- Znalazłem ją przy drzwiach - odpowiada mężczyzna. - Ściany wokół runęły.

- Dzika lokatorka?

- Nie, wolontariuszka organizująca Noc Anioła.

Leżę na plecach, wiozą mnie na wózku. Kółka co chwila podskakują, nie jest mi zbyt wygodnie.

Mam zamknięte oczy, jednak i tak dostrzegam intensywne błyski. Wiozą mnie do szpitala? Nie ma mowy, rachunki za leczenie w USA znacznie przekraczają moje możliwości. Jak automat rozpinam pasy, które mają mnie utrzymać na noszach. Próbuję się zgrabnie zsunąć, ale opadam ciężko na kolana. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Widzę osmalone ruiny i od razu wszystko sobie przypominam.

Ciekawe, co się stało z Ryanem Russo.

Szybko znajduję odpowiedź. Na stojących obok noszach leży ciało w czarnym worku. Wizja horrendalnych rachunków za leczenie natychmiast ustępuje wizji ponurej więziennej celi. Russo nie żyje, ale ja nadal mam wroga, i to potężnego. Próbuję przeanalizować fakty, niestety do głowy wpadają mi coraz głupsze scenariusze. Chyba błędnie założyłam, że naraziłam się komuś, szukając prawdy o przeszłości ojca. Tak naprawdę tylko jeden człowiek pragnie z całego serca mojej śmierci. Dao. Może wyjechał z Ameryki, ale na pewno żyje. Brzmi nieprawdopodobnie, jednak dla mnie ma sens.

Przypominam sobie, że gdy byłam w domu Nate'a, wybrałam numer detektywa Sancheza. Nie mam pojęcia, gdzie podziała się moja komórka.

Jedno jest pewne - muszę jak najszybciej zabierać się stąd.

Czołgam się do parceli porośniętej wysokim zielskiem. Chwilę potem przy krawężniku zatrzymuje się samochód, z którego wysiada Sanchez. Rozmawia z kimś przez komórkę. Potrząsa głową na widok pustych noszy, rozgląda się wokół i woła coś do jednego ze strażaków. Potem rusza ostrożnie w kierunku osmalonej ruiny, która wciąż się dopala.

Ukryta w gąszczu badyli, zafascynowana obserwuję malejące płomienie. Są przerażające, a zarazem piękne.

Gdy słyszę sygnał kolejnego wozu strażackiego, wybucham śmiechem.

Dla mnie piekło nie jest gorące, tylko lodowato zimne. Pożar to oczyszczenie. Ten budynek wkrótce się zawali, na jego miejscu powstanie coś nowego, być może lepszego i ładniejszego. Warto na to poczekać.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Ostatnio Brazuka szukał Nory na wyspie Vancouver. W poszukiwaniach pomagała mu Simone, a przede wszystkim Sapka. Bez niej nic by nie działo, nigdy nie natrafiłby na ślad Nory. Żałuje, że nie mógł zabrać suczki do Detroit, choćby dla towarzystwa. Miał niesamowite szczęście, że w pierwszym z brzegu motelu od razu trafił na ślad Nory. Recepcjonistka o wyłupiastych oczach okazała się znacznie bardziej rozmowna niż przez telefon. Dzięki temu Brazuka odnalazł detektywa, który spisywał zeznania Nory po włamaniu do jej pokoju. Zmęczony detektyw zgodził się co prawda, że Norze grozi niebezpieczeństwo, zarazem jednak dał do zrozumienia, że to nie jego problem.

Siedząc obok niego na twardej szpitalnej ławce, Brazuka wysłuchiwał nagrania z domu należącego do młodego bluesmana, gdzie Norę napadło dwóch uzbrojonych facetów. Nagranie urwało się gwałtownie, ostatnim zarejestrowanym dźwiękiem były szybkie kroki Nory.

- To wydarzyło się wczoraj. - Sanchez patrzy uważnie na Brazukę. - Początkowo myśleliśmy, że została ranna i potrzebuje pomocy. Odnaleziono ją w spalonym budynku. Według zeznań świadków pożar podłożyło dwóch chłopaków. To cud, że Nora przeżyła. Myśleliśmy, że zgłosi się do szpitala.

- Nie zgłosiła się.

- To nie w jej stylu. - Sanchez wzrusza ramionami. - Chyba nie lubi nikogo prosić o pomoc. Dorwaliśmy chłopaków, którzy zaatakowali Nate'a Marlowe'a. Przyznali się do winy, sprawa jest zamknięta.

- Ale?

- Ale te gnojki nigdy nie zdradzą, kto ich wynajął. Jeśli

puszczą parę z ust, to tak jakby wydali na siebie wyrok. Twoja kobieta ma poważne kłopoty.

W pobliskiej sali walczy o życie mężczyzna, który zaprosił do domu niewłaściwą kobietę. Brazuka bardzo niechętnie zgodził się na spotkanie w szpitalu. Wciąż pamięta umierającego na szpitalnym łóżku Crowsa i pogrążonego w żalu Krushnika. Jednak rozumie intencje detektywa. Sanchez chciał mu pokazać, do czego jest zdolna taka kobieta jak Nora. Co może zrobić mężczyźnie, który na chwilę straci czujność. Tak jakby Brazuka nie wiedział.

Sanchez liczy też na informacje, które pomogą mu rozwikłać sprawę do końca.

- Nie jest moją kobietą. Szukam ludzi powiązanych z triadą. Słyszałeś kiedyś o grupie Trzy Feniksy?

- Nie, ale wiesz, co ci powiem? Te gnojki to patałachy. Wątpię, by ludzie z triady wynajęli kompletnych amatorów. Trzy razy próbowali zabić Norę i trzy razy ich wykiwała.

- Może i tak, ale nie znasz Nory. - Brazuka wie, że Nora zawsze znajdzie sposób, by uniknąć śmierci, a czasami, jak w przypadku Nate'a, pomaga jej przypadek. - Czy Nate przeżyje?

- Nie mam pojęcia. Właściwie nie powinienem zajmować się tą sprawą, zazwyczaj pracuję nad kradzieżami. Wiesz może, gdzie ona jest?

- Nie.

Brazuka nie chce myśleć o uciekającej przed zabójcami Norze. Przestraszonej i samotnej, ale wciąż żywej. To już jest jakaś dobra wiadomość, którą można przekazać Bonnie.

Żegna się szorstko z Sanchezem i rusza korytarzem za pielęgniarką, która popycha nosze ze śpiącym dzieckiem. Chce jak najszybciej minąć pokój, w którym leży Nate Marlowe.

Nie zapytał Sancheza, co łączyło Norę z Nate'em, ale skoro chłopak zainkasował przez nią kulę, nie ma czasu do

stracenia. Napędzany kolejną dawką kawy i kaloriami po zjedzeniu wyjątkowo tłustego cheesburgera, Brazuka jeszcze przyspiesza kroku.

Jeżeli się zatrzyma, pewna smutna nastolatka straci matkę. Zresztą jemu też byłoby się trudno otrząsnąć po śmierci kolejnej osoby.

Dziwi się, że już powoli zapada wieczór. Rozmawiając z Sanchezem, stracił poczucie czasu. Niebo znów jest zachmurzone, nie widać ani jednej gwiazdy. Brazuka wciąż słyszy odgłos szybkich kroków uciekającej Nory zarejestrowany na nagraniu, które przed chwilą odsłuchał. Towarzyszy mu podczas całego lotu do Vancouver, kieruje myśli w stronę tatuażu, którego Bonnie nie powinna zobaczyć, i ludzi z triady.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Niektóre szczegóły zatarły się w mojej pamięci, ale pamiętam, że tuż przed zapadnięciem zmroku wybrałam się na spacer. Czy to naprawdę było wczoraj? Mam wrażenie, że wieki temu. W kieszeni kurtki znalazłam paszport, portfel i klucz. Dopiero po chwili sobie przypominam, skąd go mam. To klucz do nieistniejącego domu.

Wiem, komu powinnam go przekazać. Wtedy, w chaszczach w pobliżu spalonego domu, leżałam, dopóki nie powróciły mi siły. Potem wstałam, otrzepałam się i ruszyłam dalej. Mam potężnych wrogów, ale może uznają, że spłonęłam w pożarze i dadzą mi spokój?

A nawet jeśli nie, to zrobię wszystko, by mnie nie dopadli. Dao pragnie zemsty, w ten sposób okazując swoją słabość. Powinien wyciągnąć nauczkę z tego, jak skończył napędzany zemstą Russo.

Wciąż się ukrywam, jestem bardzo ostrożna, nabieram sił. Otacza mnie śmierć, ale nie zostanę w Detroit zbyt długo.

Bardzo tęsknię za Sapką, ale wiem, że wkrótce ją zobaczę. Usiądziemy na skałkach i będziemy obserwować ocean. Pomyślimy o Sebie i zjemy coś kalorycznego. Będziemy grzeczne i spokojne jak utuczone gęsi. No i może wreszcie odbędę szczerą rozmowę z Leo.

W płonącym domu byłam gotowa pożegnać się z życiem, ale wiem, że to jeszcze nie koniec. Czuję się jak dziewczynka w kajaku, bohaterka głupiej książeczki dla dzieci. Tyle że zamiast na rzece, idę, powłócząc noga za nogą, niezbyt ładną ulica w Detroit.

Może przyszłość nie oferuje mi zbyt wielu kajaków, ale widzę solidny most. Koniecznie muszę porozmawiać z pewną

nastolatką. Przekazać jej klucz, opowiedzieć o dziadku, który był bardzo dobrym człowiekiem, ale pokochał i poślubił niewłaściwą kobietę. Opowiem jej też o babci, pozbawionej uczuć suce, która porzuciła rodzinę. I o mieszkającej w Vancouver cioci, która mnie nienawidzi. To może niezbyt budująca historia rodzinna, ale nasza.

Klucz jest ciepły, dlatego zaciskam go w dłoni. Teraz potrzebuję ciepła bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Przecież muszę przekroczyć most.

SHEENA KAMAL ukończyła nauki polityczne na uniwersytecie w Toronto. Przez jakiś czas pracowała jako researcherka dla dziennikarzy śledczych, telewizji i środowiska filmowego. Bardzo aktywnie działa na rzecz bezdomnych. Obecnie mieszka w Vancouver. Jej debiutancka powieść „Nieobecna” ukazała się nakładem Wydawnictwa HarperCollins w 2017 r.